

CZARNA SERIA

KRYMINAŁ

# HÅKAN NESSER

SPRAWA MÜNSTERA

Śledztwa komisarza Van Veeterena

**HÅKAN  
NESSER**  
**SPRAWA MÜNSTERA**

przełożyła Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2014

Håkan Nesser  
Sprawa Münsterera  
ISBN: 978-83-7554-566-1

Copyright © Håkan Nesser, 1998  
First published by Albert Bonniers Förlag, Stockholm, Sweden  
Published in the Polish language by arrangement with Bonnier Group Agency,  
Stockholm, Sweden  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark). Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI: Magda Kuc  
ILUSTRACJE: Magda Kuc  
REDAKCJA: Małgorzata Denys  
KOREKTA: Ewa Jastrun

Czarna Owca  
ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa  
e-mail: [wydawnictwo@czarnaowca.pl](mailto:wydawnictwo@czarnaowca.pl)  
Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36; faks (22) 433 51 51  
Zapraszamy do naszego sklepu internetowego: [www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo.

Więcej na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

*Polska Izba Książki*

# Spis treści

I

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

II

17

18

19

20

21

III

22

23

24

25

26

27

20

29



IV

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

V

41

42

**Cykl kryminalny Håkana Nesslera  
o komisarzu Van Veeterenie:**

Nieszczelna sieć

Punkt Borkmanna

Powrót

Kobieta ze znamieniem

Komisarz i cisza

Sprawa Münstera

**W przygotowaniu:**

Karambol

Sprawa Ewy Moreno

Jaskółka, kot, róża, śmierć

Sprawa G

*Dla zwykłego człowieka najważniejsze  
jest zrozumienie, że wszelkie działania  
mają konsekwencje. Dla detektywa – że  
mają przyczyny.*

*Erwin Baasteuwel  
inspektor kryminalny*

**I**

# 1

Ostatni dzień życia Waldemara Leverkuhna wprost nie mógł rozpocząć się lepiej.

Po nocnym wichrze i nieustającym deszczu teraz przez okno w kuchni wpadało łagodne jesienne słońce. Na balkonie od strony podwórza dało się słyszeć charakterystyczne miękkie gruchanie oszalałych z miłości gołębi, a na schodach oddalające się echo kroków żony zmierzającej na targ. Na stole przed nim leżała rozpostarta „Neuwe Blatt”. Właśnie wzmacnił sobie poranną kawę dwiema kroplami dżinu, gdy zadzwonił Wauters.

– Wygraliśmy – oznajmił.

– Wygraliśmy? – powtórzył Leverkuhn.

– No tak, do cholery! – potwierdził Wauters. – Słyszałem w radiu.

– W radiu?

– Do diabła, dwadzieścia tysięcy! Trafiliśmy piątkę...

– W totka?

– Tak, w totka. A co myślałeś? Nie mówiłem, że coś wisi w powietrzu, kiedy kupowaliśmy los? A niech to diabli...! Przebierała i przebierała przy mnie w tych kuponach, jakby... jakby faktycznie wiedziała, ta pani Milkerson z kiosku. Dwójka, piątka, piątka. Jedyńka, szóstka, piątka, piątka! To dzięki tym piątkom oczywiście. Czuję to przez skórę przez cały tydzień!

– Ile, powiedziałaś?

– Dwadzieścia tysięcy... Po pięć na głowę. Muszę zadzwonić do reszty. Widzimy się wieczorem U Freddy’ego. Będzie zajebista popijawa w Kapernaum!

– Pięć tysięcy...? – dopytał Leverkuhn, lecz Wauters już się rozłączył.

Przez chwilę stał ze słuchawką w dłoni, czując lekki zawrót głowy. Pięć tysięcy guldenów? Ostrożnie zamrugał powiekami, a kiedy odzyskał ostrość widzenia, jego spojrzenie padło mimo woli na fotografię ślubną stojącą na

komodzie. W złotej ramce. Skupił się na okrągłej i mlecznobiałej twarzy Marie-Louise. Na jej dołkach w policzkach i na włosach skręconych w loki i rozwianych lekkim podmuchem wiatru. Blask w oczach.

Taka wtedy była, pomyślał. Olśniewająca. W tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym.

Słodka jak ciastko z bitą śmietaną! Wyjął chustkę i wytarł sobie nos. Podrapał się z ociąganiem w kroku. A dzisiaj... ale tak to już jest z kobietami... wcześniej rozkwitają, potem rodzą dzieci, karmią i robią się ociężałe... niechętne. Naturalna kolej rzeczy. Co innego mężczyźni, kompletnie co innego.

Westchnął i wyszedł z sypialni. Myśli snuły się dalej, mimo że on wcale nie miał na to ochoty, ale ostatnio z jego myślami często tak bywało... No więc mężczyźni zdecydowanie dłużej zachowywali formę, na tym polega różnica... ta przekłeta różnica. Na koniec jednak wszystko się wyrównywało, wcześniej czy później... w jesieni życia żądze usypiały i po jednej, i po drugiej stronie, nie da się ukryć. U obojga.

Ale czego w końcu tu oczekiwać? Siedemdziesiąt dwa lata i sześćdziesiąt dziewięć. Wprawdzie słyszał, że u niektórych trwa to dłużej, jednak, jeśli chodzi o niego, było – minęło. I trzeba się z tym pogodzić.

To znaczy poza jednym czy drugim drgnieniem od czasu do czasu. Błede wspomnienie dni, które nieodwracalnie należały do przeszłości, po prostu taka smutna pamiątka.

Jest, jak jest. Drgnienie. Chętnie by z niego zrezygnował. Znowu usiadł przy kuchennym stole.

Pięć tysięcy!

A niech to! – pomyślał. Pięć tysięcy guldenów!

Niełatwo było zapanować nad tym oszałamiającym uczuciem radości. Co, u diabła, on ma zrobić z taką ilością pieniędzy?

Kupić samochód? Raczej nie. Pewnie starczyłoby na jakieś przechodzone auto; co prawda ma prawo jazdy, ale ostatni raz siedział za kółkiem dziesięć lat temu i już od dosyć dawna nie odczuwał jakiegś przesadnej ochoty, żeby wyruszyć w świat.

Czyli podróż raczej wykluczona. Jak mawiał Palinski: człowiek widział już prawie wszystko, a nawet jeszcze więcej.

Lepszy telewizor?

Nie ma potrzeby. Ten, który mają, kupili zaledwie kilka lat temu, a i tak włączał go tylko po to, żeby przed nim zasnąć.

Wypił łyk kawy i wpatrywał się w gazetę, nie czytając.

Nowy garnitur?

Chyba na własny pogrzeb, no bo z jakiej innej okazji?

Nie, tak na poczekaniu nie przychodziły mu do głowy żadne życzenia. Co świadczyło chyba tylko o tym, jaki zrobił się z niego żałosny stary piernik. Nie potrafił nawet wydać ot tak, po prostu, własnych pieniędzy. Nie dawał rady. Cholera jasna!

Waldemar Leverkuhn odłożył gazetę i nalał sobie znowu kawy z kilkoma kroplami dżinu.

Na tyle chyba może sobie pozwolić? Na dolewkę. Przez chwilę przysłuchiwał się gołębiom na balkonie, popijając kawę. A może tak do tego podejść? Pozwalać sobie na więcej. Na trochę większy gest U Freddy'ego. Na droższe wina. Na jakiś przysmak w Keefer's albo u Krausa.

Dlaczego nie? Żyć trochę lepiej przez kilka lat.

Znowu zadzwonił telefon.

Oczywiście Palinski.

– No, to będzie zajebista popijawa w Kapernaum!

Ten sam język, co u Wautersa. Ciekawe, że nie stać go było nawet na własne przekleństwa. Po tym wstępie na powitanie przez pół minuty śmiał się gromko w słuchawkę, a na koniec krzyknął coś o tym, że dziś U Freddy'ego będzie się lać wino.

– ...wpół do siódmej! Biała koszula i nowy krawat, ty stary skurczybyku!

I odłożył słuchawkę. Waldemar Leverkuhn ponownie zerknął na swą świeżo poślubioną żonę i wrócił do kuchni. Dopił kawę i beknął. Potem się uśmiechnął.

Wreszcie się uśmiechnął. W końcu pięć tysięcy to pięć tysięcy.

Bonger, Wauters, Leverkuhn i Palinski.

To był zgrany kwartet. Bonger i Palinski znali się od najmłodszych lat. Po edukacji w Magdeburgu i wojennych zimach spędzonych w piwnicach Zuiderslaan i Merdwick ich drogi na kilkadziesiąt lat oczywiście się rozeszły, ale potem znowu się zbiegły u schyłku wieku średniego.



Wauters dołączył do nich później, znacznie później. Wauters, jeden z samotnych panów przesiadujących u Freddy'ego. Przeniósł się z Hamburga czy z Frigge albo jeszcze skąd indziej. Nigdy się nie ożenił (jeden z czwórki, któremu się udało, jak lubił sam podkreślać, ale teraz dzielił kawalerski stan i z Bongerelem, i z Palinskim) – i był chyba najbardziej samotnym facetem, jakiego można sobie wyobrazić. Przynajmniej coś takiego napomykał o nim Bonger, bo znał go najdłużej i najlepiej, i to on wprowadził go do ich towarzystwa. Zjadł zęby na hazardzie, przynajmniej nie bez premedytacji lubił rozpowszechniać o sobie takie plotki... chociaż teraz ograniczał się tylko do typowania wyników meczów futbolowych i loterii. Zwykł twierdzić z rezygnacją, że dzisiaj konie wyścigowe to naćpane wielbłądy, a dżokeje są przekupieni. A karty?... No cóż, jeśli się przegrało niemal tysiąc dwieście, mając cztery asy, to pora, do cholery, na stare lata trochę spuścić z tonu.

Według Benjamina Wautersa.

Bonger, Wauters, Leverkuhn i Palinski.

Któregoś wieczoru Palinski wyliczył, że razem mają dwieście dziewięćdziesiąt dwa lata i jeśli by wytrzymali jeszcze dwa, to mogliby trafić ze swoim jubileuszem trzechsetlecia dokładnie na przełom wieku. Trzeba przyznać, że całkiem nieźle!

Palinski położył rękę na uformowanym z rozmachem siedzeniu panny Gautiers i powiedział jej o tym, na co ona tylko prychnęła i oznajmiła, że stawiałaby raczej na czterysta.

W rzeczywistości nie wyszło nic ani z jednej, ani z drugiej okrągłej rocznicy, bo właśnie ta sobota okazała się, jak wspomniano, ostatnim dniem życia Waldemara Leverkuhna.

Kiedy wychodził z domu, Marie-Louise właśnie wróciła z torbami z targu.

– Dokąd się wybierasz?

– Do miasta.

– Po co?

– Kupić nowy krawat.

W jej sztucznej szczęce kliknęło dwa razy, jak zawsze, gdy Marie-Louise czymś się zirytowała.

– Krawat?

– Tak.

– Po co chcesz kupić sobie krawat? Przecież masz ich z pięćdziesiąt.

– Znudziły mi się.

Pokręciła głową i przecisnęła się obok niego z siatkami. Poczł zapach zwierzęcych nerek.

– Nie musisz robić nic do jedzenia.

– Słucham? Co masz na myśli?

– Zjem na mieście.

Postawiła torby na podłodze.

– Kupiłam cynadry.

– Właśnie czuję.

– Dlaczego nagle masz jeść na mieście? Myślałam, że zjemy dzisiaj wcześniej, bo wieczorem wybieram się przecież do Emmeline, a ty pewnie...

– ...do Freddy'ego, tak. Ale wcześniej coś gdzieś przekąszę. Możesz je zamrozić. Te nerki.

Popatrzyła na niego, mrużąc oczy.

– Czy coś się stało?

Zapiął płaszcz.

– Nic mi o tym nie wiadomo. A co miałyby się stać?

– Pamiętales o lekarstwie?

Nie odpowiedział.

– Weź szalik. Dzisiaj wieje.

Wzruszył ramionami i wyszedł.

Pięć tysięcy, pomyślał. Kilka nocy można by pomieszkać w hotelu.

Wauters i Palinski też mieli nowe krawaty, tylko Bonger nie.

Bonger nigdy nie nosił krawatów, chyba nie kupił sobie ani jednego przez całe życie, ale dzisiaj przynajmniej założył w miarę czystą koszulę. Jego żona zmarła osiem lat temu i teraz wszystko toczyło się byle jak. Zarówno jeśli chodzi o koszulę, jak i o całą resztę.

Wauters zarezerwował stolik w części restauracyjnej i zgodnie z sugestią Palinskiego zaczęli od szampana i koreczków z kawiozem. Poza Bongerem, który zamiast kawioru wolał ogony raków. Z sosem sauternes.

– A wy co, stare pierniki? – spytała panna Gautiers podejrzliwie. – Posprzedawaliście swoje prostaty na cele naukowe?

Zapisywała jednak zamówienie za zamówieniem bez mrugnięcia okiem, a kiedy Palinski poklepał ją jak zwykle po siedzeniu, nie miała nawet serca odtrącić jego zreumatyzowanej ręki.

– Na zdrowie, bracia! – wykrzykiwał Wauters w równych odstępach czasu.

– Ale będzie zajebista popijawa w Kapernaum! – rzucał Palinski jeszcze częściej.

Ale ja mam dość tych durniów, stwierdził w duchu Leverkusen.

Okolo jedenastej Wauters opowiedział osiem albo dziewięć razy o tym, jak kupował los. Palinski mniej więcej tyle samo razy zaczynał śpiewać „O piękny grzechu mojej młodości” i wciąż przerywał po pierwszym wierszu, bo nie pamiętał dalej tekstu, a Bongerowi dawał się we znaki żołądek. Z kolei Waldemar Leverkusen miał wrażenie, że był chyba bardziej pijany niż swego czasu na Oktoberfest w Grünwald piętnaście lat temu. A może szesnaście.

Tak czy inaczej, wyglądało na to, że powinien już skończyć.

Tylko żeby jeszcze znalazł swoje buty. Przez ostatnie pół godziny siedział w samych skarpetkach, co stwierdził z lekkim zdziwieniem, gdy poszedł do toalety się wysikać. Ale chociaż gorączkowo szukał stopami pod stołem, nie udało mu się niczego wymacać.

Co za absurd. Zauważył, że żołądek Bongera znowu przemówił, a kiedy Palinski po raz kolejny zaintonował swój śpiew, uznał, że jego poszukiwania muszą być bardziej systematyczne.

Kaszlnął dla odwrócenia uwagi, po czym dyskretnie zanurkował pod stół, lecz na swoje nieszczęście chwycił niechcący za brzeg obrusa, a potem zrobiło się takie zamieszanie i chaos, że nie miał najmniejszej ochoty opuszczać swego przypadkowego azylu pod blatem. Jednak żadnych butów nigdzie nie widział.

– Niech was wszyscy diabli! – mruknął groźnie. – Zjeżdżajcie stąd wszyscy i zostawcie mnie w spokoju!

Obrócił się na plecy, ściągając ze stołu na podłogę resztę obrusa i naczyń. Od sąsiednich stolików dał się słyszeć mieszany chór salw śmiechu

i oburzone głosy kobiet. Wauters i Palinski udzielali mu dobrych rad, a od Bongera dostał kolejnego kopniaka.

Potem pojawiła się panna Gautiers, a razem z nią pan Van der Valk i sam Freddy i dziesięć minut później Waldemar Leverkusn stał w deszczu na chodniku w płaszczu, a także w butach. Gdy Palinski i Wauters zniknęli we dwóch w jednej taksówce, Bonger spytał go szybko, czy nie miałby ochoty zamówić kolejnej z nim na spółkę.

Po moim trupie, ty przekłeta cuchnąca bombo, pomyślał Leverkusn, ruszając powoli na piechotę mniej więcej w tym samym kierunku. Deszcz padał coraz mocniej. Ale to mu zupełnie nie przeszkadzało, ani trochę; chociaż był wstawiony, czuł się znakomicie i potrafił w stu procentach utrzymać kurs. Dopiero kiedy skręcił na śliski podjazd na most Wagnera, potknął się i upadł. Dwie przechodzące obok kobiety, prawdopodobnie dziwki spod Zwille, pomogły mu wstać i nawet podprowadziły go na Zuyderstraat, żeby miał pewniejszy grunt pod nogami.

Reszta była już dziecinną igraszka, toteż dokładnie w momencie gdy dzwony Keymerkyrkan wybijały za piętnaście dwunasta, znalazł się w domu.

W przeciwieństwie do swojej żony. Waldemar Leverkusn zamknął za sobą drzwi, nie przekręcając klucza w zamku, w przedpokoju zdjął buty, płaszcz i marynarkę i bez żadnych zbędnych ceregieli zagrzebał się w pościeli.

Po dwóch minutach już spał. Na plecach i z szeroko otwartymi ustami, a kiedy nieco później w nocy jego niosące się echem chrapanie ucichło wskutek dwudziestu ośmiu ciosów zadanych mu nożem kuchennym w tułów i w szyję, trudno powiedzieć, czy w ogóle zdążył sobie uświadomić ten fakt.

## 2

Kobieta była szara jak światło o brzasku.

Z opuszczonymi ramionami siedziała naprzeciwko komisarza Münstera w swoim wytartym płaszczu ze wzrokiem wbitym w podłogę. Widać było, że nawet nie zamierza dotknąć kubka z herbatą ani kanapek, które przyniosła pani Katz. Otaczała ją aura zmęczonej rezygnacji i Münster zastanawiał się, czy nie byłoby najlepiej wezwać lekarza, żeby dał jej jakiś zastrzyk. Albo kazać jej iść i położyć się do łóżka, zamiast trzymać ją tutaj i znęcać się nad nią. Przecież Krause przeprowadził już wstępne przesłuchanie.

Ale jak mawiał Van Veeteren: pierwsze godziny są najważniejsze. A pierwszy kwadrans znaczy dokładnie tyle samo co cały trzeci tydzień.

Jeśli ta historia będzie w ogóle ciągnąć się aż tyle. Nigdy nie wiadomo.

Spojrzał na zegarek. Szósta czterdzieści pięć. *All right*, pomyślał. Jeszcze kwadrans.

– Muszę zweryfikować podane przez panią informacje – powiedział. – Potem będzie pani mogła się przespać.

Pokręciła głową.

– Nie chce mi się spać.

Münster szybko przebiegł wzrokiem notatki Krausego.

– Czyli wróciła pani do domu o drugiej, tak?

– Tak, mniej więcej pięć po. Była awaria prądu i pociąg stał po drodze ponad godzinę. Pod Voigtshuuis.

– Gdzie pani była?

– W Bossingen. U przyjaciółki. Mamy zwyczaj spotykać się w soboty... nie w każdą, ale co jakiś czas. Już to wcześniej mówiłam.

– Wiem – odparł Münster. – O której wyjechała pani z Bossingen?

– Pociągiem o północy. Odchodzi dokładnie o dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt dziewięć i powinien być na miejscu za piętnaście pierwsza. Ale

tym razem dotarł dopiero koło drugiej.

– A potem?

– Potem poszłam do domu i go znalazłam.

Wzruszyła ramionami i zamilkła. Wciąż nie podnosiła wzroku. Przez ułamek sekundy Münsterowi przypomniał się obraz małego przejechanego kota, którego znalazł kiedyś, jak miał dziesięć czy jedenaście lat; gdy mijał go na rowerze, kociak leżał we własnej krwi na asfalcie i też nie podnosił oczu. Leżał tak, wpatrzony w wysoką trawę na poboczu drogi, i czekał, żeby umrzeć.

Münster zdziwił się, dlaczego akurat taki dawny obraz wyłonił się w jego pamięci w ów ponury poranek. Przecież to nie pani Leverkusn leżała umierająca, tylko nie żył jej mąż.

Zamordowany. Musiał dożyć siedemdziesięciu dwóch lat, żeby spotkać swojego kata – mordercę, który uznał, że musi wbić w niego nóż od dwudziestu do trzydziestu razy, żeby on, Leverkusn, już nigdy nie mógł wstać z łóżka.

Gdzieś tak między wpół do pierwszej a wpół do trzeciej, jeśli można wierzyć wstępny ustaleniom lekarza, którego raport leżał już gotowy na komendzie, kiedy Münster się tam pojawił.

Niewątpliwie lekka przesada. Prawdopodobnie wystarczyłby jeden cios albo dwa. Upływ krwi był tak intensywny, że rzeczywiście można powiedzieć, że ofiara kapała się we własnej krwi. Znajdowało się jej na pewno znacznie więcej na łóżku i na podłodze niż w ciele.

Przez kilka sekund przyjrzał się Marie-Louise Leverkusn.

– Czy od razu zawiadomiła pani policję?

– Tak... to znaczy nie, najpierw wyszłam na chwilę.

– Wyszła pani? Dlaczego, na litość boską?

Znowu wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Pewno pod wpływem szoku... chyba chciałam iść na Entwick Plejn.

– Dlaczego na Entwick Plejn?

– Na komisariat. Żeby złożyć zawiadomienie... ale potem uświadomiłam sobie, że może lepiej będzie zadzwonić. Było późno, a komisariat jest otwarty tylko w godzinach urzędowania. Prawda?

– Raczej tak – odpowiedział Münster. – Która to była godzina?

Zastanowiła się chwilę.

– Parę minut po wpół do trzeciej.

Münster zajrzał do papierów. Wszystko się zgadzało. Połączenie zarejestrowano o 2.43.

– Czytam tutaj, że kiedy przyszła pani do domu, drzwi nie były zamknięte na klucz.

– Zgadza się.

– Ktoś się włamał?

– Nie. Zdarzało się, że mąż zapominał zamknąć... albo po prostu nie zwracał sobie tym głowy.

– Zdaje się, że trochę sobie popił.

Nic na to nie odpowiedziała. Münster zawahał się chwilę.

– Pani Leverkusen – zwrócił się potem do niej, przechylając się przez biurko i próbując oderwać jej spojrzenie od podłogi. – Nie ma najmniejszych wątpliwości, że pani mąż został zamordowany. Czy ma pani jakieś podejrzenia, kto mógł to zrobić?

– Nie.

– Żadnych... może był z kimś skłócony albo coś w tym rodzaju?

Pokręciła lekko głową.

– Czy w domu czegoś brakuje? Poza tamtym nożem oczywiście.

– Nie sędzę.

– Zauważyła pani jakieś ślady po sprawcy?

– Nie.

– A może rzuciło się pani w oczy coś, co mogłoby mieć znaczenie?

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz i wreszcie podniosła wzrok.

– Nie, wszystko było tak jak zawsze, wszystko... co ja mówię? Mam na myśli...

– Rozumiem – przerwał jej Münster. – Ma pani rację, przeżyła pani szok. Zrobimy przerwę. Moim zdaniem najlepiej będzie, jak się pani na trochę położy. Zaraz poproszę koleżankę, żeby się panią zajęła.

Zamknął swój notes i wstał zza biurka. Dał znak kobiecie, aby poszła za nim. Otworzył jej drzwi. Kiedy przeszła tuż obok niego, po raz pierwszy

zwrócił uwagę na ten zapach.

Naftalina, jeśli się nie mylił.

Rooth wyglądał mniej więcej tak, jak się czuł.

– Już długo w akcji?

Mieszał kawę ołówkiem.

– Dosyć – powiedział. – Z czasów, kiedy byłem dzieckiem, pamiętam coś takiego, co się nazywało niedzielnym porankiem. Gdzie to się podziało?

– Nie mam pojęcia – odparł Münster. – Czyli byłeś tam?

– Trzy godziny – potwierdził Rooth. – Zaraz po Krausem. Przez godzinę przyglądałem się śladom po tej jatce, a przez dwie następne przepytywałem sąsiadów. Krause zajął się żoną.

– Słyszałem – rzekł Münster. – Co powiedzieli sąsiedzi?

– Wszyscy to samo – odparł Rooth, wyciągając kanapkę z foliowej torebki. – Chcesz jedną?

Münster pokręcił głową.

– To samo? Co to, u diabła, znaczy?

Rooth wytarł sobie nos.

– W tym bloku jest tylko sześć mieszkań. Jedno jest niewynajęte. W trzech, włącznie z Leverkusnami, mieszkają sami starzy ludzie. Od sześćdziesięciu pięciu lat wzwyż. W czwartym gruba kobieta w średnim wieku. W szóstym młoda para. Wszyscy byli w nocy w domu i wszyscy słyszeli to samo.

– Co takiego?

– Młodą parę, która baraszkowała w łóżku. Mniej więcej między jedenastą a drugą. Zdaje się, że w domu jest dobra akustyka, a tamci wyraźnie nie mają najlepszego materaca.

– Ale trzy godziny? – spytał Münster.

Rooth odgryzł kanapkę i zmarszczył czoło.

– Tak, i oni to też potwierdzają. Chociaż facet wcale nie wygląda na osiłka. Ale jest kolorowy, oczywiście. Czasami człowiek się zastanawia...

– Chcesz powiedzieć, że ci starzy ludzie przez cały czas, od jedenastej do drugiej, leżeli i nasłuchiwali tych igraszek?



– Nie cały czas. Raz po raz przysypiali. Zresztą poza tymi młodymi jest jeszcze tylko jedna para. Van Eckowie na parterze. Reszta to samotni ludzie... pan Engel i pani Mathisen.

– Rozumiem – powiedział Münster i zamyślił się chwilę. – Ale z mieszkania Leverkuhnów nie słyszeli żadnych odgłosów?

– Nic a nic – rzekł Rooth i znowu odgryzł kęs kanapki. – Nikt nie zauważył nikogo obcego w bloku i nie odnotował żadnego podejrzanego hałasu poza tym bzykaniem. Co prawda dostanie się do budynku nie stanowi problemu... Drzwi wejściowe wystarczy, według Van Ecka, tylko mocniej pchnąć.

Münster siedział w milczeniu, podczas gdy Rooth kończył swoją kanapkę.

– I co ty o tym myślisz? – spytał wreszcie.

Rooth ziewnął.

– Nic – odparł. – Jestem na to za bardzo zmęczony. Zakładam, że ktoś wszedł do mieszkania i go zadźgał. A potem wyszedł. Albo siedział i czekał na niego, aż wróci... jedno z dwojga.

– Dwadzieścia do trzydziestu ciosów? – spytał Münster.

– Wystarczyłyby dwa – zauważył Rooth. – To pewnie znowu jakiś cholerny psychol.

Münster wstał i podszedł do okna. Rozchylił dwie listewki żaluzji i spojrzał na zamglone miasto. Dochodziło wpół do dziewiątej, ale wszystko wskazywało na to, że zapowiada się jedna z tych szarych i deszczowych niedziel, kiedy słońce nawet na chwilę nie przedostaje się przez chmury.

Opuścił żaluzję i odwrócił się.

– Ale dlaczego? Kto, do cholery, idzie i morduje siedemdziesięcioletniego staruszka w taki sposób?

Rooth nic nie odpowiedział.

– A co z narzędziem zbrodni?

Rooth spojrzał sponad kubka z kawą.

– Jedyna rzecz, której brakuje w mieszkaniu – w każdym razie tak twierdzi żona – to nóż do mięsa. Meusse mówi, że to mógłby być on... długość się zgadza.

– Hm – mruknął Münster. – Co zamierzasz teraz robić?

Rooth podrapał się po brodzie.

– Pojadę do domu i kimnę się trochę. O ile zrozumiałem, ty przejmujesz sprawę, a jak już dojdę do siebie, zjawię się jutro rano. Trzeba jeszcze zawiadomić parę osób. Zostawiłem to tobie. Mam nadzieję, że mi wybaczysz, ale ty jesteś lepszy ode mnie w te klocki... poza tym nie mogłem przecież dzwonić tak wcześnie rano, no nie?

– Dzięki – powiedział Münster. – A o kogo chodzi?

Rooth wyjął kartkę z wewnętrznej kieszeni.

– O córkę i syna – wyjaśnił. – Żadne z nich nie mieszka w mieście. Jest jeszcze jedna córka, ale ona siedzi gdzieś w psychiatryku, więc to może poczekać.

– *All right* – potwierdził Münster i zapisał sobie dane. – Idź do domu i się prześpij, a ja w tym czasie rozwiążę sprawę.

– Dobra – powiedział Rooth. – Dostaniesz ciastko czekoladowe, jak się uporasz z tym do jutra rana.

– Spadaj... – powiedział Münster i podniósł słuchawkę.

Pod żadnym z dwóch numerów nikt się nie odezwał. Münster zastanawiał się, czy nie przekazać tego zadania Krausemu albo komuś innemu. W każdym razie było jasne, że stara pani Leverkusn nie jest raczej skłonna sama zadzwonić do swoich dzieci.

Zadzwoić i oznajmić im, że ktoś właśnie zamordował ich ojca, wbijając w niego od dwudziestu do trzydziestu razy piętnastoletni nóż do mięsa. W gruncie rzeczy doskonale ją rozumiał. Zebrał papiery i uznał, że jest to jedno z tych zadań, od których nie da się tak łatwo uciec. Kiedyś nazywało się to obowiązkiem.

Zatelefonował więc do Synn. Powiedział, że chyba będzie musiał pracować cały dzień, a w jej milczeniu i niewypowiedzianych słowach słyszał wyraz zawodu. Jego rozczarowanie było nie mniejsze, toteż skończyli rozmowę po niecałej minucie.

Niewiele było rzeczy, które Münster lubił bardziej niż spędzanie takiego szarego dnia jak dzisiejszy razem z Synn. I z dziećmi. Deszczowa niedziela bez planów.

Zamknął oczy i oparł się wygodnie na krześle.

Dlaczego? – pomyślał znowu.

Dlaczego musi pojawić się ktoś taki, kto po prostu wchodzi i tak

bestialsko zabija staruszka?

I dlaczego on musi wykonywać pracę, która zbyt często wymaga od niego poświęcania deszczowych niedziel na dociekanie odpowiedzi na podobne pytania kosztem spędzania czasu ze swoją ukochaną rodziną?

Dlaczego?

Westchnął i zerknął na zegarek. Do południa było jeszcze daleko.

### 3

Szedł na piechotę do Freddy'ego. Nad kanałami i pustymi niedzielnymi ulicami wisiała obojętna mgiełka, ale deszcz stopniowo ustawał. Niewielka restauracja leżała przy Weis-kerstraat, na samym rogu Langgraacht, i była jeszcze zamknięta. „W niedziele otwarte w godz. 12.00–14.00” – widniało na wyblakłej kartce na drzwiach, zapukał jednak w mleczną szybę i po chwili został wpuszczony do środka. Otworzyła mu postawna kobieta po czterdziestce. Była równie wysoka jak on; miała na sobie dzinsy, flanelową koszulę, a wokół głowy zawiązaną czerwoną, lekko przybrudzoną chustkę. Najwyraźniej doprowadzała właśnie lokal do standardu salonu.

Albo sprzątała, jak kto woli.

– Pani Elizabeth Gautiers?

Skinęła głową i odłożyła na bar stos oprawionych w plastik kart menu. Münster rozejrzał się wokół; oświetlenie było bardzo oszczędne, co, jak się domyślał, miało związek ze stopniem jej ambicji w zakresie sprzątania. Poza tym lokal wyglądał dosyć typowo: ciemne panele, ponury wystrój w kolorach brązowym, zielonym i czerwonym. Bar w rogu, około dziesięciu stolików ze zwykłymi krzesłami o prostych oparciach. Automat z papierosami i telewizor. W nieco szczydrzej oświetlonym pomieszczeniu w głębi mignęły mu białe obrusy – prawdopodobnie była to elegantsza część restauracji. Z kuchni dochodziły głosy i pobrząkiwanie garnkami i patelniami. Minęło wpół do jedenastej i zaczął się przedobiadowy wyścig z czasem.

– To pan do mnie dzwonił?

Münster pokazał swoją legitymację i rozejrzał się za odpowiednim miejscem, gdzie mogliby porozmawiać.

– Możemy usiąść tam. Napije się pan czegoś?

Wskazała w stronę białych obrusów i przeszła pierwsza przez wahadłowe drzwi.

– Kawy – powiedział Münster, lekceważąc fakt, że obiecał Synn zejść do

czterech filiżanek dziennie. A to była dzisiaj już jego trzecia. – Jeśli oczywiście to nie kłopot?

Żaden kłopot. Gdy usiedli pod osłoną sztucznego fikusa beniamina, Münster wyjął notes.

– Jak wspomniałem, chodzi o wczorajszych gości... – sprawdził nazwiska – Palinskiego, Bongera, Wautersa i Leverkusna. Jeśli się nie mylę, to tutejsi stali bywalcy? Wygląda na to, że Leverkusn został zamordowany.

Ta nowina widocznie nie dotarła tutaj do tej pory, bo szczeka kobiety opadła tak nisko, że aż dało się słyszeć słabe kliknięcie. Münster zastanowił się, czy to możliwe, żeby już miała sztuczną szczękę. Nie wyglądała przecież na więcej niż czterdzieści pięć lat. Czyli była mniej więcej w jego wieku.

– Zamordowany?

– Co do tego nie ma wątpliwości – powiedział Münster i odczekał.

– Ale... dlaczego?

– Jeszcze nie wiemy.

Przez kilka sekund siedziała, w ogóle się nie odzywając. Potem zdjęła chustkę z głowy i rozpuściła włosy niemal w tym samym kolorze. Tyle że nie tak nieświeże. Całkiem ładna kobieta, stwierdził z lekkim zaskoczeniem. Postawna, ale niebrzydka, potrzebuje na pewno odpowiedniego mężczyzny. Zapaliła papierosa.

– Napad rabunkowy?

Münster nie odpowiedział.

– Został napadnięty w drodze... do domu?

– Niezupełnie. Czy mogłaby pani powiedzieć, o której stąd wyszedł?

Elizabeth Gautiers zamyśliła się na chwilę.

– O jedenastej – powiedziała. – Może parę minut po. Wczoraj było trochę nietypowo – dodała po chwili.

– Nietypowo?

– Upili się. Leverkusn wylądował pod stołem.

– Pod stołem?

Roześmiała się głośno.

– No tak. Ściągnął niechcący obrus i narobiło się co nieco bałaganu. Postawiliśmy ich wszystkich na nogi i wyprowadziliśmy na dwór... Chce pan powiedzieć, że został zamordowany po drodze do domu?

– Nie – zaprzeczył Münster. – Został zamordowany we własnym łóżku. Czy doszło między nimi do jakiejś kłótni?

– Nie większej niż zwykle.

– Czy widziała pani, co zrobili po wyjściu? Zamówiła pani dla nich taksówkę?

– Nie musiałam – wyjaśniła Elizabeth Gautiers. – Tutaj zawsze stoją taksówki. Przy Megsje Plejn, zaraz za rogiem... dwóch z nich wsiadło do jednej. Stałam chwilę w oknie i patrzyłam za nimi. Leverkusn i Bongler chyba poszli na piechotę.

Münster pokiwał głową i zanotował.

– Dobrze ich pani zna?

– Raczej tak. Spędzają tu co najmniej dwa wieczory w tygodniu. Bongler i Wauters bywają nawet częściej... cztery albo pięć razy. Siedzą zwykle przy barze.

– Od jak dawna tu przychodzą?

– Odkąd tu pracuję, od zawsze. Czyli z osiem lat.

– Ale wczoraj siedzieli tutaj, w części restauracyjnej?

Kobieta zgasiła papierosa i zamyśliła się.

– Tak, jak już wspomniałam, wczoraj był nietypowy wieczór. Wszyscy czterej wyglądali tak, jakby coś świętowali. Myślę, że wygrali jakieś pieniądze.

Münster zapisał.

– Dlaczego tak pani uważa? W co mogliby je wygrać?

– Nie wiem. Pewnie w zakładach piłkarskich albo w totka. W każdą środę wieczorem siedzą tu i wypełniają kupony. Wczoraj próbowali to w zabawny sposób ukryć, nie mówili na głos, tylko szeptali między sobą, ale to i owo dało się usłyszeć.

– Jest pani tego pewna?

Ponownie się zamyśliła.

– Nie – rzekła. – Ale moim zdaniem raczej nie mogło chodzić o nic innego. Byli odświętnie wystrojeni. Zamawiali drogie wina i koniak. Dania z karty... Boże drogi, to dlatego Leverkusn został zamordowany? Biedny staruszek. Okradli go?

Münster pokręcił głową.

– Raczej nie. Ktoś zadźgał go nożem.

Wpatrywała się w niego, nie dowierzając temu, co słyszy.

– Ale kto? To znaczy... dlaczego?

Najgorsze przesłuchania, pomyślał Münster, kiedy wyszedł z powrotem na ulicę, są wtedy, kiedy przesłuchiwany nie ma nic do powiedzenia poza ciągłym powtarzaniem i podkreślaniem swoich pytań. Jak przed chwilą.

Kto?

Dlaczego?

No cóż, a jednak watek pieniędzy znalazł się na tapecie... Chociaż od czasu, kiedy komisarz Münster miał romans z marksizmem, upłynęło już ładnych parę lat, wciąż raz po raz się przekonywał, że wszystko ma swoją jaskrawą ekonomiczną stronę.

Zwłaszcza w obszarze jego działania. Czyli po ciemnej stronie życia.

A zatem *qui bono*? Żona podczas rozmowy nic nie wspominała o żadnej nieoczekiwanej wygranej. Może to jest trop, za którym trzeba by pójść? Ale kiedy zastanowił się bliżej, doszedł do wniosku, że raczej nie ma nic dziwnego w tym, że owi panowie – a przynajmniej Leverkuhn – chcieli zachować wygraną w tajemnicy. Zależało im na tym, żeby ich pieniądze nie rozpląnęły się w budżecie domowym ani w żadnych innych workach bez dna.

Jeśli faktycznie udało im się coś trafić. Właściwie dlaczego by nie? Ludzie od czasu do czasu wygrywają pieniądze; co prawda jemu nigdy się to nie zdarzyło, ale prawdopodobna przyczyna leży w tym, że on bardzo rzadko grywa.

Sprawdził, która godzina, i postanowił wrócić na komendę piechotą. Unoszące się w powietrzu woale mgły zamieniły się co prawda w drobny deszcz, ale było łagodnie i w miarę ciepło, poza tym miał przecież płaszcz i rękawiczki.

Co właściwie ma do zrobienia w biurze, tego do końca nie wiedział – oczywiście poza kolejną próbą dodzwonienia się do syna i córki Leverkuhna. Jeśli będzie miał szczęście, powinien dostać już raporty od lekarza sądowego, Meussego, i od techników badających miejsce zbrodni. Poza tym pewnie znajdą się jeszcze inne rzeczy, którymi będzie musiał się zająć.

Niewykluczone też, że Jung i Moreno zdążyli już wyciągnąć coś

z tamtych pozostałych facetów, ale co do tego może lepiej nie robić sobie zbyt dużych nadziei. Kiedy wysyłał ich dwoje z zadaniem, oboje wyglądali na bardziej zmęczonych, niż dopuszczają to policyjne procedury.

Ale najlepiej by było... wprost cudownie by było, rozmyślał, gdyby zastał na swoim biurku kartkę, na której będzie napisane, że jeden z tych gości pękł ze strachu i się przyznał. Albo ktoś inny, ktokolwiek. I wtedy... wtedy nic nie będzie stało na przeszkodzie, by wrócił do domu, do Synn i dzieci, i poświęcił resztę dnia na życie rodzinne.

Piękna, szara niedziela, wymarzona, by spędzić ją w domu. Poza tym odłożenie decydującego przesłuchania do poniedziałku ma na pewno swoje zalety. Po dobie przesiedzianej w areszcie większość sprawców miękkła i przeważnie wyśpiewywała wszystko, czego od nich oczekiwano.

Nieraz już tego doświadczył.

Jakie jednak istniało prawdopodobieństwo, że ów sprawca naprawdę się pojawił... Komisarz Münster postanowił nie zastanawiać się nad tym głębiej. Wolał pozwolić sobie jeszcze na chwilę nadziei. Przecież nigdy nic nie wiadomo. Jeśli w tej przeklętej pracy jest coś pewnego, to właśnie to – że nigdy nic nie wiadomo.

Postawił kołnierz dla osłony przed deszczem i w nastroju ostrożnego optymizmu wsunął ręce do kieszeni płaszcza.



## 4

Junga bolała głowa.

Nie bez powodu, mimo to, nie zdradzając kolegom swojego samopoczucia, wsiadł w tramwaj i pojechał na Armastenplejn, gdzie mieszkał Palinski. To był jeden z tych dni, kiedy nie warto się spieszyć, przekonywał sam siebie z pedagogiczną perswazją.

Wagon był niemal zupełnie pusty o tej pogańskiej niedzielnej godzinie. Kołysząc się na zniszczonym, pociętym siedzeniu, próbował wcisnąć do puszek z coca-colą, którą kupił w kantine, dwie musujące tabletki od bólu głowy. Efektem była zaskakująco intensywna produkcja piany, co zmusiło go do wyłopania całej tej pniącej się zawartości najszybciej, jak potrafił. Mimo wszystko na kurtce i spodniach pojawiło się kilka plam. Zauważył, że jego zachowanie nie znalazło przychylności w dwóch parach oczu zacnych kobiet, wwiercających się w niego z siedzeń z tyłu. Owe świeżo odprasowane damy były prawdopodobnie w drodze do kościoła, aby dostąpić tam w pełni zasłużonej łaski.

Wszystko mi jedno, pomyślał Jung. Odpowiedział im kosym spojrzeniem i, na ile się dało, wytarł plamy chustką.

Kiedy wysiadał z tramwaju, ból głowy wciąż nie ustąpił. Znalazł poszukiwany dom, a tuż obok otwartą kawiarnię. Po kilkusekundowym wahaniu wszedł do środka i zamówił filiżankę mocnej kawy.

Jak człowiek ma mieć dyżur, to powinien trzymać się z daleka od alkoholu! To stara sprawdzona zasada, ale wczoraj były właśnie urodziny Maureen, a w takich sytuacjach są inne priorytety. Poza tym mieli w końcu mieszkanie tylko dla siebie – tak naprawdę pierwszy raz od chwili, kiedy zamieszkali razem pod koniec sierpnia. Sophie nocowała u koleżanki. Albo może u przyjaciela, ostatecznie niedługo będzie miała siedemnaście lat.

Najpierw kilka godzin siedzieli, jedli i popijali. Potem przez dwie kolejne rozpili przed telewizorem całkiem drogą rioję. Później kochali się przez

półtorej godziny. Co najmniej. Pamięta, że kiedy spojrzął na zegarek, było pięć po wpół do czwartej.

Dyżurny zadzwonił za kwadrans szósta.

Jestem dzisiaj wrakiem, pomyślał Jung. Ale całkiem młodym i szczęśliwym wrakiem.

Wypił kawę i zamówił sobie jeszcze jedną.

Palinski też wyglądał jak wrak, tyle że o czterdzieści lat starszy. Jego biała koszula być może wczoraj wieczorem była czysta, ale po gęstych alkoholowych oparach nie imponowała już świeżością. Spod niej wystawały dwie cienkie, chuderlawe nogi pokryte żyłakami, zakończone szarymi skarpetkami zwiniętymi w obwarzanki. Głowa kiwała się na mizernej łodydze szyi i sprawiała wrażenie, jakby lada chwila miała odpaść. Dłonie trzęsły się jak skrzydła skowronka, zamocowanie dolnej szczęki nie funkcjonowało.

Niech to diabli, pomyślał Jung, podtykając Palinskiemu pod nos swoją legitymację służbową. Stoję oko w oko z własną przyszłością.

– Jestem z policji – oznajmił. – Mogę wejść?

Palinski zakaszłał. Potem przymknął oczy.

Ból głowy, postawił jednoznaczny diagnozę Jung, po czym wcisnął się do środka.

– O co chodzi? Nie czuję się dobrze.

– Ma pan kaca – stwierdził Jung. – Niech pan nie przesadza.

– Nie... tak – plątał się Palinski. – Co pan chce przez to powiedzieć?

– Nie wie pan, co to kac?

Palinski nie odpowiedział, tylko odkaszlnął jeszcze więcej flegmy i ją przełknął. Jung rozejrzał się za jakąś sopluczką i cały czas starał się płytko oddychać. Powietrze w mieszkaniu było ciężkie i przesiąknięte zapachem starego mężczyzny kopącego papierosa. Dym, nieświeże ubranie, brudna podłoga. Jung znalazł kuchnię i szeroko otworzył w niej okno, następnie usiadł przy chwiejącym się stole, dając znak ręką gospodarzowi, aby zrobił to samo.

– Najpierw wezmę proszek – stęknął Palinski i poczłapał do pomieszczenia, które pewnie miało być łazienką.

– Bardzo proszę! – krzyknął za nim Jung. – Czekam tu na pana.

Minęło pięć minut. Palinski wrócił w postrzępionym płaszczu kąpielowym i ze świeżo umytą twarzą. Zdaje się, że był trochę przytomniejszy.

– Czego pan, u diabła, chce? – spytał, siadając naprzeciwko gościa.

– Leverkusen nie żyje – powiedział Jung. – Czy coś panu wiadomo na ten temat?

Palinskiemu opadła dolna szczeka i w tym samym momencie przestał być zadziorny.

– Co takiego?

– Został zamordowany – uzupełnił Jung. – Co pan na to?

Palinski wpatrywał się w niego z na wpół otwartymi ustami i znowu zaczął dygotać.

– Co... u diabła, pan opowiada?

– Mówię, że ktoś zamordował Waldemara Leverkusna w jego domu dzisiejszej nocy. Pan jest jedną z ostatnich osób, które widziały go żywego, i chciałbym usłyszeć, co pan ma do powiedzenia.

Wydawało się, że Palinski zaraz zemdleje. Cholera jasna, chyba trochę za ostro zacząłem, uznał Jung.

– Wczoraj byliście razem w mieście – starał się mówić nieco łagodniej. – Zgadza się?

– Tak... oczywiście.

– U Freddy’ego przy Weiskerstraat?

– Tak.

– Jeszcze z dwoma innymi znajomymi?

– Tak.

Palinski zamknął usta i przytrzymał się kantu stołu.

– Jak się pan czuje? – spytał Jung ostrożnie.

– Nie najlepiej – odparł Palinski. – Jestem chory. To znaczy, że on nie żyje?

– Nie żyje – potwierdził Jung. – Ktoś wbił w niego nóż co najmniej dwadzieścia razy.

– Nóż...? – zakwilił Palinski. – Nie rozumiem.

– My też nie. Czy nie mógłby pan zrobić kawy albo herbaty?

Zastanowilibyśmy się nad wszystkim w spokoju.

– Tak, tak... jasne – odpowiedział gospodarz. – Kto, do cholery, to zrobił?

– Nie wiemy.

Palinski wstał z wysiłkiem.

– Wszyscy pójdziemy tą drogą – stwierdził nieoczekiwanie. – Chyba najpierw muszę wzmocnić się paroma kropelkami. Co za koszmarna historia!

– Mnie też proszę poczęstować – powiedział Jung.

Opuścił Palinskiego godzinę później z nie do końca trzeźwą głową i z nie do końca jasnym umysłem. Tak więc siedzieli U Freddy'ego – jak w niejedną sobotę wcześniej. Od mniej więcej wpół do siódmej do jedenastej. Jedli, pili i gawędzili. O polityce, kobietach i wszystkim, co się dzieje między niebem a ziemią.

Jak zwykle. Może nawet stracili trochę kontrolę. Leverkusn wylądował pod stołem, ale nic się nie stało.

Potem Palinski pojechał jedną taksówką razem z Wautersem. Dotarł do domu gdzieś dwadzieścia po jedenastej i od razu położył się do łóżka. Bongler i Leverkusn chyba zrobili sobie spacer, ale nie był tego pewien. Kiedy odjeżdżał z Wautersem, tamci dwaj stali jeszcze na chodniku i o czymś dyskutowali.

Czy zdarzały się między nimi jakieś nieporozumienia? Nie, skąd! Byli najlepszymi na świecie przyjaciółmi! Właśnie dlatego spotykali się U Freddy'ego w każdą środę i sobotę, a czasami nawet częściej.

Jacyś wrogowie? Oczywiście Leverkusna.

Nie... Palinski delikatnie pokręcił swoją obolałą głową. Skąd mieliby się wziąć? Przecież w takim wieku nie ma się już wrogów. Ludzie mający wrogów nie dożywają tylu lat.

I nie zauważył niczego szczególnego w zachowaniu Leverkusna tamtego wieczoru?

Palinski zmarszczył czoło i zastanowił się przez chwilę.

Nie, ni cholery.

Kiedy Jung wyszedł z powrotem na dwór, padał deszcz. Mimo to postanowił iść piechotą do dzielnicy nad kanałem, gdzie miał następane spotkanie.

Z Bongerelem.

Według otrzymanych informacji Bonger mieszkał na barce zacumowanej przy Betrandgraacht. Idąc wolnym krokiem wzdłuż Palitzerlaan i Keymerstraat, Jung przypomniał sobie, że często sam zastanawiał się nad taką alternatywą. Przynajmniej kiedyś. Przed Maureen. Było coś pociągającego w pomysle mieszkania na łodzi. Spokojne kołysanie ciemnych wód kanału. Niezależność. Wolność... albo przynajmniej jej złudzenie... tak, coś w tym było.

Kiedy dotarł na miejsce, zdał sobie sprawę, że jest też druga strona medalu.

Siedziba Bongera okazała się starą, płaską drewnianą skrzynią wielkości ledwie dziesięciu metrów, zanurzoną podejrzanie głęboko w czarnej wodzie i już na pierwszy rzut oka domagającą się odświeżenia i pielęgnacji. Pokład był zavalony kanistrami, cumami i innymi starymi rupieciami, a właściwa część mieszkalna na rufie chyba znajdowała się w przeważającej części pod lustrem wody.

Rany boskie! – pomyślał Jung, mimowolnie trzęsąc się w deszczu. Co za ohydna wilgotna nora!

Między nabrzeżem a relingiem leżała wąska, chwiejna kładka, jednak Jung wolał na nią nie wchodzić. Zamiast tego pociągnął za koniec liny, która biegła od barierki przy kanale przez gałąź drzewa do dzwonka na kominie. Rozległy się dwa głuche uderzenia, nie wzbudzając niczyjej reakcji. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że ta łajba jest pusta. Jeszcze raz pociągnął za linę.

– Nie ma go!

Jung odwrócił się szybko. Ochrypły głos należał do szczelnie okutanej kobiety, która dziesięć metrów dalej przywiązywała właśnie swój rower do drzewa nad kanałem.

– Nie widać dymu i żadnego światła – wyjaśniła. – Czyli nie ma go w domu. On zawsze pamięta, żeby zapalić lampy.

– Rozumiem – powiedział Jung. – Pani jest pewnie sąsiadką?

Kobieta chwyciła swoje dwie siatki i przełożyła je nad relingiem łodzi, która wyglądała trochę porządniej niż ta Bongera – w oknach wisiały zasłonki w czerwoną kratkę, a w niewielkiej szklarni na pokładzie rosły jakieś rośliny. Prawdopodobnie pomidory.

– Zgadza się – potwierdziła kobieta i z zadziwiającą zręcznością dostała

się na swoją barkę. – Jeśli oczywiście szuka pan Felixa Bongera.

– Tak, właśnie jego szukam. Nie wie pani przypadkiem, gdzie on się podziewa?

Sąsiadka pokręciła głową.

– Powinien być w domu, ale przed wyjazdem do miasta zadzwoniłam do niego. Zawsze w niedzielę robię małe zakupy na Małym Targu... ale go nie zastałam.

– Na pewno go nie ma? – dopytał Jung.

– To niech pan wejdzie i sam sprawdzi! – prychnęła kobieta. – My tu nie zamykamy mieszkań.

Jung zdecydował się mimo wszystko wejść na pokład. Zszedł po kilku stopniach w dół i uchylił drzwi. Zobaczył podłużne, wąskie pomieszczenie z rozkładaną kanapą, stołem i dwoma krzesłami, piecykiem elektrycznym, lodówką i telewizorem. Ubrania wisiały na wieszakach na ścianie, a książki i gazety leżały wszędzie, gdzie popadnie. Pod sufitem kołysały się goła żarówka na kablu i wypchana papuga na drążku. Na niskiej szafie zauważył wysłużony akordeon.

Ale najbardziej dojmującym doznaniem była woń brudu i zatęchłej wilgoci. I starego człowieka.

No nie, pomyślał Jung. Z brzegu to robi o wiele lepsze wrażenie.

Kiedy wrócił na pokład, kobieta zniknęła już na swojej łodzi. Jung zawahał się chwilę; miałby pewnie do niej kilka pytań, ale kiedy ostrożnie przeszedł przez pomost z powrotem na nabrzeże, poczuł takie ssanie w żołądku, że nie mógł go już dłużej ignorować.

Poza tym zmarzł. Uznał więc, że jeśli wróci na komendę trochę okrężną drogą, będzie mógł wstąpić do Kurmanna i zjeść tam pieczeń myśliwską ze smażonymi ziemniakami i sosem. Nic prostszego.

I do tego piwo.

Dochodziła już dwunasta, a prawdziwy mężczyzna od razu wprowadza swoje pomysły w czyn.

## 5

Marie-Louise Leverkusn opuściła komendę z błogosławieństwem Münstera w niedzielę tuż po godzinie pierwszej. Towarzyszyła jej Emmeline von Post, przyjaciółka, u której spędziła sobotni wieczór i która została poinformowana o przerażających wydarzeniach z poprzedniej nocy kilka godzin temu.

Od razu, bez najmniejszego wahania, zaoferowała świeżej wdowie schronienie w swoim segmencie za miastem, w Bossingen.

Na razie. Dopóki wszystko się trochę nie uspokoi. Czyli jak długo będzie trzeba.

Obie znały się od pięćdziesięciu lat. A pracowały razem przez dwadzieścia pięć.

Münster odprowadził obie kobiety na parking i zanim wsiadły do czerwonego renault pani Post, podkreślił jeszcze raz, jak bardzo mu na tym zależy, aby pani Leverkusn zgłosiła się natychmiast, jeśli tylko przypomni się jej coś, co mogłoby pomóc policji w śledztwie.

W śledztwie, którego celem jest znalezienie mordercy jej męża.

– Tak czy inaczej, za kilka dni się z panią skontaktujemy – dodał. – I bardzo dziękuję pani, pani von Post, za gotowość pomocy.

– Ludzie muszą się nawzajem wspierać w potrzebie – odparła korpulentna przyjaciółka, zapinając pasy na fotelu kierowcy. – Bo co by to było?

No właśnie, co by to było, pomyślał Münster, po czym wrócił do swojego pokoju na trzecim piętrze.

Prawdopodobnie świat by się stoczył. Ale czy nie znajdował się już na dobrej drodze ku temu?

Raport techników był gotów pół godziny później. Siedząc w swoim pokoju i przeżuwając dwie kanapki z automatu stojącego w kantine, Münster

przeglądał wszystkie otrzymane ekspertyzy.

Nie była to lektura podnosząca na duchu.

Waldemar Leverkusn został zamordowany wieloma głębokimi pchnięciami noża w tułów i szyję. Dokładną liczbę ciosów ustalono na dwadzieścia osiem, ale podczas zadawania ostatnich dziesięciu–dwunastu ofiara prawdopodobnie już nie żyła.

Nie stwierdzono stawiania oporu przez napadniętego, a śmierć nastąpiła przypuszczalnie między godziną 1.15 a 2.15. Uwzględniając zeznania żony, można ograniczyć ten interwał do 1.15–2.00, ponieważ pani Leverkusn wróciła do domu tuż po godzinie drugiej.

W momencie śmierci Waldemar Leverkusn miał na sobie koszulę, krawat, slipki, spodnie i skarpetki, a zawartość alkoholu w jego krwi wynosiła 1,76 promila.

Na miejscu nie zabezpieczono żadnej broni, nie ma jednak wątpliwości, że narzędziem zbrodni musiał być duży, solidny nóż o ostrzu długości około dwudziestu centymetrów – być może ten sam, który zgodnie z zeznaniami pani Leverkusn zniknął z jej kuchni.

Na miejscu zabójstwa nie zabezpieczono także żadnych odcisków palców ani innych śladów, które mogłyby wskazać jakiś trop, ale miała zostać jeszcze przeprowadzona analiza chemiczna włókien i innych cząsteczek.

Wszystko to było dokładnie odnotowane na ośmiu gęsto zapisanych stronach maszynopisu, które Münster przeczytał dwa razy.

Potem zadzwonił do Synn i rozmawiał z nią przez dziesięć minut.

Następnie położył nogi na biurku.

Później zamknął oczy i usiłował wyobrazić sobie, jakie kroki poczyniłby Van Veeteren w sytuacji takiej jak ta.

Ułożenie listy nie zajęło mu dużo czasu. Zadzwonił do dyżurnego i poinformował, że chce widzieć u siebie inspektora Junga i inspektor Moreno o godzinie czwartej.

A potem zjechał windą do piwnicy i dwie godziny siedział w saunie.

– Ładna pogoda – powiedział Jung.

– Wczoraj świeciło słońce – zauważył Münster.

– Mówię poważnie – odparł Jung. – Lubię takie deszczowe dni. Ta szarość



za oknem jakoś zmusza człowieka, żeby zwrócił się ku swojemu wnętrzu. Ku sprawom istotnym, jeśli rozumiecie, co mam na myśli... żeby skupił się na swoim wewnętrznym pejzażu.

Moreno zmarszczyła czoło.

– Czasami – odezwała się – czasami nawet zwykły kolega może powiedzieć coś, co jest naprawdę rozsądne. Chodziłeś na jakiś kurs?

– Do szkoły życia – odpowiedział Jung. – Kto zaczyna?

– Panie mają pierwszeństwo – rozstrzygnął Münster. – Ale zgadzam się, masz rację... coś jest w tych wilgotnych, czarnych pniach drzew... ale może lepiej przejdźmy już do rzeczy.

Ewa Moreno otworzyła notes i zaczęła:

– Benjamin Wauters. Urodzony w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym we Frigge. Zamieszkały w Maardam od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego. Wcześniej mieszkał to tu, to tam. Przez całe życie pracował na kolei, to znaczy aż do emerytury. Zatwardziały stary kawaler... żadnych krewnych, w każdym razie takich, o których chciałby słyszeć. Dostyc gadatliwy, aż za bardzo, jeśli mam być szczerą. Gadatliwy i samotny. Ci koledzy od Freddy'ego to całe jego towarzystwo, poza kotką. Chyba półdługowłosa angora. Nigdy nie widziałam tak starannie wyszczotkowanego kota, poza tym odniosłam wrażenie, że on i ta kotka chyba razem jadają posiłki. Całe mieszkanie jest bardzo czyste... kwiaty w oknach i tak dalej.

– Wczorajszy wieczór? – przerwał jej Münster.

– Właściwie nie miał wiele do powiedzenia na ten temat – odparła Moreno. – Zdaje się, że tym razem zafundowali sobie kolację, wyjątkowo, bo zwykle siedzą tylko przy barze. Przyznał, że trochę się wstawili. Leverkusen spadł pod stół i wtedy uznali, że pora się wynosić. Jest miłośnikiem sportu i graczem, czego wcale nie ukrywał... to by było mniej więcej tyle, ale kosztowało mnie to dwie godziny spędzone przy kawie i słuchaniu nieprzyzwoitych historyjek.

– Żadnych przypuszczeń w sprawie morderstwa?

– W każdym razie żadnych przemyślanych – powiedziała Moreno. – Jest pewien, że to musiał być jakiś szalenciec albo czysty przypadek. Twierdzi, że nie ma nikogo takiego, kto mógłby chcieć skończyć z Leverkusnem... to dobry kumpel i wspaniały facet, jeśli nawet czasem trochę pokrecony. Mówiąc szczerze, to się z nim zgadzam. Tak czy siak, wydaje się

wykluczone, żeby któryś z tych dziadków miał coś wspólnego z morderstwem.

– Też tak uważam – powiedział Jung i zdał relację ze swojego spotkania z Palinskim oraz z wizyty na łodzi Bongera na kanale.

Münster westchnął.

– Nic, zero – podsumował. – Właściwie trudno było spodziewać się czego innego.

– Czy drzwi były otwarte? – spytał Jung. – Mam na myśli mieszkanie Leverkusna.

– Tak.

– Czyli wystarczy, że przechodził tamtędy jakiś naćpany... Zakrada się i znajduje biednego śpiącego staruszka, na którym może się wyładować. A potem wychodzi tak samo, jak wszedł. Proste, prawda?

– Eleganckie rozwiązanie – odezwała się Moreno. – Tylko jak mamy znaleźć tego gościa?

Münster pomyślał chwilę.

– Jeśli to rzeczywiście tak przebiegło, to nigdy go nie znajdziemy.

– Chyba że on sam zacznie paplać – powiedział Jung. – A ktoś będzie tak miły i da nam cynk.

Münster znowu siedział chwilę w milczeniu, przenosząc wzrok z Junga na Moreno.

– Myślicie, że to faktycznie tak się odbyło? – spytał.

Jung wzruszył ramionami i ziewnął. Moreno wyglądała na niezbyt przekonaną.

– Nie da się wykluczyć – powiedziała. – Dopóki nie mamy chociażby cienia motywu, wszystko wskazuje w tym kierunku. Poza tym przecież nic nie zginęło z mieszkania... nic poza tym nożem.

– W dzisiejszych czasach nie trzeba mieć motywu, żeby kogoś zabić – odezwał się Jung. – Wystarczy, że jesteś wściekły albo czujesz się z jakiegoś powodu pokrzywdzony... wtedy chodzi tylko o to, żeby komuś przyłożyć... Mam podać parę przykładów?

– Nie, dziękuję – odparł Münster. – Wiemy. Motyw zaczyna wychodzić z mody.

Odchylił się na krześle i splótł ręce na karku. Cyfrowy zegarek Moreno

wydał z siebie smutne piśnięcie.

– Piąta – stwierdziła Moreno. – Mamy coś jeszcze?

Münster zaczął grzebać w papierach na biurku.

– Nie sędzę... chociaż czekajcie: czy któryś z nich wspominał coś o jakiejś wygranej?

Moreno spojrzała na Junga i potrząsnęła głową.

– Nie. A dlaczego? – spytał Jung.

– Pracownicy od Freddy’ego mówią, że wyglądało to tak, jakby tych czterech coś świętowało tego wieczoru, ale to tylko przypuszczenia. Tamten czwarty... Bonger, musimy się postarać go gdzieś złapać.

Jung potaknął.

– Wstąpię znowu do niego po drodze do domu. A jeśli nie, to jutro rano... on nie ma telefonu, można dzwonić do sąsiadki. Aż trudno uwierzyć, że ludzie jeszcze tak żyją.

– To znaczy jak? – spytała Moreno.

– No, bez telefonu. W dzisiejszych czasach.

Münster wstał z miejsca.

– *All right* – powiedział. – Dzięki za dzisiejszą niedzielę. Chyba musimy trzymać kciuki, żeby jutro rano znalazł się sprawca, który sam się przyzna.

– Nie miałbym nic przeciwko temu – rzekł Jung. – Chociaż nie wierzę, żeby kogoś, kto wykańcza w ten sposób biednego staruszka, zaczęły męczyć wyrzuty sumienia. To nie jest miła historia.

– Ohydna – powiedziała Moreno. – Jak zawsze.

W drodze do domu Münster pierwszy raz wstąpił na Kolder-weg, żeby zobaczyć miejsce zbrodni. Ponieważ to on kierował dochodzeniem, przynajmniej na razie, była najwyższa pora, żeby się tam pojawił. Przez dziesięć minut obszedł całe nieduże, trzypokojowe mieszkanie. Wyglądało mniej więcej tak, jak sobie wyobrażał. Dosyć wysłużone, ale mimo to stosunkowo porządne i czyste. Przykłady złego smaku widoczne na ścianach i w meblach w kiepskim stylu z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Osobne sypialnie, regały bez książek i mnóstwo zaschniętej krwi na zapadniętym łóżku Leverkusna i wokół niego. Ciało zostało oczywiście zabrane, podobnie jak pościel, za co Münster był wdzięczny. Wystarczyło mu

oglądanie zdjęć dziś przed południem.

Moreno miała rację.

To było ohydne.

Kiedy w końcu wrócił do domu, zauważył, że Synn płakała.

– Co się dzieje? – spytał, obejmując ją tak ostrożnie, jakby składała się z samych snów.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Nie chcę, żeby nasze życie wyglądało tak jak teraz. Rano wstajemy do pracy i wyprawiamy dzieci do szkoły. Widzimy się, kiedy jest ciemno, jemy i idziemy spać. I tak przez cały tydzień... Wiem, że tak musi być, ale pomyśl. Gdyby tak to wszystko skończyło się za miesiąc. Albo za pół roku. To jest nieludzkie, musi być też czas, żeby żyć.

– Tylko żyć? – odezwał się Münster.

– Tak, tylko tyle – odparła Synn. – Tak, zdaję sobie sprawę, że są ludzie, którzy mają gorzej... dziewięćdziesiąt pięć procent ludzkości, mówiąc dokładnie.

– Dziewięćdziesiąt osiem – poprawił Münster.

Pogłaskał ją troskliwie po plecach i ramionach.

– Może pójdziemy popatrzeć na dzieci, jak śpią?

– Jeszcze nie śpią – powiedziała Synn.

– To musimy być jeszcze chwilę cierpliwi – odparł Münster.

## 6

Gdy w poniedziałek rano Münster przekroczył próg komendy, dopiero wtedy przypomniał sobie, że ciągle jeszcze nie skontaktował się z dziećmi Leverkusna. Od morderstwa upłynęło półtorej doby, najwyższa pora ich zawiadomić. Na szczęście media w swoich bardzo powściągliwych informacjach na temat zabójstwa nie wymieniały żadnego nazwiska, miał więc nadzieję, że to, co chciał im przekazać, usłyszą od niego po raz pierwszy.

Wystarczająco trudno jest być posłańcem złych nowin. Ale jeszcze gorzej, jeśli bliscy ofiary zostali już poinformowani. Münster miał okazję doświadczyć czegoś takiego kilka razy.

Aby uniknąć dalszej zwłoki, polecił Krausemu przygotować grunt. Nie kazał mu przekazać samej wiadomości, tylko nawiązać kontakt, tak by on osobiście mógł poinformować o smutnym zdarzeniu.

Wiedział, że to jest jego obowiązek.

Po półgodzinie miał na linii pierwsze dziecko Leverkusna.

Młodszą córkę. Ruth Leverkusn. Czterdzieści cztery lata, zamieszkała w Wernice, dobre sto kilometrów od Maardam. Gdy tylko Münster oznajmił jej, że ich ojcu przytrafiło się nieszczęście, mimo odległości od razu ustalili termin spotkania. Ruth Leverkusn nie lubiła rozmawiać o poważnych sprawach przez telefon.

Ale o śmierci Waldemara Leverkusna dowiedziała się dopiero z tej rozmowy.

I o tym, że Münster dzwoni z komendy policji.

Tak więc umówili się w kawiarni Rote Moor przy Salutorget. Ponieważ ona – z jakiegoś powodu – wolała takie miejsce niż komendę.

I już o godzinie jedenastej. Ponieważ – z jakiegoś innego powodu – wolała spotkać się z policją przed wizytą u matki w Bossingen.

Syn, Mauritz Leverkus, urodzony w 1958, zgłosił się zaledwie dziesięć minut później. On mieszkał jeszcze dalej na północ – we Frigge. Również w rozmowie z nim Münster był bardzo jednoznaczny. Albo jeszcze bardziej.

Ojciec nie żyje.

Umarł w nocy z soboty na niedzielę. We własnym łóżku. Został zamordowany, wszystko na to wskazuje. Przy użyciu noża.

Wszystko na to wskazuje? – pomyślał Münster, wsłuchując się w ciszę w słuchawce. To wyjątkowo ostrożne sformułowanie.

Potem w gorączkowych pytaniach Mauritza Leverkusa usłyszał, albo zdawało mu się, że słyszy, znajome mu typowe oznaki szoku.

Kiedy, powiedział pan?

A gdzie była mama?

Gdzie jest teraz ciało?

W co był ubrany?

Münster odpowiedział na te pytania i jeszcze kilka innych. Pamiętał także, aby podać mu numer Emmeline von Post, żeby syn mógł skontaktować się z matką. Na sam koniec wyraził współczucie i umówił się z nim na spotkanie we wtorkowe przedpołudnie.

Teraz bowiem Mauritz Leverkus zamierzał jak najszybciej – najpóźniej tej nocy – pośpieszyć do matki.

Jeśli chodzi o Irene Leverkus, najstarszą córkę, Münster skontaktował się już z Geffnerhemmet, w którym przebywała od czterech lat. Wzbudzająca ogromne zaufanie dyrektorka wysłuchała go z pełnym zrozumieniem, po czym oświadczyła, że osobiście zadba o to, aby przekazać jej wiadomość o nagłej śmierci ojca.

W najwłaściwszy i jak najdelikatniejszy sposób.

Irene Leverkus nie była silną osobą.

Swoją rozmowę z nią Münster postanowił na razie przesunąć na później. Owa wzbudzająca zaufanie dyrektorka dała bowiem do zrozumienia, że najprawdopodobniej nic z niej dla niego nie wyniknie i że przypuszczalnie są ważniejsze rzeczy, którymi on powinien się teraz zająć.

Siedział jeszcze przez chwilę i zastanawiał się, co by to mogło być. Jakie

ważniejsze rzeczy? Zostało jeszcze pół godziny do odprawy i z braku innych możliwości zaczął na nowo przeglądać raport techników, który po nocy został uzupełniony o kilka kolejnych stron. Zadzwoił też do lekarza medycyny sądowej, Meussego, i do Muldera z laboratorium, jednak żaden z nich nie potrafił rzucić specjalnie dużo światła w mrok. Mówiąc precyzyjnie: ani odrobiny.

Ale wciąż jeszcze było kilka ekspertyz do przeprowadzenia, więc na pewno istniała nadzieja.

– Nie ma się co gorączkować – stwierdził spokojnie Mulder. – Wszystko ma swój czas.

W ten poniedziałkowy poranek Junga nie bolała już głowa.

Ale był zmęczony. Sophie wróciła do domu dosyć późno w niedzielę wieczorem po niemal dwóch dobach nieobecności. Przy herbacie, kanapkach i domowych pogaduszkach w kuchni wyszło na jaw, że wykorzystwała okazję i ostatniej nocy zadebiutowała seksualnie.

Uważała, że to najwyższy czas; ma szesnaście lat, niedługo skończy siedemnaście, a większość jej koleżanek już dawno ją wyprzedziła. Niefortunne było tylko to, że właściwie nie czuła się specjalnie zainteresowana chłopakiem – niejakiem Fritzem Kümmerle, nawiasem mówiąc, obiecującym środkowym napastnikiem o zacięciu Beckenbauera i o wytyczonej przyszłości na boiskach piłkarskich Europy i świata – oraz że wszelkie kwestie związane z antykoncepcją pozostały zupełnie na marginesie.

Pomijając już to, że była trochę oszołomiona. Czerwonym winem i innymi rzeczami.

Oczywiście to przede wszystkim Maureen zajęła się swoją szlochającą córką, mimo to Jung zdał sobie sprawę – z podejrzanym poczuciem zarówno wyobcowania, jak i satysfakcji – jakim wyrazem zaufania było to, że w ogóle został dopuszczony do tej rozmowy. Co prawda zna Sophie od czterech czy pięciu lat, ale jest w końcu jedynie jej przyszywanym ojcem.

Choć pewnie nie bez znaczenia był też fakt, że jej rodzony ojciec to zwykły dupek.

Tak czy siak, ani Jung, ani Maureen, ani nieszczęśliwa debiutantka nie poszli spać wcześniej niż przed wpół do drugiej.

Czuł się więc odrobinę zmęczony.

Łajba Bongera nie wyglądała ani trochę porządniej. Była tak samo zapuszczona jak poprzedniego dnia, stwierdził Jung. Na próżno pociągnął kilka razy za linkę od dzwonka i rozejrzał się po ciemnym kanale. Kobieta z sąsiedniej barki wydawała się być u siebie; z komina wydobywała się szara strużka dymu, a rower stał przywiązany pod lipą w tym samym miejscu, w którym go wczoraj zostawiła. Jung podszedł w tamtą stronę. Kaszlnął uprzedzająco i pękiem kluczy stuknął w pomalowaną na czarno barierkę biegnącą wzdłuż relingu. Po kilku sekundach kobieta ukazała się w wąskich drzwiach. Miała na sobie gruby wełniany sweter, sięgający do kolan, wysokie gumowce i czapkę z daszkiem. W jednej ręce trzymała jakieś wypatroszone zwierzę – chyba zającą, jeśli Jung dobrze widział – a w drugiej – nóż.

– Przepraszam – rzucił Jung.

– Słucham? – odezwała się kobieta. – A, to znowu pan?

– Tak – potwierdził. – Chyba powinienem się przedstawić. Jestem z policji kryminalnej. Inspektor Jung. Jak mówiłem, szukam pana Bongera.

Skinęła z niezadowoleniem głową, cały czas chyba świadoma tego, co trzyma w rękach.

– Na potrawkę – wyjaśniła. – Anders wczoraj go ustrzelił... to znaczy mój syn.

Podniosła do góry chudego zająca, któremu Jung próbował się przyjrzeć z miną znawcy.

– Ładny – powiedział. – Kiedyś wszystkich nas to czeka... A wracając do pana Bongera... czy nie widziała go pani przypadkiem?

Kobieta pokręciła głową.

– Od soboty – nie.

– Nie wrócił wczoraj do domu?

– Nie sędzę.

Wyszła na pokład i spojrzała w stronę barki sąsiada.

– Nie ma świateł ani dymu – stwierdziła. – Czyli jego też nie ma, tak jak mówiłam panu wczoraj. Jeszcze coś?

– Czy on często tak znika?

Wzruszyła ramionami.

– Nie – powiedziała. – Zwykle nie ma go co najwyżej kilka godzin. A dlaczego chce się pan z nim zobaczyć?



- Rutynowe działanie – odparł Jung.
- Co to, u diabła, znaczy? – rzekła sąsiadka. – Nie jestem idiotką.
- Chcemy mu zadać kilka pytań.
- A w jakiej sprawie?
- Pani chyba nie przepada za policją? – spytał Jung.
- Pudło – odparła kobieta.

Jung zastanowił się chwilę.

– Chodzi o morderstwo – wyjaśnił potem. – Jeden z przyjaciół Bongera został zamordowany. Mamy nadzieję, że pan Bonger ma może jakieś informacje, które mogłyby nam pomóc.

- Zamordowany – powtórzyła sąsiadka.
- Tak. I to w wyjątkowo brutalny sposób. Właśnie czymś takim. Wskazał na jej nóż. Między brwiami kobiety pojawiła się bruzda.

– A tak przy okazji: jak się pani nazywa? – kontynuował Jung, wyjmując z kieszeni notes.

– Jümpers – odpowiedziała kobieta niechętnie. – Elizabeth Jümpers... A kiedy to się stało?

– W sobotę w nocy – odparł Jung. – Pan Bonger był jedną z ostatnich osób, która widziała ofiarę, to znaczy Waldemara Leverkusna. To jego znajomy, prawda?

– Ten Leverkusn? Nie wiem... nigdy nie słyszałam takiego nazwiska.

– Nie orientuje się pani, czy pan Bonger ma jakichś krewnych albo przyjaciół, u których mógłby się zatrzymać?

Kobieta zamyśliła się, po czym powoli pokręciła głową.

- Nie, nie wydaje mi się. On jest raczej dosyć samotną osobą.
- Często go ktoś odwiedza na barce?
- Nigdy. W każdym razie ja ani razu nikogo tu nie widziałam.

Jung westchnął.

– No cóż – powiedział. – W końcu chyba się pojawi. Jeśli go pani spotka, czy mogłaby pani przekazać, że go szukałem? Dobrze by było, żeby skontaktował się z nami jak najszybciej... może zadzwonić o każdej porze.

Podał jej wizytówkę. Kobieta odłożyła nóż, wzięła kartonik i wsunęła go do tylnej kieszeni spodni.

– Tak czy inaczej, dziękuję za pomoc – rzekł Jung.

– Nie ma za co. Przekażę mu – obiecała.

Jung zawahał się.

– Czy dobrze się mieszka na takiej barce? – spytał.

Kobieta prychnęła.

– A czy dobrze jest być inspektorem? – odparowała.

Jung skierował ku niej urzędowy uśmiech i poszedł.

– Udanej potrawki! – krzyknął jeszcze, znajdując się na wysokości łajby Bongera, ale kobieta już weszła do środka.

Baba herod, pomyślał i wszedł do samochodu.

Ale chyba poczciwa pod tą skorupą.

No to jak to jest być inspektorem?

Dobre pytanie, naprawdę. Postanowił jednak go nie zgłębiać. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że może jeszcze uda mu się zdążyć na poranną odprawę.

To prawda, że Emmeline von Post i Marie-Louise Leverkusn były koleżankami z pracy od dwudziestu pięciu lat.

Prawdą jest też to, że znały się już od lat pięćdziesięciu. Że nigdy nie straciły ze sobą kontaktu od chwili ukończenia ostatniej klasy szkoły handlowej w Boring. Mimo założenia rodziny, urodzenia dzieci, przeprowadzek i wielu innych rzeczy.

Ale raczej nie można było uznać za prawdę, że wdowa von Post uważała panią Leverkusn za swoją najlepszą przyjaciółkę – co ta ostatnia natomiast byłaby raczej skłonna twierdzić, gdyby ją o to spytano. Bo po śmierci Edwarda von Posta na raka przed czterema laty relacje między kobietami rzeczywiście bardzo się ożywiły – obie panie spotykały się co drugą sobotę w miesiącu, raz na Kolderweg w mieście, raz w szeregowcu w Bossingen (przynajmniej taka była zasada), mimo wszystko jednak... tak, czegoś w tym brakowało. Emmeline von Post wiedziała czego. Chodziło o mały, ale ważny detal, o ten pierwiastek bliskości, serdeczności, otwartości i babskiej paplaniny, o rzecz tak prostą, a zarazem trudną, która całkiem naturalnie i bezboleśnie zrodziła się i istniała między nią a jej trzema czy czterema innymi koleżankami, również paniami w kwiecie wieku, a nie pojawiła się nigdy w kontaktach z Marie-Louise.

Tak się sprawy miały. Niestety. Trudno powiedzieć, od czego to zależało, ale niewątpliwie w ich przyjaźni istniała pewna granica – Emmeline von Post wielokrotnie o tym myślała – niewidoczna linia, której przekroczenia się wystrzegano. Te kilka razy, kiedy ona mimo wszystko próbowała to zrobić, od razu mogła zauważyć odpowiedź w reakcji koleżanki. Wyniosłe kręcenie głową, zaciśnięte usta, uniesione ramiona... wręcz odpychające milczenie. Kiedy się nad tym głębiej zastanowiła, doszła do wniosku, że właściwie tak było od samego początku. To wcale nie przyszło z latami, a zatem to może jest tak (Emmeline von Post utwierdzała się w tym przekonaniu w chwilach filozoficznej jasności), że relacje z naszymi bliźnimi zostają określone

i utrwalone właściwie podczas najwcześniejszych kontaktów, pierwszych spotkań i potem niewiele da się już zrobić.

Dokładnie coś takiego twierdzono w amerykańskich badaniach, które dostała kilka lat temu przez klub książki.

Nie to, żeby zależało jej szczególnie na intymnych detalach dotyczących męża, dzieci czy współżycia, oczywiście że nie, jednak wszystkie pozostałe koleżanki trochę chętniej niż Marie-Louise Leverkusn uchylały drzwi do swojego prywatnego życia. Choćby odrobinę.

No cóż, nic nie mogła na to poradzić. Marie-Louise nie należała do osób lubiących się zwierzać. Ale istnieją przecież w życiu jeszcze inne wartości; mogły więc rozmawiać o swoich dolegliwościach, lekarstwach i przepisach na placek z rabarbarem. O znajomych z pracy, gwiazdach telewizji i cenach warzyw, podczas gdy wszystko co prywatne pozostawało istotnie prywatne.

To, że w tej tragicznej chwili Emmeline von Post bez wahania wysunęła się na pierwszy plan, wynikało oczywiście z faktu, że żadnych innych przyjaciółek nie było. Doskonale to wiedziała. Dla Marie-Louise Leverkusn właśnie ona – tak jak oświadczyła policji – była wierną przyjaciółką, na którą w każdym położeniu można liczyć.

Wierną i jedyną.

I nie ma się tu nad czym zastanawiać.

W czasie jazdy samochodem do pogrążonej w niedzielnej senności podmiejskiej miejscowości niewiele padło słów. Marie-Louise siedziała skulona z torebką na kolanach, przez boczną szybę patrzyła na zasłone deszczu za oknem i sprawiała wrażenie osoby wciąż pozostającej w ciężkim szoku. Głowa schowana w ramionach – jakby w obronie przed nazbyt brutalnym i natrętnym światem zewnętrznym – a na pytania Emmeline odpowiadała co najwyżej ruchem głowy albo lakonicznym „tak” lub „nie”.

– Spałaś trochę?

– Nie.

– Trzymasz się jakoś?

– Tak.

– Może zadzwonimy do twoich dzieci?

Brak odpowiedzi.

Nie jest z nią dobrze, pomyślała Emmeline.

Trudno się dziwić. Zamordowany? Waldemar Leverkusn został zamordowany! Emmeline von Post przeszył dreszcz. Kto by pomyślał?

Przez kilka minut siedziała w milczeniu, skupiając się na prowadzeniu samochodu i usiłując sobie wyobrazić, jakie to uczucie, kiedy przychodzi się do domu i znajduje się swojego starego męża wykończonego w ten sposób. Martwego. Zabitego. W kałuży własnej krwi, jak powiedzieli przez radio. Zadzganego kuchennym nożem!

Po chwili zrezygnowała z próby przywołania takiego obrazu. To dla niej po prostu za duży kaliber.

Zdecydowanie za duży. Emmeline von Post zerknęła ostrożnie na niemą przyjaciółkę na siedzeniu obok. Biedna Marie-Louise, pomyślała, obiecuję, że się tobą zajmę! Jesteś w szoku i nie możesz się pozbierać, teraz najważniejsze, żeby wmusić w ciebie kilka tabletek i położyć cię do łóżka... mam nadzieję, że wystarczy mi siły.

Kiedy rano zadzwoniono z policji, w pierwszym, bezpośrednim odruchu nie wahała się ani chwili pospieszyć przyjaciółce ze wsparciem, ale dopiero teraz, kiedy siedziała z milczącą wdową u boku, zaczynała zdawać sobie sprawę, z jaką odpowiedzialnością wiązała się ta pomoc.

Najważniejsze, żeby nie pozwolić ciszy zapanować nad wszystkim, pomyślała. Najlepiej coś mówić.

Nie było to trudne do wykonania. Bo jeśli istniało coś, co Emmeline źle znosiła, to właśnie cisza.

– Możesz zająć pokój Marta – odezwała się. – Tam nie słychać hałasu z ulicy. Odpowiada ci?

– Tak.

– W zamrażarce mam jeszcze trochę pieczeni baraniej. Możemy ją zjeść. Smakowała ci, prawda? Wtedy nie będziemy musiały robić zakupów.

– Dobrze.

– Boże drogi, ja tu gadam o jedzeniu, a ty na pewno musisz być całkiem wykończona.

Brak odpowiedzi.

– Waldemar był takim dobrym człowiekiem.

Trzeba powoli wszystko po kolei poukładać, a będzie dobrze, pomyślała

Emmeline Post i położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki. Czas jest najlepszym lekarzem.

– Co za ponura pogoda – powiedziała. – A wczoraj było tak ładnie.

Marie-Louise Leverkusn położyła się do łóżka w dawnym pokoju chłopięcym przy Geldenerstraat 24 o godzinie wpół do trzeciej w niedzielne popołudnie, a wstała dopiero około ósmej rano w poniedziałek. Przez całe popołudnie i wieczór Emmeline zaglądała do niej kilkakrotnie, a zanim poszła spać, ostrożnie postawiła na stoliku nocnym tacę z sokiem i kanapkami. Dla posilenia się i wzmocnienia witaminami. I z troski. Chociaż w tym momencie jej biedna przyjaciółka wyraźnie potrzebowała przede wszystkim ciszy i spokoju. To było jasne jak słońce.

I miała to zapewnione. Ale, mówiąc szczerze, to nie wystarczało.

Jeśli chodzi o Emmeline, minione popołudnie i wieczór były dla niej dosyć frustrujące. Pieczeń barania kilkakrotnie lądowała w tę i z powrotem w zamrażalniku, aż w końcu wstawiła ją do lodówki i postanowiła, że będzie w sam raz na poniedziałkowy obiad. Wypiła co najmniej pięć kubków herbaty i dwa razy podlała kwiaty. Dosyć dziwnie się czuła, wiedząc, że jej stara przyjaciółka śpi w pokoju Marta, który wyprowadził się z rodzinnego domu osiem lat temu, ale nadal regularnie przyjeżdżał i sypiał wówczas w swoim dawnym, ani trochę niezmiennym pokoju – a zwłaszcza gdy jego zdecydowanie za młoda żona znowu zrobiła skok w bok. Swoją drogą to już ostatni dzwonek, żeby on w ogóle kogoś sobie znowu znalazł; wiek trzydziestu pięciu lat to nie pora, by pomieszkiwać u mamusi. Jak to się mówi: wszystko ma swój czas.

Teraz w jego łóżku leżała Marie-Louise Leverkusn, ponieważ jej mąż został zamordowany. Kiedy Emmeline przemykała ostrożnie na palcach po domu, żeby nie przeszkadzać przyjaciółce ani jej nie obudzić, doszła do wniosku, że dobrze się stało, iż Edward – jej Edward – miał na tyle dobrego smaku, że umarł na raka, a nie dał się zadźgać nożem do krojenia mięsa.

Morderstwo! To straszne. Za każdym razem dostawała gęsiej skórki, kiedy tylko przychodziło jej do głowy to słowo. Przez kilka minut nie potrafiła myśleć o niczym innym.

A potem, kiedy za oknami i po kątach zaległ głęboki mrok, zaczęła się zastanawiać, kto mógłby dopuścić się tej zbrodni, co wcale nie poprawiło jej samopoczucia, bo przecież ten zabójca wciąż był na wolności!

Później jej myśli znowu skupiły się na Marie-Louise; na ich spotkaniu w sobotni wieczór, na grze w wista przy portwajnie (może dokładnie w tym samym czasie, kiedy Waldemar już nie żył!) i na osobliwej lakoniczności przyjaciółki w czasie jazdy samochodem i przez te pół godziny, zanim poszła się położyć... Emmeline von Post miała wrażenie, jakby Marie-Louise w końcu wchłonęła jakaś chmura zmęczenia. Uległa jej jak zawrotowi głowy.

To naprawdę było dziwne.

Oczywiście trudno oczekiwać, żeby człowiek w takiej sytuacji zachowywał się normalnie, ale...? Poza tym było coś jeszcze, stwierdziła Emmeline von Post. Coś zupełnie osobliwego, co tkwiło gdzieś głęboko w tym niemym zamknięciu się przyjaciółki i nie dawało spokoju. Bóg jeden wie, co to było.

Po chwili potrząsnęła głową i uznała, że to na pewno jedynie ta cisza zalegająca w całym domu i ciemność wypełzająca z kątów oraz jej myśli o ciele w kałuży krwi na łóżku dają pożywkę jej fantazji... jednak mimo wszystko, mimo wszystko nie dało się zaprzeczyć, że tak naprawdę nie wiedziała specjalnie dużo o Marie-Louise Leverkuhn i jej życiu przez wszystkie te lata. Bardzo niewiele.

A o jej mężu? Kompletnie nic.

Ale może tak to już jest, że ludzie w gruncie rzeczy niewiele o sobie wiedzą. Człowiek jest zagadką, jak to Edward – jej Edward – zwykł niekiedy mawiać. Pieprzoną zagadką nie do rozwiązania (od czasu do czasu pozwalał sobie na użycie mocniejszych słów)!

Zaszedłszy tak daleko w swych rozważaniach, Emmeline zajrzała do kuchni i nalała do szklanki solidny łyk whisky. Wypiła ją na stojąco, a gdy stwierdziła, że nadal ma gęsią skórę, pozwoliła sobie na jeszcze jedną porcję. To był jeden z tych wieczorów, kiedy po prostu nie dało się inaczej.

W poniedziałek rano zadzwoniły dzieci.

Ruth i Mauritz – jedno po drugim, w odstępie niecałych piętnastu minut. Marie-Louise zamknęła się w sypialni, rozmawiając z nimi, tak więc Emmeline nie mogła usłyszeć ani słowa, nawet gdyby chciała.

Ale chyba wiele sobie nie powiedzieli. Obie rozmowy nie trwały w sumie dłużej niż pięć minut – jakby Marie-Louise obawiała się o wysokość rachunku, chociaż to przecież nie ona dzwoniła.

– Musisz zacząć o tym mówić – zwróciła się Emmeline do przyjaciółki, gdy ta usiadła znowu do śniadania po rozmowie z synem. – Zamykanie się i tłumienie tego w sobie nie jest dobre.

Marie-Louise Leverkusn spojrzała na nią zmęczonym, pustym wzrokiem.

– A co, na litość boską, mam mówić? – rzekła.

Nie upłynęły trzy sekundy, gdy nagle wybuchła gwałtownym płaczem.

Nareszcie, pomyślała Emmeline von Post i czule otoczyła przyjaciółkę ramieniem. Nareszcie.



## 8

– Jakieś komentarze? – spytał Münster, rozkładając zdjęcia na stole, tak by każdy mógł im się przyjrzeć do woli.

Różnice były niewielkie: pokłute nożem martwe ciało Waldemara Leverkusna z różnej odległości i widziane pod różnym kątem. Krew. Zmierzwiona pościel. Rany w zbliżeniu. Biała skóra usiana plamami wątrobowymi. Absurdalnie kolorowy krawat wystający spod poduszki. Krew. Mnóstwo krwi.

Moreno pokręciła głową. Detektyw Heinemann zdjął okulary i zaczął je przecierać swoim zdecydowanie dyskretniejszym krawatem. Rooth przestał przeżuwać kawałek czekolady i demonstracyjnie odwrócił się plecami do stołu. Jedynie młody Krause ze zmarszczonym czołem studiował w poczuciu obowiązku wszystkie makabryczne detale.

– Zabierz je stąd! – powiedział Rooth. – Mój układ pokarmowy domaga się chociaż odrobiny respektu. Poza tym byłem na miejscu i widziałem wszystko na żywo.

Na żywo? – powtórzył w myślach Münster. On to nazywa „na żywo”? Już dawno mi się nie zdarzyło oglądać czegoś tak definitywnie pozbawionego życia. Westchnął i zebrał zdjęcia, ale pozostawił dwa na blacie jako przypomnienie, po co się właściwie zebrali.

– Zaczniemy od raportu techników – powiedział. – A swoją drogą, gdzie jest Jung?

– Miał spotkać się z tym Bongerelem – wyjaśniła Moreno. – Pewnie niedługo się pojawi.

– No więc raport techników – powtórzył Münster. – Niestety nic nowego, same potwierdzenia tego, co już wiadomo. Waldemar Leverkusn został zabity dwudziestoma ośmioma mniej i bardziej głębokimi pchnięciami noża w brzuch, klatkę piersiową i szyję. Głównie w brzuch. Wiadomo, że jest to dosyć pewny cel, zresztą kiedy zadaje się tyle ciosów, precyzja nie jest

najważniejsza. Czyli na co by to wskazywało?

– Na osobę kompletnie niezrównoważoną psychicznie – powiedział Krause z tłumionym entuzjazmem. – Musiał być zupełnie opętany... przynajmniej kiedy to robił.

– To prawda – odezwał się Rooth, przełknąwszy ostatni kawałek czekolady. – Ćpun na głodzie. Przecież te dźgnięcia są wszędzie. A co na to Meusse?

Münster pokiwał głową.

– To nawet dosyć prawdopodobne. Zdaje się, że morderca zadawał je na oślep. Niektóre dosyć głęboko – na dziesięć albo piętnaście centymetrów, niektóre płycej. Kilka wywołało tylko zadrapania. Sprawca był praworęczny, co do tego nie ma wątpliwości.

– Okej – odezwała się Moreno – praworęcznych narkomanów mamy w mieście ze trzy tysiące. Może wymyślilibyśmy jakąś bardziej wyrafinowaną teorię? Jeśli w naszej fantastycznej pracy jest coś, czego nie znoszę, to właśnie tego, kiedy trzeba węszyć wśród ćpunów.

Münster, trzymając łokcie na stole, splótł dłonie i oparł na nich brodę.

– Nie zawsze da się wybrać pole gry – stwierdził filozoficznie. – Niestety. Ale jeśli powstrzymamy się od spekulacji, zobaczymy, gdzie wylądujemy... wiedza jest matką hipotez, jak mawia Reinhart. Nie wiemy dużo, ale jednak zawsze coś.

– No to słuchamy – powiedział Rooth. – Tylko daj już spokój z tą poezją.

– Jeśli chodzi o narzędzie zbrodni... – kontynuował Münster niezrażony – był nim solidny nóż. Ostrze miało co najmniej dwadzieścia centymetrów długości. Płaskie i ostre. Sądząc po opisie pani Leverkusen, był to nóż do krojenia mięsa, który według niej zniknął tego samego wieczoru z kuchni.

– I który teraz – uzupełnił Rooth – z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością leży na dnie jednego z kanałów. Jeśli dobrze liczę, mamy do wyboru w sumie około pięciu tysięcy metrów...

– Hm – odezwał się Heinemann. – Interesujące... z punktu widzenia czystej kalkulacji. Trzy tysiące ćpunów razy pięć tysięcy metrów kanałów. Czyli prawdopodobieństwo znalezienia i sprawcy, i narzędzia wynosi... jeden do piętnastu milionów.

Odchylił się na krześle i poprawił sobie krawat na brzuchu.

– Po prostu tryskasz optymizmem – powiedziała Moreno akurat

w momencie, gdy w drzwiach pojawił się Jung.

– Przepraszam – rzekł. – Byłem służbowo...

– Świetnie – rzucił Rooth. – Siadaj!

Münster chrząknął. Nie znoszę prowadzić takich zebrań, pomyślał. Nie jestem wystarczająco arogancki. Ale pewnie nauczę się z czasem.

– Jeśli chodzi o godzinę – zaczął znowu – możemy przyjąć, że Leverkuhn został zamordowany między piętnaście po pierwszej a piętnaście po drugiej. Kiedy trochę przycisnąłem Meussego, przyznał, że według niego nastąpiło to w drugiej półgodzinie, czyli od za piętnaście druga.

– A o której żona wróciła do domu?

– Trzy, cztery minuty po drugiej – poinformowała Moreno.

– Czyli przedział czasowy się zawężyła – wtrącił Krause. – Przyjmując oczywiście, że Meusse ma rację.

– Meusse nie pomylił się ani razu przez piętnaście lat – rzekł Rooth. – A więc między kwadrans przed drugą a drugą. To znaczy, że ona mogła go zobaczyć. Czy ktoś sprawdził, czy kogoś nie widziała?

– Tak – powiedział Krause. – Nie widziała nikogo.

– Czyli to mogła być także ona – zwrócił uwagę Heinemann. – Nie możemy tego wykluczyć. Sześćdziesiąt procent zamordowanych mężów traci życie z rąk własnych żon.

– Co ty powiesz? – odezwał się Rooth. – Jakie to szczęście, że człowiek się nie ożenił.

– Uważam... – zaczął znowu Heinemann.

– Wiemy, co uważasz – westchnął Münster. – O wiarygodności pani Leverkuhn możemy podyskutować później, a najpierw zajmiemy się wynikami z laboratorium.

Wyjął papiery z teczki.

– Wszędzie znajdowało się bardzo dużo krwi – kontynuował – zarówno na łóżku, jak i na podłodze. Nie udało się jednak znaleźć żadnych bezpośrednich dowodów. Żadnych odcisków palców, poza odciskami samej ofiary i gdzieś tam starymi odciskami żony. A jedyne ślady znalezione na podłodze też pozostawiła ona, kiedy weszła do pokoju i odkryła martwego męża. Jak wspominałem, mieli oddzielne sypialnie.

– A w pozostałej części mieszkania? – spytała Moreno.

– Wszędzie tylko jej ślady.

– Przepraszam – wtrącił się Heinemann. – Czy ona rzeczywiście podeszła do samego łóżka? Przecież nie musiała. Na pewno zobaczyła, że on nie żyje, jak tylko stanęła w drzwiach. Trzeba sprawdzić, czy faktycznie musiała się tak szastać po tej sypialni...

Przerwał mu Krause.

– Twierdzi, że najpierw szła po ciemku, a kiedy się zorientowała, że coś jest nie tak, wróciła do drzwi i zapaliła światło.

– Aha – powiedział Heinemann.

– To zgadza się co do joty z krwawymi śladami stóp – wyjaśnił Münster. – Może tylko wydawać się dziwne, że morderca zdołał oddalić się z miejsca zbrodni, nie zostawiając żadnych śladów krwi. Choć Meusse mówi, że to nic nadzwyczajnego. Bo wprawdzie rozlało się jej mnóstwo, ale nie wytrysnęła jak fontanna, tylko w większości wyciekła, kiedy było, że tak powiem, po sprawie. Wszystko zależy od tego, w które tętnice się trafi.

– Krew starego człowieka – rzucił Rooth – jest ociężała.

– Tak, to prawda – potwierdził Münster. – Nie jest wcale pewne, czy zabójca miał krew na rękach. A jeśli, to na pewno niedużo.

– Świetnie – rzekł Jung. – Czyli z technicznego punktu widzenia nie mamy praktycznie ani jednego, nawet najmniejszego śladu. To chciałeś nam powiedzieć?

– Niestety na to wygląda – przyznał Münster.

– No dobra – odezwał się Rooth. – To może zrobimy sobie małą przerwę na kawę. Bo zaraz popadniemy w depresję.

Spojrzał po kolegach przy stole, wyraźnie oczekując aprobaty.

Przydałby się tu komisarz, pomyślał Münster i wstał.

Ale jest, jak jest... Münster oparł się wygodnie na krześle i wyciągnął ręce w górę, podczas gdy Rooth i pani Katz rozstawiali kubki i talerzyki.

Dobry rok temu słynny komisarz został urlopowany ze służby i poświęcał się teraz starym książkom zamiast wykonywać profesję policjanta. Wiele wskazywało na to, że nie zamierza już w ogóle wrócić na komendę.

Mówiąc szczerze, wskazywało na to właściwie wszystko. To szef policji Hiller obstawał przy tym rozwiązaniu z „urlopowaniem”, ale, o ile Münster

się orientował, Van Veeteren był gotów pożegnać się ze służbą już raz na zawsze. Przeciąć wszystkie cumy.

Można powiedzieć, że Münster nawet trochę mu zazdrościł. Kiedy był ostatnio u Krantzego – w któreś pochmurne popołudnie w połowie września – zastał tam Van Veeterena zagłębionego w wytartym skórzanym fotelu, gdzieś z tyłu między regałami załamującymi się pod ciężarem książek, z jakimś starym woluminem na kolanach i kieliszkiem czerwonego wina na podłokietniku. Łagodny wyraz jego twarzy miał wiele wspólnego z obliczem tybetańskiego lamy.

Nie brakowało więc powodów, by przypuszczać, że Van Veeteren pociągnął grubą kreskę.

A Reinhart? – pomyślał Münster. Detektyw Reinhart siedział od trzech tygodni w domu i baraszkował ze swoją ośmiomiesięczną córeczką. Zgodnie z jego oświadczeniem, zamierzał nie wracać do Bożego Narodzenia; decyzja ta wywołała pianę na ustach szefa policji, Hillera, i zeza z wściekłości. Przynajmniej na jakiś czas.

Nic na razie nie mówiono o żadnym zastępstwie. Za żadne z tych znaczących nazwisk. Jeśli była okazja ograniczyć wydatki, oczywiście skrzętnie z niej korzystano. Niech się dzieje, co chce.

*The times they are a-changin'*, stwierdził Münster i sięgnął po drożdżówkę.

– Ta żona jest jednak jakaś dziwna, nie uważacie? – Krause podjął znowu ten sam wątek. – A przynajmniej to, jak się zachowuje.

– Racja – powiedział Münster. – Musimy jeszcze raz z nią porozmawiać... dzisiaj albo jutro. Chociaż w tej sytuacji to chyba nic niezwykłego, że wydaje się trochę nieobecna i zdezorientowana.

– W jakim sensie zdezorientowana? – spytał Heinemann.

– No cóż – zaczął Münster. – Informacje dotyczące czasu się zgadzają. Jechała tamtym pociągiem, a w sobotę w nocy rzeczywiście była awaria prądu i pociąg dotarł na Centralny dopiero za kwadrans druga, czyli z godzinnym opóźnieniem. Zatem mogła być w domu mniej więcej o tej godzinie, o której mówi... zresztą jeden z sąsiadów powiedział, że ją chyba słyszał. Pani Leverkusn znajduje swojego męża martwego kilka minut po drugiej, ale dzwoni na policję dopiero o drugiej czterdzieści trzy. W tym

czasie była poza domem – twierdzi, że chciała zgłosić zabójstwo na komisariacie przy Entwick Plejn. Zawraca jednak, kiedy widzi, że komisariat jest zamknięty... Na ten temat można oczywiście mieć różne zdanie. Możecie się wypowiedzieć.

Minęło kilka sekund.

– Zdezorientowana – odezwał się w końcu Rooth. – Aż za bardzo zdezorientowana.

– Może i tak – powiedziała Moreno. – Ale czy nie byłoby bardziej nienormalne, gdyby ona w takiej sytuacji zachowywała się normalnie? Chociaż z drugiej strony rzeczywiście miała dość czasu, żeby pozbyć się noża... co najmniej pół godziny.

– Nie ma nikogo, kto by ją widział podczas tego spaceru? – spytał Heinemann.

Münster pokręcił głową.

– W każdym razie dotąd nikt się nie zgłosił. A co z przepytaniem ewentualnych świadków?

Krause wyprężył się.

– Będziemy gotowi dziś wieczorem – wyjaśnił. – Jej zeznań nikt do tej pory nie potwierdził. I przypuszczalnie tak zostanie, bo na ulicach było pusto i nikt nie miał też powodu, żeby wyglądać przez okno. Ale musiała przechodzić koło kawiarni Dusarts, a tam w środku na pewno siedziało parę osób. Dziś wieczorem jeszcze to sprawdzimy. Jednak, jak wspomniałem, wtedy padało...

Münster zmienił temat.

– Rodzina – powiedział. – Troje dzieci. W wieku od czterdziestu do mniej więcej pięćdziesięciu lat. Dwoje przyjeżdża do miasta dzisiaj i jutro, umówiłem się z nimi na spotkania. Najstarsza córka siedzi gdzieś w zakładzie psychiatrycznym, nie sądzę, żebyśmy w jej przypadku musieli się spieszyć... chyba żaden z was nie sądzi, że mamy tu do czynienia z porachunkami rodzinnymi, czy może jednak?

– Czy ktokolwiek ma w ogóle jakieś zdanie? – mruknęła Moreno, patrząc w swój pusty kubek po kawie.

– Ja – odezwał się Rooth. – Moja teoria jest taka, że Leverkusen został zamordowany. Może przejdziemy do pozostałych dziadków?

Moreno i Jung opowiedzieli o swoich wizytach u Wautersa i Palinskiego,

a także o nieudanej próbie nawiązania kontaktu z Bongerem. Münster przyglądał się kolanom koleżanki i myślał o Synn. Rooth zjadł jeszcze dwie drożdżówki, a Heinemann czyścił sobie paznokcie krawatem. Münster zastanawiał się, czy ta atmosfera zniechęcenia i apatii ogarnęła całą grupę, czy dotyczyła tylko jego. Niełatwo było to rozstrzygnąć, a on nie zamierzał starać się to wyjaśnić.

– Czyli gdzieś przepadł? – powiedział Rooth, kiedy Moreno i Jung już zamilkli. – Mam na myśli Bongera.

Jung wzruszył ramionami.

– W każdym razie nie było go w domu od soboty wieczór.

Krause odchrząknął z wyraźną satysfakcją.

– No i proszę – powiedział. – Czterech dziadków, a dwóch nie ma. To przecież logiczne, że jedno z drugim się wiąże. Skoro im wszystkim udało się dobić do siedemdziesiątki, a nawet ją przekroczyć, to raczej mało prawdopodobne, żeby jeden z nich zniknął z naturalnych powodów akurat dokładnie tej samej nocy, kiedy drugi zostaje zamordowany!

– Z naturalnych powodów? – spytał Jung. – Co to znaczy?

– I co to ma wspólnego z wiekiem? – zdziwił się Heinemann, marszcząc czoło. – Zawsze sobie wyobrażałem, że im człowiek starszy, tym większą szansę ma umrzeć. Nie jest tak? Z czysto statystycznego punktu widzenia...

Popatrzył po kolegach wokół stołu. Raczej żaden nie palił się do odpowiedzi. Münster uniknął jego spojrzenia i zerkał przez okno. Zauważył, że znowu zaczęło padać. Właściwie ile lat może mieć Heinemann? – przemknęło mu przez głowę.

– Hm – odezwał się Rooth. – Nie można oczywiście wykluczyć, że istnieje tu jakiś związek. Czy pozostałe dziadki wiedzą, że Bonger nie wrócił w sobotę do domu?

Jung i Moreno popatrzyli na siebie nawzajem.

– Nie – powiedział Jung. – W każdym razie nie od nas. Mamy ich trochę przycisnąć?

– Zaczekajmy – postanowił Münster. – Do jutra... jeśli do południa Bonger się nie pojawi, to będzie znaczyło, że coś tu nie gra. Bo normalnie opuszcza barękę co najwyżej na kilka godzin, tak?

– Zgadza się – potwierdził Jung.

Znowu zaległa cisza. Rooth podniósł kilka okruchów ze splądrowanego

talerza, a Heinemann znowu zajął się swoimi okularami. Krause spojrzął na zegarek.

– Mamy coś jeszcze? – spytał. – Co robimy? Może znowu pospekulujemy?

Również na to nikt nie przejawiał specjalnej ochoty. W końcu odezwał się Rooth:

– Szaleniec, stawiam na to dwie kiełbaski z różną. Morderstwo z przypadku, a jedyny motyw, jaki da się znaleźć w takiej sytuacji, to wypalony mózg ćpuna... albo jakiegoś mięśniaka na anabolikach. Chyba musiał być silny. Co Meus-se mówi na ten temat?

– Nie – odpowiedział Münster. – On... on twierdzi, że przy takim sflaczałym ciele i ostrym nożem nie trzeba wcale dużo siły.

– Niech to diabli – westchnął Rooth.

Münster czekał na kolejne komentarze, ale nie padły żadne, więc uznał, że pora kończyć.

– Być może masz rację – zwrócił się do Rootha. – Dopóki nie znajdziemy motywu, to wydaje się najbardziej prawdopodobne rozwiązanie. Może wysłać jakiegoś dobrego nosa między narkomanów?

– Dobry pomysł – powiedziała Moreno. – Wyślij, byle nikogo z nas.

– Zobaczą, co da się zrobić – obiecał Münster.

Moreno została jeszcze chwilę w pokoju, kiedy reszta już wyszła, i dopiero wtedy Münster wpadł na to, że zapomniał o jednym szczególe.

– O cholera, jest jeszcze coś – powiedział. – Ta historia z wygraną... myślisz, że to może mieć jakieś znaczenie?

Moreno podniosła wzrok znad zdjęcia, które oglądała z odrazą.

– Co masz na myśli? – spytała.

Münster zawahał się.

– Czterech dziadków wygrywa wspólnie pieniądze – wyjaśnił. – Dwóch zabija dwóch pozostałych i w ten sposób podwajają swoją wygraną.

Moreno siedziała przez chwilę w milczeniu.

– Aha – odezwała się potem. – I uważasz, że tak to się właśnie odbyło?

Münster pokręcił głową.

– Nie – odparł. – Tylko pani Gautiers od Freddy'ego coś wspomniała



o jakiejś wygranej, ale sama przyznaje, że to są jedynie jej domysły... mimo wszystko chyba powinniśmy to zbadać.

– Lepsze to niż ćpuny – stwierdziła Moreno. – Zajmę się tym.

Münster już miał na końcu języka pytanie, skąd właściwie u niej taka silna niechęć do środowiska narkomanów, gdy coś mu się przypomniało.

Inspektor Moreno ma młodszą siostrę.

Mówiąc precyzyjnie: miała. Zastanowił się chwilę. Może właśnie to ją tak dręczy, pomyślał, ale kiedy przyjrzał się jej przygarbionym plecóm i włosóm w nieładzie, zrozumiał, że musi chodzić jeszcze o coś innego. O coś zupełnie innego. Poza Synn inspektor Moreno była najładniejszą kobietą, z którą miał przyjemność kiedykolwiek utrzymywać bliższe kontakty.

– Co się dzieje? – spytał.

Zanim odpowiedziała, westchnęła ciężko.

– Okropnie się czuję.

– No właśnie widzę – odpowiedział. – Jakieś problemy osobiste?

Co za idiotyczna rozmowa. Zupełnie jakbym był jakimś wykastrowanym spowiednikiem.

Ale ona jedynie wzruszyła ramionami i wykrzywiła usta w ironicznym uśmiechu.

– Coś jeszcze?

– Posłuchaj, zrobimy tak – zaproponował trochę zbity z tropu i spojrzał na zegarek. – Ty zajmiesz się dziadkami, a ja porozmawiam z Ruth Leverkus... a potem zjemy razem obiad u Adennara. O pierwszej. Zgoda?

Moreno spojrzała na niego badawczo.

– Okej – powiedziała. – Ale ja ostatnio nie nadaję się na miłe towarzystwo.

– Nie szkodzi – odparł Münster. – Zawsze możemy pogadać o jedzeniu.

## 9

– A co w tym takiego dziwnego?

Rosła kobieta zmierzyła złowrogim wzrokiem Rootha spod swojej grzywki, on zaś stwierdził w duchu, że w walce wręcz raczej nie miałby z nią szans. A przynajmniej bez broni.

– Droga pani Van Eck – powiedział mimo wszystko i popił łyk lurowatej kawy, którą zrobił mąż na wyraźne polecenie żony. – Czy pani nie rozumie? Ktoś obcy wdziera się do mieszkania piętro wyżej, u Leverkusnów. On – albo ona, nie wiadomo – zabija pana Leverkusna dwudziestoma ośmioma ciosami noża i to wszystko dzieje się tam, na górze... – wskazał ręką na sufit. – ...niecałe siedem metrów od tego kuchennego stołu. Zabójca wypada przez drzwi, zbiega po schodach i znika. A państwo nie zauważają niczego. I to właśnie mnie dziwi!

Teraz mi przyłoży, pomyślał i na wszelki wypadek chwycił się za kant stołu, aby w razie czego szybko zerwać się na nogi. Zdaje się, że jego surowy i pełen wyrzutu ton trochę wyprowadził ją z równowagi.

– No tak, ale przecież... panie posterunkowy...

– Inspektorze – przerwał jej Rooth. – Inspektor kryminalny Rooth.

– Naprawdę? Tak czy siak, my naprawdę niczego nie zauważyliśmy, ani ja, ani Arnold. Jedyne, co słyszeliśmy tamtej nocy, to te dwa bzykające się roboty, tego Murzyna i tę jego dziwkę... prawda, Arnoldzie?

– Tak, tak – przytaknął Arnold Van Eck, drapiąc się nerwowo w dłoń od środka.

– Już to przecież mówiliśmy, i panu, i temu drugiemu z policji, jak on się tam zwał. Dlaczego nie szukacie człowieka, który to zrobił, zamiast ciągle tu przychodzić i nas dręczyć? My jesteśmy porządnymi ludźmi.

Tego nie kwestionuję nawet przez sekundę, pomyślał Rooth. Ani przez jedną sekundę. Postanowił zmienić taktykę.

– A drzwi wejściowe na dole? – zaczął. – Co z nimi? Czy one zawsze są

otwarte?

– Nie – zaprzeczyła pani Van Eck. – Bardzo możliwe, że były zamknięte, ale mają taki gówniany zamek...

– Wystarczy na nie nasikać, a same się otworzą. – Arnold Van Eck nieoczekiwanie pisnął i zachichotał.

– Zamknij się! – ofuknęła go kobieta. – Lepiej dolej kawy! Tak, to taki gówniany zamek, ale pewnie drzwi i tak były uchylone, żeby Mussolini mógł wejść.

– Mussolini? – powtórzył Rooth.

– No tak, pewnie był na dworze i jak zwykle uganiał się za babami. Nie rozumiem, dlaczego ona już dawno nie wykastrowała tego czorta.

– To kot – wyjaśnił Arnold Van Eck

– No przecież chyba sam zrozumiał, nie musisz mu tłumaczyć! – prychnęła pani Van Eck. – Jestem pewna, że zostawiła drewniany klocek w drzwiach, tak jak zawsze.

– Jasne – powiedział Rooth i zaczął rysować w swoim notesie kota, próbując sobie jednocześnie przypomnieć, czy kiedykolwiek spotkał równie ordynarną kobietę. Chyba nie. Z poprzedniej rozmowy przeprowadzonej przez aspiranta Krausego wynikało, że pani Van Eck większą część życia przepracowała w szkole dla dziewcząt jako nauczycielka, więc zdumienie było tu jak najbardziej uzasadnione.

– Co pani o tym sądzi? – zwrócił się do niej.

– O czym? – spytała.

– O morderstwie – wyjaśnił Rooth. – Kto to mógł zrobić pani zdaniem?

Otworzyła szeroko usta i wrzuciła między zęby dwa, trzy ciasteczka. Jej mąż chrząknął, ale nie odważył się też po nie sięgnąć.

– To sprawka jakiegoś imigranta – stwierdziła krótko i popiła ciastka łykiem kawy. Odstawiła filiżankę z hałasem. – Dobrze wam radzę: rozejrzyjcie się między cudzoziemcami.

– Dlaczego?

– Człowieku, czy pan jest ślepy? Coś takiego mógł zrobić tylko jakiś szaleniec! Albo gówniarze z jakiejś sekty! Tam pan znajdzie swojego mordercę. Wystarczy tylko porządnie się rozejrzeć.

Rooth zastanowił się.

– Czy państwo mają dzieci? – spytał.

– Nie, niech pan sobie wyobrazi, że nie mamy – odpowiedziała pani Van Eck i znowu przybrała groźny wyraz twarzy.

To dobrze, pomyślał Rooth. Genetyczne samouzdrawienie.

– Dziękuję – rzekł. – Nie będę już państwu zajmować czasu.

Mussolini leżał na plecach na kaloryferze i chrapał.

Rooth nigdy w życiu nie widział tak wielkiego kota, dlatego specjalnie usiadł na kanapie jak najdalej od niego.

– Rozmawiałem z państwem Van Eck – oznajmił na wstępie.

Leonore Mathisen uśmiechnęła się.

– Chce pan powiedzieć, że rozmawiał pan z panią Van Eck?

– Hm – potwierdził. – Coś w tym rodzaju. No więc zbieramy jeszcze uzupełniające informacje... Czy nie przypomniało się pani może coś związanego z tamtą nocą... minęło już trochę czasu...

– Rozumiem.

– Bardzo zdumiewa nas to, że nikt niczego nie słyszał. Na przykład pani ma swoją sypialnię niemal bezpośrednio nad sypialnią Leverkusnów. Zasnęła pani o...

Zaczął kartkować w swoim notesie i po chwili udało mu się znaleźć szukaną informację.

– Około wpół do pierwszej...

Zgadza się, stwierdził Rooth. Pani Leonore Mathisen nie była wiele niższa niż pani Van Eck, ale materiał był zupełnie inny, stwierdził. To tak, jakby... jakby obok krzewu porzeczek postawić blok granitu. Na dodatek ów krzew miał na sobie ubranie z gładkiego i własnoręcznie farbowanego materiału w kolorach żółtym, czerwonym i fioletowym, a do tego wstążki we włosach o tych samych odcieniach. Blok granitu był szarobrazowy i o co najmniej ćwierć wieku starszy.

– Jak mówiłam, słyszałam, kiedy sąsiad przyszedł do domu. Zdaje się, że tuż przed północą. Potem włączyłam radio i leżałam w łóżku, słuchając muzyki chyba do... myślę, że przysnęłam gdzieś po półgodzinie.

– Wrócił sam? – spytał Rooth.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nawet nie jestem pewna, czy to rzeczywiście on. Słyszałam, jak ktoś idzie po schodach, a potem otworzyły się drzwi i zaraz zamknęły... to były ich drzwi, co do tego nie mam wątpliwości.

– Żadnych głosów?

– Nie.

Rooth przewrócił kartkę w notesie.

– Jaki on był? Mam na myśli pana Leverkusna.

Leonore Mathisen zaczęła obracać w palcach nieduży drewniany koralik, których cały sznur oplatał jej szyję, i jednocześnie ważyła każde słowo.

– Tak naprawdę nie wiem – powiedziała. – Raczej dosyć uprzejmy. Zawsze grzecznie się kłaniał... był porządny i dobrze wychowany, choć czasami się zdarzało, że wypił sobie ze znajomymi o jednego za dużo, ale nigdy nie aż tyle, żeby stracił kontrolę. Ale ja spotykałam go tylko, jak wchodził albo wychodził.

– Jak długo pani tu mieszka?

Kobieta policzyła w myślach.

– Jedenaście lat – powiedziała. – Leverkusnowie chyba dwa razy dłużej.

– A jego stosunek do żony?

Po raz kolejny wzruszyła ramionami.

– Chyba normalny. Dwoje starszych ludzi, którzy spędzili razem całe życie... ona bywała czasami dosyć apodyktyczna, ale mój mąż miał gorzej.

Roześmiała się.

– Czy pan jest żonaty, inspektorze?

– Nie – przyznał Rooth. – Jestem kawalerem.

Znowu nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

Jej ciężki biust kołysał się w górę i w dół, a Mussolini obudził się raptownie. Rooth uświadomił sobie, że nigdy jeszcze nie kochał się z kobietą o takich gabarytach, i przez kilka chwil, podczas gdy salwa śmiechu stopniowo opadła, a Mussolini począpał do przedpokoju, próbował sobie wyobrazić, jakie by to mogło być doznanie.

Potem wrócił do rzeczywistości.

– Czy prowadzili ożywione życie towarzyskie?

Pokręciła głową.

– Często ich ktoś odwiedzał?

– Nie, prawie nigdy. W każdym razie nie zauważyłam... przecież mieszkają tuż pode mną i muszę przyznać, że najczęściej jest tam cicho jak w grobie, nawet kiedy oboje są w domu. Jedyni lokatorzy, których słyhać, to tamci młodzi, co mieszkają...

– Tak, wiem – przerwał jej Rooth. – I tamtego wieczoru też tak było?

– Tak, dokładnie tak samo – powtórzyła kobieta, przeciągając w zamyśleniu palcem wskazującym po swym odsłoniętym przedramieniu.

Potem się uśmiechnęła, ukazując dwadzieścia cztery nienagane zęby. Co najmniej dwadzieścia cztery.

Boże drogi, pomyślał Rooth, czując, że pałają mu policzki. Ona ma na mnie ochotę. Teraz.

Lepiej stąd zwiewać, zanim obudzę w niej bestię!

Wstał, podziękował i poszedł śladem Mussoliniego.

Bzykające się roboty – Tobose Menakdise i Filippa de Booning, jak wynikało z kartki z odręcznie napisanymi nazwiskami wiszącej nad otworem na listy – nie zareagowały na dzwonek, a kiedy Rooth przyłożył ucho do drzwi, nie usłyszał ze środka nawet najmniejszego szmeru. Doszedł do wniosku, że nie ma ich w domu, i postawił w notesie znak zapytania. Wrócił więc na trzecie piętro, do pana Engela.

Ruben Engel miał co najmniej sześćdziesiąt pięć lat, a w jego twarzy dominował okazały, czerwony nos, który tak bardzo rzucał się w oczy, że z profilu mężczyzna przypominał Roothowi papugę, której obrazek wisiał przed laty w jego dziecięcym pokoju. Nie potrafił powiedzieć, czy ten wygląd – pana Engela, a nie papugi – wiązał się z nadmierną konsumpcją alkoholu, czy też miał źródło w innych przyczynach medycznych, ale tak czy siak, gospodarz na samym wstępie zaprosił go do kuchni na małą szklaneczkę grzanego wina.

W mieszkaniu jest taka piekielna wilgoć, wyjaśnił pan Engel, że zawsze musi zacząć dzień od jednego czy kilku rozgrzewających napojów.

Oczywiście żeby nie zachorować.

Poza tym w mieszkaniu było całkiem czysto, stwierdził Rooth z satysfakcją. Mniej więcej tak jak u niego. Brudne naczynia tylko z kilku dni. Gazety jedynie z kilku tygodni, a na parapecie i telewizorze nie więcej

niż miesięczna warstwa kurzu.

– Chodzi naturalnie o pana Leverkusna – zaczął Rooth, przełknąwszy łyk parującego napoju. – W sobotę w nocy powiedział pan, że trochę go pan znał. Czy to znaczy, że utrzymywaliście ze sobą kontakty?

Engel potaknął.

– Ale tylko tak po sąsiedzku – wyjaśnił. – Przecież mieszkaliśmy w jednym domu przez dwadzieścia lat. Czasami wybieraliśmy się na mecze piłki nożnej. Od czasu do czasu wychyliliśmy kieliszeczek.

– Ach tak? Jak często?

– Na mecze chodziliśmy raz w roku – powiedział Engel. – Człowiek robi się coraz starszy. A na stadionie nie brakuje chuliganów. Przy kieliszeczkach zdarzało nam się usiąść trochę częściej. Ja zwykle chodzę na dół do Gambrinusa, ale wtedy biorę ze sobą Faludiego.

– Kto to jest?

– Mój dawny kolega z pracy. Arab, ale diabelnie sympatyczny. Mieszka niedaleko stąd. Na zdrowie!

– Na zdrowie – odpowiedział Rooth.

– A pan przypadkiem nie jest na służbie?

– Skoro piję, to nie jestem – odparł Rooth. – Czy myślał pan jeszcze o sobotnim wieczorze, tak jak pana prosiłem?

– He?... Tak, jasne – rzekł Engel, oblizując sobie wargi. – Jednak nie przypominałem sobie niczego poza tym, co już powiedziałem.

– Nie słyszał pan nic szczególnego, a może coś zwróciło pana uwagę?

– Nic. Wróciłem do domu mniej więcej o wpół do dwunastej i od razu poszedłem do łóżka. Chwilę przysłuchiwałem się naszej parze kochanków i zasnąłem tak około północy... muszę panu inspektorowi powiedzieć, że to całkiem dobra kołysanka na dobranoc dla takiego starego onanisty jak ja. He, he.

Wywrócił oczami i zapalił papierosa. Rooth westchnął.

– I nic więcej?

– Nic a nic, już mówiłem.

– A kto według pana mógł to zrobić? – spytał Rooth.

To stara zasada Van Veeterena. Zawsze pytaj ludzi, co myślą! Po pierwsze, bardzo się wtedy koncentrują, kiedy im się pozwala wyrazić własną

opinię. Po drugie, istnieje całkiem spora szansa, że jeśli trzy osoby na pięć mają takie samo zdanie, to może się nie mylą.

A w niektórych przypadkach wystarczą nawet dwie na pięć.

Engel palił papierosa i dumał. Potarł sobie nos i pociągnął znowu wina.

– Na pewno nikt z tego domu – powiedział w końcu. – I żaden z jego kompanów. To musiał być jakiś obcy szaleniec.

Rooth podrapał się po karku.

– Nie wie pan, czy on miał jakichś wrogów albo kogoś, kto mu źle życzył?

– A skąd! – odparł Engel. – Leverkusn to był porządny chłop.

– A jego żona?

– Też porządna kobieta – odparł Engel lakonicznie. – Trochę gderliwa, ale one takie już są. Pan inspektor jest żonaty?

– Nie – odpowiedział Rooth i opróżnił swoją szklanę. – Jakoś się nie złożyło.

– Mnie też nie – oznajmił mężczyzna. – Nigdy nie umiałem zatrzymać przy sobie kobiety na dłużej niż trzy godziny.

Rooth czuł, że ma przed sobą bratnią duszę, nie zamierzał jednak zgłębiać tego podobieństwa.

– No dobrze – rzekł. – Wobec tego dziękuję panu. Niewykluczone, że jeszcze się z panem skontaktujemy.

– Mam nadzieję, że uporacie się z tą sprawą – powiedział na pożegnanie gospodarz. – Ostatnimi czasy za dużo zabójców biega na wolności.

– Zobaczymy – odparł Rooth.

Tak czy inaczej, można odnieść wrażenie, że nikogo to jakoś specjalnie nie poruszyło, pomyślał, kiedy znalazł się znowu na klatce schodowej. Jeśli rzeczywiście mają w tym przypadku do czynienia z szaleńcem – i to z cudzoziemskim szaleńcem – to powinno dać się zauważyć chociaż jakieś oznaki strachu i ostrożności. Tymczasem nic z tych rzeczy – przynajmniej jeśli nie brać zbyt dosłownie słów wypowiedzianych na pożegnanie przez Rubena Engela.

A może ludzie z czasem oswoili się z przemocą i perwersyjnymi czynami tak samo jak on. I trudno się im dziwić, pomyślał ponuro Rooth.

Gdy wyszedł z domu, zagadnął go około trzydziestopięcioletni brodaty



mężczyzna z notesem i długopisem w rękach.

– Bejman, „Neuwe Blatt” – przedstawił się. – Czy znajdzie pan dla mnie chwilę?

– Nie – rzekł Rooth.

– Tylko kilka pytań.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo już otrzymaliście wszystkie informacje.

– Ale od tamtego czasu chyba ustaliliście coś nowego?

– Hm – bąknął Rooth, rozglądając się wkoło. – Ale nieoficjalnie.

Bejman pochylił się ku niemu, żeby lepiej słyszeć.

– Szukamy rudowłosego karła.

– Rudowłosego...?

– Tylko niech pan, do cholery, nic nie pisze. Bo nie jesteśmy jeszcze pewni.

Przez dwie sekundy obserwował ruch zmarszczek na wypukłym czole reportera. Następnie przeciął ulicę i wszedł do samochodu.

Nie powinienem był tego mówić, pomyślał.

## 10

W Rote Moor dominowały sztukaterie, mało gustowne żyrandole i pewnie siebie kobiety. Münster usiadł w cieniu fortepianu o jasnej obudowie, mając nadzieję, że pianista nie pracuje przed południem. Kiedy tak siedział i czekał, patrząc przez mokre szyby na Salutorget i nie za dużą ciżbę ludzi, po raz pierwszy poczuł, że wreszcie zaczyna się koncentrować na najnowszej sprawie.

Zawsze tak było. Zawsze musiało upłynąć trochę czasu, zanim zniknęła początkowa awersja, jeden dzień albo dwa, nim był w stanie pozbyć się odruchu bezpośredniej obrony i buntu przeciwko przestępstwu, które stanowiło punkt wyjścia, sygnał startu i otwarcia w każdym nowym przypadku. W każdym nowym zadaniu.

Odraza. Zawsze ta sama. Na początku kariery – kiedy niemal wszystkie godziny służby spędzał w wilgotnych wozach patrolowych albo w beznadziejnych akcjach osłaniających czy na odpytywaniu mieszkańców w okolicy miejsca zbrodni – sądził, że to minie, kiedy tylko się nauczy patrzeć tym wszystkim okropnościom prosto w oczy. Po latach jednak zrozumiał, że tak się nie stało. Wręcz przeciwnie: im był starszy, tym bardziej zależało mu na tym, aby się chronić i zachowywać dystans do całego tego bagna. Toteż dopiero wtedy, gdy opadały i odpływały pierwsze fale niechęci i wstrętu, był sens intensywniej i wnikliwiej zajmować się sprawą. Dokładnie ją zbadać i próbować zgłębić naturę zbrodni. Jej prawdopodobne tło. Motywy.

Samą esencję, jak zwykł mówić Van Veeteren.

Schemat.

Niektóre z tych strategii komisarz oczywiście mu przekazał, ale na pewno nie wszystkie. W ostatnich latach – przy ostatnich sprawach – odraza Van Veeterena była większa niż jego własna, co do tego nie miał wątpliwości. Być może wynikało to z wieku, pomyślał Münster. Z wieku i mądrości.

Trudno powiedzieć. Ale i w ostatnim roku służby komisarza dało się znaleźć pewnego rodzaju wzorzec. I w jego obecnej egzystencji wśród tych wszystkich książek też. To, co nazywane jest determinantą, a z czym Münster nigdy tak naprawdę nie potrafił sobie poradzić. Nigdy nie zrozumiał, co właściwie oznacza. Może jeszcze to odkryje. Czas i ociążałość są kanwą nie tylko zapomnienia, ale czasami także powolnego poznawania. Naprawdę.

Pora wrócić do Waldemara Leverkusna. Reszta na bok. Münster oparł głowę na dłoniach.

Siedemdziesięciodwuletni emeryt zostaje zabity we śnie. Brutalnie zamordowany przez zadanie ogromnej, jeżącej włos na głowie liczby ciosów nożem.

Po co?

Po co, do jasnej cholery, te wszystkie dźgnięcia?

Kelnerka w białym czepeczku chrząknęła dyskretnie, jednak Münster chciał poczekać z zamówieniem na swojego gościa, więc kobieta się wycofała. Odwrócił się plecami do wnętrza lokalu i obserwował dwa gołębie, które spacerowały w tę i z powrotem za oknem po mokrym parapacie. Jednocześnie próbował przywołać w pamięci pocięte ciało Leverkusna.

Dwadzieścia osiem ciosów. Na co to wskazuje?

To oczywiste. Na obłąd. Bezgraniczny obłąd. Człowiek, który w ten sposób położył kres życiu biednego staruszka, znajdował się poza wszelką kontrolą. Nie było powodu, by zadawać kolejne ciosy po pierwszych czterech czy pięciu dźgnięciach nożem, jeżeli chodziło mu tylko o to, żeby zabić ofiarę. Meusse wypowiedział się na ten temat jednoznacznie: ostatnie pół minuty – ostatnie piętnaście–dwadzieścia ciosów – to wyraz czegoś zupełnie innego niż wola zabicia.

Wściekłość? Szaleństwo? Żądza zemsty i rewanżu? Długo żywiona, zapiekła nienawiść, która wreszcie znalazła nagłe, gwałtowne ujście?

To ostatnie to oczywiście jedynie spekulacja, ale wydawała się logiczna i nie istniało nic, co by jej przeczyło.

Spekulacja sprowadzająca się do tego, że musi być jakiś głęboko ukryty motyw.

Münster stuknął w szybę i gołębie odfrunęły ociążałe.

Ale nie było też niczego, co by przeczyło teorii Rootha o obłąkanym ćpunie.

Ruth Leverkusn przyszła dziesięć po dwunastej, spóźniła się dziesięć minut, za co długo i wylewnie przeproszała. Trochę za późno wyruszyła z domu. Duży ruch, a potem nie mogła znaleźć miejsca do zaparkowania ani na rynku, ani przy Zwille; wreszcie zatrzymała się przy Anckers steegi wrzuciła pieniądze do parkomatu tylko na pół godziny. Miała nadzieję, że to wystarczy.

W obliczu tego, o czym mieli rozmawiać, Münster słuchał tych trywialnych wyjaśnień z nieopisanym zdumieniem. Obserwował ukradkiem, jak kobieta wiesza swój brązowy płaszcz na wolnym krześle przy stoliku, jak potem nieporadnie wyjmuje papierosy i zapalniczkę z torebki, jak poprawia sobie okulary na nosie i sztuczne kwiaty na stole.

Przypuszczał, że miała mniej więcej tyle lat co on, ale była dosyć otyła i zaniedbana. Ufarbowane na brązowo włosy do ramion zwisały jak smutne i niewyprane firanki wokół bladej twarzy. Niepokój i niepewność otaczały ją niemal jak niemiły zapach potu i dopiero kiedy zapaliła papierosa, przerwała swoją nerwową paplaninę.

– Czy rozmawiała pani z mamą? – spytał Münster.

– Tak – potaknęła, zaciągnęła się papierosem, a potem przyglądała się swoim paznokciom. – Tak, już wiem, co się stało. Zadzwoiłam do niej zaraz po telefonie od pana. To straszne, niepojęte. Kiedy siedziałam w samochodzie, jadąc tutaj, myślałam, że to tylko zły sen. Ale to jednak prawda? Że ktoś go zabił... zamordował? Prawda, tak?

– Wszystko na to wskazuje – powiedział Münster.

– To przerażające... straszne – powtórzyła i znowu nerwowo zaciągnęła się papierosem. – Dlaczego?

– Na razie nie wiemy. Jeśli pani pozwoli, chciałbym zadać kilka pytań.

Skinęła głową i dalej paliła. Powtórnie podeszła kelnerka i przyjęła zamówienie: café au lait dla pani Leverkusn, czarna dla niego. Münster wyjął notatnik i położył go przed sobą na stole.

– Czy miała pani dobry kontakt z ojcem? – spytał.

Drgnęła.

– Co pan ma na myśli?

– Dokładnie to, co powiedziałem. Czy miała pani z nim dobry kontakt.

– No tak... przecież był moim ojcem.

– Zdarza się przecież, że dzieci mają złe relacje ze swoimi rodzicami – zauważył Münster.

Zawahała się. Podrapała się pospiesznie po zewnętrznej stronie lewej piersi i włożyła papierosa do ust.

– Ostatnio nie kontaktowaliśmy się zbyt często.

– Ostatnio?

– Można powiedzieć, że od kiedy stałam się dorosła...

– Czyli dwadzieścia–dwadzieścia pięć lat? – chciał uściślić Münster.

Nie odpowiedziała.

– Z jakiego powodu?

– Jakoś tak się ułożyło.

– Czy z resztą rodzeństwa było podobnie?

– W gruncie rzeczy tak.

– Wobec tego jak często widywaliście się z rodzicami?

– Od czasu do czasu.

– Raz w miesiącu?

– Raczej w roku.

– Raz w roku?

– Tak... na Boże Narodzenie, ale też nie zawsze. Pewnie uważa pan, że to źle, ale oni też nie wykazywali inicjatywy. My po prostu nie najlepiej się rozumieliśmy. Po co trzymać się konwencji, jeśli żadnej stronie na tym nie zależy?

– Jestem lesbijką – dodała nieoczekiwanie.

– Rozumiem – powiedział Münster. – A co to ma do rzeczy?

– Nie wiem – odparła Ruth Leverkus. – Ale ludzie wygadują różne rzeczy.

Münster przyglądał się chwilę gołębiom, które wróciły na parapet. Ruth Leverkus wsypała do kawy dwie łyżeczki cukru i zaczęła mieszać.

– Kiedy ostatni raz widziała pani ojca?

Zgasła papierosa i zastanawiając się, sięgnęła po następny.

– Prawie dwa lata temu – stwierdziła.

– A matkę?

– Tak samo. Przyjechaliśmy na Boże Narodzenie... dwa lata temu.

Münster zanotował.

– Czy ma pani jakiś pomysł, co mogło się stać? – spytał. – Czy pani ojciec miał jakichś wrogów... ludzi, którzy znali go od dawna i za nim nie przepadali?

– Nie... – Przesunęła językiem po górnej wardze, starając się nadać twarzy wyraz zadumy. – Nie, naprawdę nie mam pojęcia.

– A co z resztą rodziny?

– Był tylko wujek Franz... umarł dwa lata temu.

Münster pokiwał głową.

– A jak się układało pani rodzicom?

Wzruszyła ramionami.

– Jakoś trzymali się razem.

– No tak – odpowiedział Münster. – A czy mieli duży krąg znajomych?

– Nie... chyba prawie żadnych.

Münster zastanowił się chwilę.

– Czy zamierza teraz pani pojechać do matki?

– Tak – potwierdziła Ruth Leverkus. – Jasne. A co pan myślał?

Ostatni przejaw dostosowania się do konwencji.

– Gdzie pani pracuje?

– Jestem sprzedawczynią w sklepie.

– W Wernice?

– Tak.

– Co robiła pani w sobotę wieczorem?

– Dlaczego pan o to pyta?

– Co pani robiła?

– Byłam w domu.

– Mieszka pani sama?

– Nie.

– Z przyjaciółką?

– Tak.

– I ona też była w domu w sobotę wieczór?

– Nie, nie było jej. Dlaczego pan pyta?

– Czy pamięta pani, co podarowała pani swojej mamie na Gwiazdkę piętnaście lat temu?

– Słucham?

– Prezent gwiazdkowy – powtórzył Münster. – W osiemdziesiątym drugim roku?

– Skąd miałabym...?

– Kuchenny nóż do mięsa – powiedział Münster. – Zgadza się?

Zauważył, że mięśnie w jej twarzy zaczęły drgać, i domyślił się, że jest bliska płaczu. Co ja, u diabła, właściwie wyprawiam – zadał sobie pytanie. Człowiek zamienia się w tym zawodzie w sadystę.

– Dlaczego? – wyjąkała. – Nie rozumiem, do czego pan zmierza. Po co to pytanie o...?

– To rutynowe pytanie – oznajmił. – Proszę nie brać tego osobiście. Czy zostanie pani tutaj na noc?

Pokręciła głową.

– Nie sędzę. Raczej wrócę wieczorem do siebie... chyba że mama będzie chciała, żebym z nią została.

A dlaczego miałyby tego chcieć? – pomyślał Münster. Następnie zamknął notes i wyciągnął rękę przez stół.

– Dziękuję, pani Leverkusn – powiedział. – Przykro mi, że musiałem panią niepokoić w tak trudnej chwili, ale bardzo nam zależy na ujęciu mordercy pani ojca. Z pewnością pani rozumie.

– Tak... oczywiście.

Podowała mu cztery zimne palce i od razu cofnęła dłoń. Münster odsunął swoje krzesło i wstał.

– Chyba zdąży pani przed upływem czasu w parkomacie.

Kobieta rzuciła okiem na zegarek, pospiesznie wcisnęła paczkę papierosów i zapalniczkę do torebki i zerwała się z miejsca.

– Dziękuję – rzuciła. – Mam nadzieję...

Münster nigdy się nie dowiedział, czego dotyczyła ta jej nadzieja. Usiłowała jeszcze na koniec się uśmiechnąć, ale kiedy jej nie wyszło, odwróciła się na pięcie i opuściła lokal.

No tak, pomyślał Münster i skinął na kelnerkę. Jeszcze jedna z tych rozmów.

Czyjeś życie w dwudziestominutowej pigułce. Jak to możliwe, że życie innych wydaje się takie łatwe do przejrzenia, podczas gdy jego własne uparcie wymyka się wszelkiej ocenie i refleksji?

Nie wiedział. To było jedno z tych pytań.



## 11

Kiedy Marie-Louise Leverkusn już się wyplakała – był to stosunkowo krótko trwający wybuch emocji, zaledwie kilkuminutowy – Emmeline von Post cofnęła rękę z ramienia przyjaciółki i zaproponowała jej przechadzkę nad rzeką. Pogoda była nie najgorsza. W ciągu dnia na pewno należało się spodziewać przelotnego deszczu, ale mogą przecież wziąć nieprzemakalne kurtki i kalosze.

Pani Leverkusn wytarła sobie nos i nie zdecydowała się jednak na spacer. Przez kilka chwil siedziała nadal przy kuchennym stole – jak ranny ptaszek, z którego uszło życie, pomyślała gospodyni – po czym oznajmiła, że chciałyby jeszcze trochę odpocząć, zanim spotka się z dziećmi. Ruth miała dotrzeć już w porze lunchu, a przecież nie wiadomo, kto kogo będzie musiał wspierać.

Emmeline nie do końca zrozumiała ostatnie słowa przyjaciółki, lecz zrobiła dobrą minę do złej gry i dostosowała się do jej woli. Postanowiła sama się przejść – na pocztę i do centrum handlowego, żeby kupić to i owo, skoro przybędzie jej osób do wykarmienia.

W tym czasie Marie-Louise, czekając na dzieci, będzie mogła robić, co tylko zechce.

Emmeline von Post posprzątała po śniadaniu i zaraz, czyli tuż przed jedenastą, wyruszyła. Kiedy trzy kwadranse później wróciła z zakupami, Marie-Louise Leverkusn zniknęła.

Drzwi do pokoju Marta były uchylone, z czego należało wnosić, że nie próbowała ukryć tego, że sobie poszła. Ale nie zostawiła żadnej wiadomości, ani w pokoju, ani nigdzie indziej.

No tak, pomyślała Emmeline, wkładając sprawunki – w zależności od rodzaju i przeznaczenia – do szafki albo do lodówki. Pewnie wyskoczyła tylko, żeby kupić znaczki pocztowe czy coś w tym rodzaju.

Na pewno zaraz wróci.

Wyjęła więc ciasto z zamrażarki, nastawiła ekspres do kawy i usiadła z gazetą przy stole w kuchni.

Czekała.

Doszła do rzeki na wysokości byle jak skleconej siedziby klubu wioślarskiego MECC, gdzie kilku młodych chłopaków zdrapywało farbę z ram okiennych. Po chwili zastanowienia skierowała się na zachód przez liściasty las, miękką ścieżką dla piechurów i jeźdźców. Niemal od razu poczuła powiew zimnego i wilgotnego wiatru znad ciemnej wody i ciasniej zawiązała sobie chustkę pod brodą. Lepsza byłaby czapka. Wsunęła ręce do kieszeni płaszcza i mocniej ścisnęła zawiniątko pod pachą.

Już kiedyś tędy szła – latem, dwa czy trzy razy w towarzystwie Emmeline – i teraz zaczęła się zastanawiać, jak jest dalej. Próbowwała sobie przypomnieć, czy jest tam jakieś bardziej niedostępne miejsce niż pozostałe, ale nie znalazła jednoznacznej odpowiedzi. Jak to nad rzeką – teren był podmokły, pełen zarośli i niezabudowany, lecz całkowitej pewności nie można mieć nigdy. Nigdy stuprocentowej, z tego już zdała sobie sprawę i to zaakceptowała – skoro nie ma możliwości spalania, co rzecz jasna byłoby najlepszym rozwiązaniem.

Uszła zaledwie kilkaset metrów, gdy jej chore kolano dało o sobie znać – charakterystyczne klucie i ciągnący ból czuła za każdym razem, kiedy stawiała prawą stopę na sypkim piasku. Zrozumiała, że zapuszczanie się dużo dalej byłoby ryzykowne.

Poza tym prawdopodobnie nie znajdzie nic lepszego. Brzeg rzeki porastały olsze i inne lubiące wilgoć rośliny, pas szuwarów ciągnął się daleko, co najmniej na szerokość pięćdziesięciu metrów. Trudno o lepsze miejsce. Przy pierwszym rozwidleniu, gdzie dróżka odbijała w głąb łądu, zatrzymała się i rozejrzała dokoła. Ani żywej duszy w zasięgu wzroku. Gliniastą ścieżką zeszła w dół, do pomostu, który biegł pod ścianą rozpadającej się szopy na łodzie. Weszła ostrożnie na śliskie, wydeptane deski i poszła za róg. Przystanęła na kilka sekund, oparła się o ścianę szopy, po czym wycisnęła powietrze z foliowej torebki i porządnie ją zawiązała. Nasłuchiwała, czy nikt nie nadchodzi, ale jedyne, co słyszała, to odległe smutne głosy ptaków i przytłumiony szum samochodów na obwodnicy. Nikogo w pobliżu. Ani jednej łodzi na rzece. Wciągnęła głęboko powietrze,

zamachnęła się i cisnęła zawiniątko przed siebie. Usłyszała trzask łamiącej się suchej trzciny i głuchy plusk wody.

Załatwione, pomyślała. Znowu rozejrzała się naokoło. Nic. Była sama i miała to za sobą.

Ponownie wsunęła ręce do kieszeni i zaczęła iść z powrotem.

Powrót trwał dłużej, niż przewidywała. Okazało się, że przeszła jednak spory kawałek, a kolano dokuczało jej już na dobre. Zwolniła kroku, starała się w ogóle nie stawać na pięcie, ale takie kuśtykanie było bardzo niewygodne, poza tym niewiele pomagało na miękkim piasku. Kiedy znalazła się znowu między zabudowaniami, zaczęło porządnie padać, postanowiła więc chwilę odpocząć. Schroniła się na rozpadającym się i zabazgranym przystanku autobusowym – usiadła na ławce, usiłując jakoś zatrzymać własne ciepło, i obserwowała nielicznych przechodniów, którzy odważyli się wyjść z domów w to deszczowe przedpołudnie. Troje albo czworo nieustraszonych właścicieli psów. Jakiś jogger w czerwonym dresie i ze słuchawkami w uszach oraz stary, biedny człowiek, który człapał z wózkiem na zakupy i grzebał w koszach na śmieci w poszukiwaniu pustych butelek. Przejechało kilka zabłoconych samochodów osobowych, ale nie pojawił się ani jeden autobus. Doszła do wniosku, że to właściwie wszystko jedno, bo i tak nie była pewna, którym mogłaby dojechać na miejsce. Po chwili zrobiło się jej naprawdę zimno, więc chociaż dobrze wiedziała, że wrażenie, iż deszcz trochę osłabł, było tylko złudzeniem, wstała i ruszyła dalej. Zauważyła, że w jej myślach nie ma porządku; krążyły i obijały się po jej głowie bez ładu i składu, jak niespokojne, gorączkowe sny, ale bardzo szybko wyparła je tęsknota za czymś gorącym do picia. Albo mocnym.

Albo i takim, i takim.

Kiedy wreszcie znalazła się przed zadbanym szeregowcem przy Geldenerstraat, było dziesięć po pierwszej, a gdy weszła do środka, przy stole w kuchni obok Emmeline von Post zastała swoją córkę.

Gdy tylko Ruth Leverkuhn ujrzała matkę w drzwiach, podniosła się z miejsca. Chrząknęła, poprawiła sukienkę i wykonała jakiś zdawkowy gest.

Marie-Louise Leverkuhn stała w milczeniu i z rękami opuszczonymi po bokach patrzyła na córkę.

Żadna z nich nie powiedziała ani słowa. Minęło pięć sekund. Emmeline von Post odstawiała z łoskotem filiżankę na spodek i spojrzała na krople deszczu przyniesione przez przyjaciółkę, które spadały teraz na próg i kawałek linoleum.

No, zróbcie coś, pomyślała. Dlaczego nic nie mówicie?

## 12

– No i co? – odezwał się Münster. – Mam nadzieję, że ich przejrzałaś?

Udało im się zająć stolik w niszy okiennej u Adenaara i właśnie zajadali się sałatką dnia.

– Jasne – odparła Ewa Moreno. – Nie mają szans. Odkryłam ich wszystkie kłamstwa... Nie, żartuję. Rozmawiałam prawie tylko z Wautersem. Palinski wybierał się do szpitala na jakieś badania. Chociaż odniosłam wrażenie...

Zawahała się i spojrzała przez okno.

– Że co? – ponaglał ją Münster. – No, jakie wrażenie?

– Że oni coś ukrywają. Kiedy spytałam Wautersa wprost, czy wygrali jakieś pieniądze, wydawał się, mówiąc szczerze, zbyt dobrze przygotowany na to pytanie. No wiesz, uniesione wysoko brwi, przesadna gestykulacja, cały ten repertuar. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby oni faktycznie skasowali jakąś grubszą sumkę.

– Nie przycisnęłaś go porządnie?

– Nie jestem w formie – usprawiedliwiła się Moreno. – Przecież ci mówiłam. Wolałam niczego nie spaskudzić. Myślę, że będzie lepiej, jak każdego po kolei przesłuchamy u nas, na komendzie... Światło prosto w oczy i tak dalej. Ale jeśli chodzi o Bongera, obaj wydają się autentycznie zdziwieni. Wauters twierdzi, że był tam i szukał go na barce, a Palinski zamierza zajrzeć w drodze ze szpitala.

Münster zastanowił się.

– Czyli twoim zdaniem oni wygrali jakieś pieniądze, ale to nie ma żadnego związku ze zniknięciem Bongera?

Moreno potaknęła.

– I w konsekwencji także nic ze sprawą Leverkusna – stwierdziła. – Nie, to jednak chyba niemożliwe. Ja myślę, że oni po prostu się boją, że na nich padnie podejrzenie. Przynajmniej Wauters jest dosyć bystry i chyba szybko zdał sobie sprawę z ryzyka, kiedy się dowiedział, co się stało

z Leverkusnem... Na regale w jego mieszkaniu stoi niejeden stary dobry kryminał.

– Poza tym mogło być im nie w smak, żeby oddawać wdowie czwartą część – zauważył Münster. – No dobrze, panowie, zgotujemy wam jutro gorące przyjęcie. Ale mimo wszystko to cholernie dziwne, że Bonger rozplywa się w powietrzu tego samego wieczoru, kiedy zostaje zamordowany Leverkusn. Musisz przyznać.

– To prawda – przyznała Moreno. – Czy zaczęliśmy go szukać?

Münster spojrział na zegarek.

– Godzinę temu wyszły ogłoszenia.

– Ma jakąś rodzinę?

– Syna w Afryce. Nie odzywał się od osiemdziesiątego piątego roku. Miał niedołęzną starszą siostrę w Gemejnte. Umarła osiem lat temu i wtedy on przeniósł się na barkę.

Moreno pokiwała głową i przez chwilę się nie odzywała.

– Prawie sami samotnie goście tym razem – powiedziała w końcu.

– Mieli siebie nawzajem – odparł Münster. – Napijemy się kawy?

– Możemy – zgodziła się Moreno.

W końcu nie mógł się już powstrzymać.

– To co z tym twoim prywatnym życiem? – spytał. – Co się dzieje?

Moreno znowu spojrziała za okno, a Münster domyślił się, że teraz jego towarzyszka szybko dokonuje oceny. Widocznie jednak był w stanie sprostać kryteriom, bo westchnęła głęboko i wyprostowała plecy.

– Wyprowadziłam się – oznajmiła.

– Od Clausa?

Przynajmniej pamiętał imię.

– Tak.

– Ojej – powiedział i czekał.

– Właśnie minął miesiąc – ciągnęła dalej po chwili. – Mam koleżankę, która na pół roku wyjechała do Hiszpanii, więc mogłam u niej zamieszkać... już po dwóch dniach zrozumiałam, że bardzo dobrze zrobiłam i że zmarnowałam pięć lat swojego życia.

Münster próbował zrobić pocieszającą minę.

– Niektórzy marnują całe życie – rzucił.

– Nie o to chodzi – powiedziała Moreno i westchnęła. – Zupełnie nie o to. Jestem gotowa zapomnieć o wszystkim, co było, i zacząć coś nowego. Doświadczenie jest doświadczeniem.

– Niewątpliwie – odparł Münster. – Co cię nie zabije, to cię wzmocni. Więc w czym jest problem?

– Chodzi o Clausa – wyjaśniła, a wokół jej ust pojawił się grymas, jakiego chyba nigdy u niej nie widział. – Chodzi o niego. Mam wrażenie... mam wrażenie, że on nie da sobie z tym rady.

Münster milczał.

– Przez te pięć cholernych lat cały czas myślałam, że to on jest ten silniejszy, a mnie nie stać na to, żeby odejść, tymczasem teraz...

Zacisnęła pięści tak mocno, że aż pobielwały jej kostki.

– ...on jest taki żałosny. Wiem, że to brzmi lodowato i bezdusznie, ale żeby on chociaż przede mną tak się nie poniżał.

– Prosi cię i błaga? – spytał Münster.

– Coś w tym rodzaju.

– Jak często się widujecie?

Moreno jęknęła.

– Kilka razy w tygodniu. A każdego dnia dzwoni. Poszedł na zwolnienie lekarskie. Kochałam go, ale po każdej rozmowie jest coraz gorzej... mówi, że odbierze sobie życie, a ja już prawie w to uwierzyłam. I właśnie to jest najgorsze, że mu uwierzyłam.

Münster oparł głowę na rękach i w ten sposób trochę się do niej przybliżył. Nagle stwierdził, że miałby ochotę ją dotknąć; jedynie pogłaskać po policzku czy rękę, jednak się nie ośmielił. Kiedy chwilę się zastanowił, doszedł do wniosku, że widział Clausa Bafherra nie więcej niż trzy, cztery razy i nigdy nie zamienił z nim ani słowa, ale jeśli miałby być szczery, to ten młody prawnik nie zrobił na nim najlepszego wrażenia. Wymuskana hiena bankowa, co to zmienia koszulę trzy razy w ciągu dnia i psiuka sobie wodę kolońską w slipki. Jeśli miał być szczery, tak właśnie o nim myślał.

Ale może za jego oceną kryje się tylko rodzaj prymitywnej, atawistycznej żądz. Przypominał sobie, jak Reinhart powiedział kiedyś, że to normalna

rzecz być zazdrosnym o każdego faceta, który zadaje się z jakąkolwiek ładną kobietą. Zdrowe i naturalne. I że ci, którzy nie odczuwają takiej zazdrości, najprawdopodobniej cierpią na jakiś zespół wyparcia. Na przykład na zaparcie.

Tak czy siak, nie zawsze łatwo jest zgłębić własne tak zwane życie duchowe. A zwłaszcza gdy chodzi o kobiety, przyznał detektyw Münster z przygnębiającą szczerością.

– Rozumiem – powiedział jedynie. – Mogę coś dla ciebie zrobić? Wyglądasz trochę szaro, przepraszam, że ci to mówię.

Szybko wykrzywiła usta.

– Wiem – powiedziała. – To nie jest tak, że ja go nie znoszę. Nie chcę tylko, żeby stracił nad sobą kontrolę... chcę mieć spokój. Kiedy cała twoja egzystencja nagle zostaje postawiona na głowie, robi się piekielnie ciężko. Przecież przez ostatnie tygodnie nie było nocy, w czasie której przespałabym więcej niż trzy godziny.

Münster odchylił się na krześle.

– Jedyne lekarstwo to czas i kawa – oznajmił. – Chcesz jeszcze?

Moreno zrobiła grymas, który chyba miał być uśmiechem.

– Wiesz co? – zaczęła. – Czasami mam poczucie, że mężczyźni są tylko takimi przebranymi za dorosłych harcerzykami... a niektórzy nawet nie są przebrani.

– Ja też słyszałem coś takiego – odparł. – Ale i kobiety mają pewien defekt.

Moreno uniosła swoją filiżankę, ale nie umoczyła w niej ust.

– Naprawdę? A jaki?

– Ten defekt to niepojęta słabość do tych podstarzałych harcerzyków – rzekł Münster. – I do niedojrzałych chłopców, do zadymiarzy i w ogóle świń wszelkiego rodzaju... jeśli zdołasz mi wyjaśnić, co wam każe znosić rok za rokiem bicie, poniżanie i zadawanie gwałtu przez tych cholernych samców, wtedy możemy podyskutować o moralności skauta i różnych innych maskach.

Wezbrała w nim wściekłość, choć zupełnie się tego nie spodziewał. Widział, że Moreno nie była przygotowana na taki atak.

– Uff – stęknęła. – Być może coś w tym jest. Ale czy naprawdę nie ma dojrzałych mężczyzn?



Münster westchnął.

– Owszem, zdarzają się – odpowiedział. – Trudno jest być człowiekiem. A zwłaszcza kiedy cały czas jest się zmęczonym i zapracowanym... wtedy łatwo jest być niehumanym.

– Pewnie tak – zgodziła się Ewa Moreno.

Jung wpatrywał się w wodę.

Stał na moście, pięćdziesiąt metrów od barki mieszkalnej Bongera, na której właśnie złożył swoją trzecią – daremną – wizytę. Odbył z panią Jümpers trzecią rozmowę, albo raczej wymianę opinii, lecz nie doszedł do niczego, co przybliżyłoby go do odpowiedzi na pytanie, gdzie podziwia się stary właściciel łodzi. Absolutnie nic nowego. Za to znowu zaczęło mocniej padać; woda spływała mu po włosach i twarzy, lała się za kołnierz, ale to mu już w ogóle nie przeszkadzało. Po przekroczeniu pewnego punktu nie można być bardziej przemoczonym, a on przekroczył go spory czas temu, poza tym coś zaczęło się wykluwać w jego głowie.

Coś dosyć skomplikowanego.

Pewna teoria.

Załóżmy, myślał, przyglądając się kaczce, która walczyła z prądem wody, nie przesuwając się ani o centymetr – a więc załóżmy, że Bonger i Leverkusen po drodze do domu od Freedy'ego pokłócili się ze sobą... przecież mieli wypowiedzi świadków, z których wynikało, że stali na chodniku i głośno o czymś dyskutowali, zanim poszli dalej.

Załóżmy także, że spór między nimi się nasilił i Bonger odprowadził Leverkusena aż do domu. Potem Leverkusen idzie do sypialni i kładzie się do łóżka, ale Bonger, ciągle wściekły i pod wpływem alkoholu, chwyta nóż i go zabija.

Później wpada w panikę. Zabiera narzędzie zbrodni, wybiega z mieszkania, pędzi Kolderweg (o ile w tak podeszłym wieku da się jeszcze pędzić)... więc pędzi przez ciemne ulice i zaułki do domu, na Betrandgraacht, ale kiedy dociera na most, zatrzymuje się i opamiętuje. Dopadają go żal i wyrzuty sumienia. Pojmuje, co zrobił, i wciąż stojąc na moście, wpatruje się w zakrwawiony nóż i ciemną wodę.

Załóżmy w końcu, Jung idzie dalej za potokiem swych myśli, że stoi właśnie w tym miejscu...

Zrobił chwilę przerwy i wpatrzył się w wodę kanału. Kaczka dała za wygraną i pozwoliła się unieść prądowi. Po kilku sekundach zniknęła w cieniu za barką Bongera.

...właśnie przy tej zimnej i wilgotnej barierce mostu! W środku nocy. Co byłoby w tym dziwnego, gdyby na koniec sam wyciągnął konsekwencje?

Jung bezwiednie skinął głową. Nie codziennie rodziła się w jego głowie wiarygodna teoria.

I wobec tego – *ergo!* – wiele przemawia za tym, że tam w dole, na bagiennym dnie kanału, dokładnie pod mostem, leży i jeden, i drugi.

Narzędzie zbrodni i zbrodniarz! Mimo pesymistycznego rachunku prawdopodobieństwa Heinemanna.

Jung przechylił się przez barierkę i zmrużywszy oczy, próbował przeniknąć wzrokiem czarną jak smoła tafelę wody. Potem pokręcił głową.

Chyba zwariowałeś, pomyślał. Jesteś dyletantem. Lepiej zostaw myślenie tym, których Pan Bóg obdarzył rozumem!

Odwrócił się na pięcie i poszedł. Byle dalej od tego ponurego kanału i mrocznych spekulacji.

Chociaż może, pomyślał, gdy znalazł się już na mniej wilgotnym terenie pod kolumnadą przy Van Kolmerstraat, może nie byłoby wcale od rzeczy przegadać tę hipotezę z którymś z kolegów. Na przykład z Roothem. Nie da się przecież wykluczyć, że właśnie tak się to odbyło. Nigdy nic nie wiadomo.

Jak już powiedziano.

Zanim Münster zostawił za sobą ten niezbyt napawający optymizmem dzień pracy, przejrzał jeszcze razem z Krausem protokoły z przesłuchania świadków. Jednak dawało się w nich coś znaleźć. Nie za wiele, ale zawsze coś, na co z umiarkowanym entuzjazmem zwrócił uwagę Krause. Kilka osób widziało Leverkusna i Bongera przed Freddym i co najmniej dwie z nich były przekonane, że obaj nie poszli dalej razem. Dało się wyraźnie zauważyć, że nie mogli się co do czegoś zgodzić i Bonger po prostu zostawił starego kompana na ulicy i ruszył sam. Lecz na razie nie znalazł się nikt, kto zauważyłby później jednego z panów gdziekolwiek indziej – idącego w kierunku Kolderweg czy Bertrandgraacht.

Jeśli chodzi o rzekomy spacer pani Leverkusn do Entwick Plejn i z powrotem kilka godzin później, było równie kiepsko.

Ani jednego świadka.

Z drugiej strony – co również podkreślił Krause – jest dopiero poniedziałek; sprawa ma nie więcej niż dwa dni i na pewno niezbyt dużo ludzi zdążyło o niej przeczytać.

Więc istnieje nadzieja.

Z jakiegoś dziwnego powodu Münster nie potrafił dzielić optymizmu Krausego, a kiedy schodził na parking podziemny do swojego samochodu, stwierdził ku swemu zaskoczeniu, że czuje się stary.

Stary i zmęczony.

Jego samopoczucie nie poprawiło to, że Synn, jak w każdy poniedziałek, miała kurs francuskiego biznesowego, ani też to, że jego syn Bart pożyczył od kolegi z klasy saksofon i każdą chwilę wieczoru poświęcał na ćwiczenia.

W końcu Münster zamknął instrument w bagażniku i oświadczył, że dziesięciolatek jest o wiele za mało dojrzały na tego rodzaju muzykę.

Dziesięciolatek powinien położyć się do łóżka i spać. Było wpół do jedenastej.

On sam zasnął niedługo potem z nieustającymi wyrzutami sumienia i bez Synn u swego boku.

## 13

– Zostaję tylko do wieczora – poinformował Mauritz Leverkusn. – Ona nie chce nas mieć przy sobie, więc po co udawać?

No tak, po co? – pomyślał Münster.

Mężczyzna, który siedział naprzeciwko niego na krześle dla gości, był wysoki i potężny. Miał głębokie zakola we włosach i taką samą różowawą cerę jak siostra. W jego sposobie mówienia i sposobie bycia było coś powierzchownego, obojętnego – jakby właściwie był nieobecny – Münster założył, że to pewnie wynika z jego zawodu.

Mauritz Leverkusn pracował jako sprzedawca i dystrybutor papierowych obrusów, serwetek i stroików na świeczki dla domów towarowych i hurtowni.

– Chodzi mi tylko o kilka informacji – powiedział Münster. – Do tej pory nie udało się nam wiele wyjaśnić w sprawie zabójstwa pańskiego ojca, dlatego musimy zbadać każdy trop, jaki jest.

– Rozumiem – bąknął Mauritz Leverkusn.

– Kiedy na przykład widział go pan ostatni raz?

Mauritz Leverkusn zastanowił się.

– Kilka miesięcy temu – odparł. – Byłem tutaj służbowo i wstąpiłem na chwilę. Wypiłem kawę. Dałem mamie butelkę likieru czereśniowego, akurat były jej imieniny.

– Nie miał pan szczególnie bliskiego kontaktu z rodzicami... tak w ogóle?

Mauritz Leverkusn chrząknął i poprawił sobie krawat w żółte i niebieskie paski.

– To prawda – przyznał. – Nie miałem. Moje rodzeństwo też nie.

– A dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– A czy to konieczne?

Münster nie odpowiedział.

– Ma pan dzieci?

– Nie.

– Jest pan żonaty?

– Nie.

– A był pan?

– Nie.

Münster odczekał kilka sekund, ale było wyraźnie widać, że Mauritz Leverkuhn nie ma ochoty mówić niczego z własnej, nieprzymuszonej woli.

– A jakie są relacje między panem a rodzeństwem? – spytał zatem. – Często się kontaktujecie?

– Co to ma do rzeczy?

Poprawił się na krześle i zaczął skubać kant spodni.

– Prawdopodobnie nic – rzekł Münster. – Na tak wczesnym etapie trudno jest powiedzieć, co ma coś do rzeczy, a co nie ma.

Przekłęty mruk, pomyślał, i po chwili uznał, że ta ocena pasuje właściwie do całej rodziny Leverkuhnów. Bo trudno ich nazwać rozmownymi, a przynajmniej tych jej przedstawicieli, których poznał.

Może jednak nie był sprawiedliwy. W końcu on sam też nie należał do szczególnie rozgadanych, jeśli przyrzeć mu się dokładnie.

– A pana starsza siostra? – kontynuował. – O ile dobrze zrozumiałem, choruje?

Nagle twarz Mauritza Leverkuhna stała się wręcz nienawistna.

– Nie ma powodu, żeby pan ją w to wciągał – oświadczył. – Nasza rodzina nie ma nic wspólnego z tymi wydarzeniami. Ani ja, ani moje siostry... czy moja matka.

– Skąd pan to wie? – rzucił Münster.

– Co? – Mauritz Leverkuhn chyba nie rozumiał.

– Skąd pan może wiedzieć, że nikt z nich nie jest w to zamieszany, skoro pan nie utrzymuje z nimi kontaktu?

– Niech się pan lepiej zamknie – powiedział Mauritz Leverkuhn.

Münster posłuchał. Potem połączył się z panią Katz i poprosił o przyniesienie kawy.

– Proszę powiedzieć, co pan robił w sobotę wieczór?

Kawa trochę oczyściła atmosferę. Ale tylko nieznacznie.

– Byłem w domu – odburknął Mauritz Leverkusn po chwili zastanowienia. – Oglądałem boks w telewizji.

Münster notował odruchowo.

– O której to było?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Jakoś tak między dziesiątą a dwunastą. Chyba pan nie myśli, że przyjechałem tu i zamordowałem swojego ojca? Całkiem panu odbiło?

– Ja nic nie myślę – odpowiedział Münster. – Chciałbym jednak, żeby był pan bardziej skłonny do współpracy.

– Co pan powie? A jak ja mogę współpracować, jeśli mam gówno do powiedzenia?

Skąd mogę to wiedzieć, pomyślał Münster. Ile lat minęło od czasu, kiedy ty, człowieku, się uśmiechnąłeś?

– Ale jakie jest pana zdanie? – spróbował jeszcze raz. – Szukamy kogoś, kto mógł mieć motyw, aby zamordować pańskiego ojca... choć nie można oczywiście wykluczyć działania jakiegoś szaleńca, jednak nie mamy co do tego pewności. Równie dobrze może się za tym kryć co innego.

– Na przykład co? – zdziwił się Mauritz Leverkusn.

– Mieliśmy nadzieję, że będzie pan w stanie dać nam jakąś wskazówkę.

Mauritz Leverkusn prychnął.

– Naprawdę pan uważa, że milczałbym, gdybym coś wiedział?

Münster zrobił pauzę i zerknął na pytania, które wypisał sobie wcześniej.

– Kiedy rodzice przeprowadzili się na Kolderweg? – spytał.

– W siedemdziesiątym szóstym. Po co to panu?

Münster zignorował pytanie.

– Dlaczego?

– Sprzedali dom, bo ja i siostry się wyprowadziliśmy.

Münster znowu zapisał.

– Poza tym ojciec dostał nową pracę. Przez jakiś czas był bezrobotny.

– Co to za praca?

– W browarze Pixner. Dam sobie głowę uciąć, że pan już to wszystko wie.

– Możliwe – odparł Münster. – A wcześniej mieszkaliście na Pampas?

Mauritz Leverkuhn skinął głową.

– Tak, na Pampas. W tych domkach pudełkach dla klasy robotniczej. Cztery pokoje i kuchnia. Dwadzieścia metrów kwadratowych trawnika.

– Wiem – odpowiedział Münster. – A gdzie się pan wyniósł, kiedy zrobiło się panu za ciasno?

– Do Aarlach. W siedemdziesiątym piątym poszedłem do szkoły handlowej. Ale to chyba nie jest ważne?

Münster udawał, że znowu czegoś szuka w notesie. Mauritz Leverkuhn skrzyżował ramiona na piersi i siedział tak, wpatrując się w ciężkie deszczowe chmury za oknem. Wyglądało na to, że jego napastliwość przeszła znowu w apatię. Zupełnie jakby widział swoje odbicie w pogodzie, pomyślał Münster.

– Jak pan sądzi, kto mógł to zrobić? – spytał na chybił trafił.

Mauritz Leverkuhn odwrócił głowę i przyjrzał się Münsterowi z czymś w rodzaju uśmiechu.

– Nie wiem. Skąd, do cholery, mógłbym to wiedzieć? Nie miałem porządnego kontaktu z ojcem od ponad dwudziestu lat i nie mam bladego pojęcia, z kim się zadawał. Może byśmy już skończyli tę pustą gadaninę, żebym mógł sobie pójść?

– *All right* – zgodził się Münster. – Jeszcze tylko jedno. Nie wie pan, czy ojciec miał pieniądze? Jakies ukryte dochody czy coś w tym rodzaju?

Mauritz Leverkuhn podniósł się już z krzesła.

– Absurd – powiedział. – Przez pół życia pracował w Gahns, drugą połowę – w browarze. W takich miejscach nie da się dochrapać majątku. Żegnam, panie...!

Chyba chciał wyciągnąć rękę ponad stołem, jednak się rozmyślił i wsunął ją do kieszeni spodni.

– Brakuje go panu? – spytał Münster, ale w odpowiedzi zobaczył tylko puste spojrzenie. Już w drzwiach mężczyzna jednak się zatrzymał.

– Kiedy miałem kilkanaście lat, rzeczywiście się zastanawiałem, czy nie iść do szkoły policyjnej – rzekł. – Cieszę się, że tego nie zrobiłem.

– My też – bąknął Münster, gdy zamknęły się drzwi. – My też.

Kiedy został sam w pokoju, zgodnie ze swym zwyczajem podszedł do okna i spojrzął na miasto. Na ulice, dachy domów i kościoły; na Wejmargraacht i Wollerimsparken, gdzie szara mgła otulała drzewa miękkim welonem rozmywającym kontury. Widok jak spod pędzla malarza amatora, stwierdził w duchu, kolory się rozplývają i mieszają z wodą i ze sobą nawzajem. Bloków nieco dalej, na wzniesieniu w Leimaar, prawie nie dawało się dostrzec, i wtedy przyszło mu do głowy, że jeśli istnieje gdzieś na świecie miasto, w którym morderca ma doskonałe warunki, żeby się ukryć, to jest nim właśnie Maardam.

Kiedy spojrzął w dół, zobaczył, jak Mauritz Leverkusn przecina parking i zmierza w kierunku białego, jeszcze dosyć nowego volvo. Wyglądało na samochód firmowy – tylne siedzenie i bagażnik były załadowane serwetkami i ozdobami do świeczek w najprzeróżniejszych wesołych kolorach. Ku ucieście i pożytkowi ludzkości i jej odwiecznej tęsknocie do maksymalnej przyjemności.

Dzisiaj chyba trochę straciłem złudzenia, pomyślał Münster i odwrócił się plecami do miasta.

Szef policji Hiller wyglądał jak nadmuchana żaba.

Przynajmniej takie było bezpośrednie wrażenie Münstera, kiedy z kilkuminutowym opóźnieniem wszedł do salki konferencyjnej. Cała jego postać była rozdęta, a w szczególności część stercząca ponad kołnierzykiem koszuli; oczy wybałuszały się z oczodołów, policzki były nabrzmiące, a ich kolor mocno czerwony.

– Co to, do jasnej cholery, ma znaczyć? – parsknął z taką furią, że aż zadrżały kropelki śliny w blasku światła padającego z włączonego projektora. – Może mi ktoś wyjaśnić, co to jest!

Trzymał w ręce gazetę, którą wygrażał w kierunku skulonego przy stole towarzystwa – detektywa Heinemanna, inspektorów Rootha, Junga i Moreno, a także siedzącego daleko w rogu obiecującego aspiranta Krausego.

Münster usiadł między Heinemannem a Moreno, nie mówiąc im dzień dobry.

– No? – parsknął znowu Hiller i cisnął „Neuwe Blatt” na stół. Münster mógł teraz zobaczyć, o co ta awantura.



Tytuł rozciągał się na szerokość wszystkich ośmiu szpalt i kończył się trzema wykrzyknikami:

POLICJA ŚCIGA RUDOWŁOSEGO KARŁA!!!

A nieco mniejszym drukiem poniżej:

W sprawie zabójstwa emeryta.

Heinemann założył na nos okulary.

– Bardzo ciekawe – powiedział. – Mam wrażenie, że nie zostałem o tym poinformowany.

Hiller przymknął oczy i splótł dłonie. Wyraźnie próbował się opanować, bo kolejne zdanie wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Chciałbym wiedzieć, jak mam to rozumieć. I kto za to odpowiada.

Moreno zerknęła na gazetę i odchrząknęła.

– Rudowłosy karzeł? – odezwała się. – To raczej tylko jakiś żart.

– Żart? – syknął Hiller.

– Ja też tak uważam – powiedział Rooth. – Chyba że ktoś z was poszukuje jakiegoś karła?

Popatrzył pytającym wzrokiem na kolegów siedzących za stołem, podczas gdy Hiller przygryzał dolną wargę i usiłował zachować milczenie.

– Ja nie – oznajmił Heinemann.

Münster rzucił okiem na Junga. Nie miał wątpliwości, że jeśli się nie wtrąci, zanim będzie za późno, Jung zaraz wybuchnie salwą śmiechu.

– To tylko kaczka dziennikarska – wyjaśnił powoli, przybierając jak najbardziej pedagogiczny ton, na jaki było go stać. – Pewnie pierwszy lepszy dowcipniś zadzwonił do redakcji i po prostu nabrał jakiegoś naiwniaka. Nie ma w tym żadnej naszej winy.

– No właśnie – potaknął Rooth.

Twarz Hillera zrobiła się fioletowa jak śliwka.

– Co za gówno! – burknął. – Krause!

Krause wyprężył się jak struna.

– Tak?

– Znajdziesz mi tego osła, który to napisał. To nie ujdzie tym cholernikom na sucho!

– Tak jest! – rzekł Krause.

– Odmaszerować! – rozkazał szef, na co Krause natychmiast wyszedł. Hiller usiadł przy stole i wyłączył rzutnik.

– Poza tym – kontynuował – przy tej sprawie pracuje za dużo ludzi. Wystarczy dwoje. Münster!

– Tak – westchnął wywołany.

– Od tej chwili ty i Moreno przejmujecie sprawę Leverkusna. Krause będzie do waszej dyspozycji, ale tylko w razie konieczności. Jung i Rooth zajmują się dalej gwałtami w Linzhuisen, a Heinemann... nad czym ty właściwie pracowałeś w ostatnim tygodniu?

– Nad aferą w Dellinger.

– To kontynuuj – polecił Hiller. – Na piątek chcę mieć raporty od was wszystkich.

Wstał i zniknąłby z salki w ciągu dwóch sekund, gdyby nie potknął się o teczkę Rootha.

– Hoppa – odezwał się Rooth. – Przepraszam, ale chyba muszę zamienić kilka słów z Krausem.

Chwycił swoją teczkę i pospiesznie wyszedł, podczas gdy komendant policji wyglądał sobie na kolanie nienagannie wyprasowane spodnie, mrużąc coś niewyraźnie pod nosem.

– No i co o tym myślisz? – spytał Münster, gdy razem z Moreno usiedli w kantynie. – Fajne przedstawienie, co?

– Wartość rozrywkowa niezaprzeczalna – rzekła Moreno. – Chyba pierwszy raz od miesiąca się śmiałam. Co za pajac!

– Raczej harcerzyk? – zasugerował Münster i też się uśmiechnął.

– W każdym razie w jego przypadku wszystko jest jasne – powiedziała. – On nikogo nie udaje. To co, może popracujemy?

– No tak, chyba trzeba. Masz jakieś genialne pomysły?

Moreno kołysała filiżanką, przyglądając się uważnie fusom na dnie.

– Nie – przyznała. – Żadnych genialnych.

– Ja też nie – odparł Münster. – Wobec tego musimy się zadowolić kiepskimi... na przykład sprowadzeniem na komendę Palinskiego.

– Niegłupia myśl – stwierdziła.

## 14

Po dwóch dniach spędzonych w Bossingen Marie-Louise Leverkusn wróciła we wtorek po południu na Kolderweg 17.

Dzieci przyjechały, złożyły wyrazy współczucia i wróciły do siebie. Emmeline von Post opiekowała się nią i dodawała otuchy, jak potrafiła, a niebo niemal nieustannie płakało. Najwyższa pora, by wrócić do codzienności i rzeczywistości. Naprawdę już czas.

Zaczęła od szorowania zakrwawionego pokoju. Tego, co dostało się między deski podłogowe i wsiąkło w tynk na ścianach, nie zdołała usunąć, mimo najsilniejszego środka, jaki mogła znaleźć w sklepie; niewiele dało się też zrobić z plamami na drewnianym stelażu łóżka, ale z drugiej strony już przecież tego łóżka nie potrzebowała. Rozkręciła je i wywlekła części na klatkę schodową, żeby Arnold Van Eck mógł się tym zająć. Potem rozwinęła na podłodze w pokoju duży dywan z końskiego włosia, który całe lata przeleżał na strychu, a dwie nisko zawieszony makatki uratowały ścianę.

Po tej grubszej robocie zabrała się do przeglądania garderoby po mężu; było to zajęcie czasochłonne i budzące nieco emocji. Nie podobało się jej, jednak musiała to zrobić. Niektóre rzeczy lądowały w śmietniku, niektóre w koszu do prania, ale większość wpychała do toreb i foliowych worków, żeby potem przekazać wszystko do punktu zbiórki ubrań Armii Zbawienia przy Windemeerstraat.

Kiedy już prawie się z tym uporała, ktoś zadzwonił do drzwi. To pani Van Eck zapraszała ją na kawę i ciasto.

Marie-Louise Leverkusn zawahała się w pierwszej chwili. Nigdy nie miała jakichś bliższych kontaktów z żoną dozorczy, ale sąsiadka nie ustępowała. Odstawiła więc prawie pełny worek do garderoby i przyjęła zaproszenie.

Przecież życie musi toczyć się dalej, pomyślała lekko oszołomiona.

– Życie musi toczyć się dalej – stwierdziła pani Van Eck pięć minut później, podczas gdy jej mąż kroił ciasto z malinami i jagodami. – Jak się pani miewa?

– Jako tako – odpowiedziała Marie-Louise Leverkusn. – Oswojenie się z tą sytuacją wymaga czasu.

– Mogę sobie wyobrazić – zgodziła się pani Van Eck, patrząc z zafrasowaną miną na swego Arnolda.

– No tak, miałabym do pani pewną sprawę – powiedziała po chwili. – Arnold, zostawiłbyś nas na minutkę same? Wyjdź po kupony totka albo zrób, co chcesz. Tylko odwiąż sobie najpierw fartuch.

Arnold Van Eck uklonił się dyskretnie i zostawił kobiety w kuchni.

– Jest jedna rzecz, o której nie wspomniałam policji, kiedy tu byli. No więc... – kontynuowała pani Van Eck, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych.

Marie-Louise Leverkusn siedziała w milczeniu. Mieszała kawę, nie podnosząc wzroku znad filiżanki.

– Pomyślałam sobie, że powinnyśmy to razem omówić i ustalić wspólną linię. Proszę spróbować ciasta! Arnold sam je upiekł.

Marie-Louise Leverkusn wzruszyła ramionami i wzięła kawałek.

– Słucham panią – powiedziała.

– Czyli ustalone – rzekł Rooth i miał już wyjść z pokoju Krausego. – Dostaniesz dwa bilety.

W drzwiach natknął się na Joensuu i Kellermana, którzy właśnie nadeszli, prowadząc ze sobą Adolfa Boscha. Po półtoradobowych poszukiwaniach znaleźli go w końcu w podejrzanym barze w okolicy stacji celnej. Rooth skrzywił nos i przecisnął się obok. Mężczyzna cuchnął starym potem i wódką. Krause od razu wskazał ręką na plastikową kanapkę przy samych drzwiach, na którą posterunkowi pchnęli mężczyznę z całej siły.

– Aj – jęknął Adolf Bosch.

– Zamknij się – powiedział Kellerman. – Nie było łatwo, muszę przyznać.

– Ten skurczybyk nasikał nam w samochodzie – dodał Joensuu.

– W porządku – odezwał się Krause. – Możecie odejść.

Joensuu i Kellerman zniknęli, a Krause zamknął drzwi. Adolf Bosch

zdążył się już ułożyć na krótkiej kanapie z podciągniętymi kolanami i głową na bocznym oparciu. Krause usiadł za biurkiem i czekał.

– Nie czuję się dobrze – bąknął po pół minucie Bosch.

– Nigdy się nie czuleś – odparł Krause. – Tylko mi tu nie udawaj, dobrze wiesz, o co chodzi. Jak chcesz, możemy cię od razu zamknąć na osiemnaście miesięcy... albo poopowiadać to i owo pewnym mało sympatycznym gościom. Siadaj!

Adolf Bosch był policyjną wtyczką. Albo informatorem, jak sam wolał się tytułować. Czyli prowadził dosyć żalosną egzystencję i wykazywał jaskrawy brak charakteru i odwagi cywilnej, wymagane w tej roli. Krause przyglądał mu się z odrazą. Zawsze miał kłopot z zaakceptowaniem tego rodzaju współpracy. Bosch przeszedł przez dziesiątki ośrodków odwykowych i resocjalizacyjnych i nikt na poważnie nie wierzył, że dożyje więcej niż czterdziestu pięciu lat, które już osiągnął – jak się okazuje, życie czasami płata figla. I to znacznie częściej, niż można by tego oczekiwać.

Jeśli macie jakieś gówno, z którym nie możecie się uporać, zlećcie to Boschowi! – mawiał Van Veeteren. Ale nie dawajcie mu nigdy więcej niż trzy dni, bo on nie ma wyczucia czasu.

Wobec groźby utraty wolności i represji podziemnego świata nieszczęśnik na kanapie od razu przeszedł do pozycji siedzącej. Zaczął gorączkowo błędzić wzrokiem i nerwowo drapać się pod pachami.

– Słyszysz? – kontynuował Krause.

– Mógłbym papierosa?

Krause wyjął z szuflady biurka paczkę dla gości i mu podał.

– Weź wszystkie, jakie zostały, ale zaczekaj z paleniem, aż wyjdiesz.

– Dziękować – powiedział Bosch i palcami zbadął zawartość paczki.

– Chodzi o morderstwo – ciągnął Krause. – Tego emeryta z Kolderweg. Słyszałeś coś o tym?

Bosch kiwnął głową.

– Ale nie wiem, kto to zrobił. Przysięgam...

– Daruj sobie te przysięgi – wtrącił Krause. – Przypuszczamy, że to mógł być jakiś najarany ćpun, który odjechał. Rozejrzyj się trochę i przyjdź do mnie pojutrze.

– Trochę u mnie kiepsko z kasą – rzucił Bosch z zatroskaną miną.

- Pogadamy o tym w czwartek.
  - Ale naprawdę jestem spłukany – próbował dalej Bosch.
  - W czwartek – powtórzył aspirant i wskazał drzwi.
  - Czwartek – mruknął Bosch, po czym niechętnie ruszył do wyjścia.
- Krause westchnął i otworzył okno.

Jeśli chodzi o Palinskiego, postępowali w podręcznikowy sposób. Najpierw chcieli ciągnąć losy, ale ze względu na to, że Ewa Moreno była kobietą, Münster ustąpił i przejął pierwszą rundę pytań.

- Nazwisko?
- Słucham? – zdziwił się Palinski. – Przecież chyba to wiecie?
- Ta rozmowa jest nagrywana – wyjaśnił Münster zniecierpliwiony, wskazując na magnetofon. – Proszę podać nazwisko i datę urodzenia.
- Czy to jest przesłuchanie?
- Oczywiście. Nazwisko?
- Palinski... Jan. Urodzony w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym.
- Dokładna data?
- Dziesiątego kwietnia, ale...
- W Maardam?
- Naturalnie. Ale dlaczego pan mnie tak traktuje? Radiowóz i w ogóle, przez całe swoje życie nie byłem nigdy w nic zamieszany.
- Ale teraz pan jest – powiedział Münster. – Stan cywilny?
- Słucham?... Kawaler, oczywiście... a właściwie wdowiec. Zależy, jak na to spojrzeć. Dwadzieścia lat temu chcieliśmy się rozwieść, ale zanim pozbialiśmy wszystkie papiery, żona umarła... została przejechana przez ciężarówkę na Palitserlaan. Paskudna historia.
- Aktualny adres?
- Armastenplejn czterdzieści dwa. Proszę mi powiedzieć, mój drogi...
- Czy zdaje pan sobie sprawę z powagi sytuacji? – przerwał mu Münster.
- Tak... nie.
- Podejrzewamy, że pan z premedytacją ukrywa ważne informacje.
- Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił – odparł Palinski i splótł dłonie. – A przynajmniej nie przed policją.

To przed kim? – pomyślał Münster i prychnął z irytacją.

– A czy nie jest tak, że pan razem z pozostałymi trzema kolegami wygrał znaczną sumę pieniędzy i w sobotę wieczór spotkaliście się u Freddy’ego, żeby to uczcić?

– Nie.

Palinski wbił wzrok w stół.

– Kłamie pan – rzekł Münster. – Czy mam panu wyjaśnić, dlaczego pan kłamie?

– Nie... – odpowiedział Palinski. – Jak to? Ja...

– Niech pan posłucha – zaczął Münster. – W ubiegłą sobotę było was czterech... teraz jest was tylko dwóch. Leverkusen został zamordowany, a Bongers zniknął. Wiele przemawia za tym, że on też nie żyje. Zostaliście pan i Wauters. Są jedynie trzy możliwości.

– To znaczy? – spytał Palinski. – Co pan chce przez to powiedzieć?

Zaczęła mu się trząść głowa, zauważył Münster i uznał, że pewnie będzie tak, jak przewidziała Moreno. Mówiła, że to tylko kwestia czasu, kiedy facet pęknie.

– Trzy możliwości – powtórzył z naciskiem i podetknął Palinskiemu trzy wyprostowane palce pod nos. – Albo zrobił to pan razem z Wautersem...

– Co, na litość...?! – wybuchł mężczyzna i zerwał się z krzesła. – Drogi komisarzu, tego to już naprawdę za wiele!

– Proszę usiąść – polecił Münster. – Jeśli nie zrobiliście tego we dwóch, to wobec tego Wauters w pojedynkę...

Palinski usiadł i zaczął poruszać szczękami, ale nie wydobył z siebie ani słowa.

– Chyba że to pan zrobił na własną rękę!

– Pan chyba zwariował! Chcę rozmawiać z...! O tak! Domagam się...

Münster przechylił się ponad biurkiem i wbił wzrok w swoją ofiarę.

– A pan jaki by wysnuł z tego wniosek? – spytał. – Czterech starszych panów wygrywa okrągłą sumkę. Dwaj z nich postanawiają usunąć z drogi dwóch pozostałych, żeby dostać więcej kasy... albo może tylko jeden z tej czwórki zamierza pozbyć się aż trzech i zgarnąć wszystko. Czy nie czuje się pan trochę nieswojo, że dwóch z pana przyjaciół już nie ma? Czy nie leży pan w nocy w łóżku i nie zastanawia się, kiedy przyjdzie kolej na pana?

Nagle twarz Palinskiego zrobiła się trupio blada.

– Pan... pan... pan – jąkał się i przez ułamek sekundy Münster obawiał się, że staruszek zemdleje.

– Jak dobrze zna pan Wautersa? – nie dawał za wygraną. – Czy on nie jest dosyć nowy w waszej paczce?

Palinski nie odpowiedział. Usiłował przełknąć ślinę, lecz jego wystające jabłko Adama zatrzymało się w połowie drogi.

– Bo jeśli nie obawia się pan Wautersa, wynika z tego, że to pan stoi za tym wszystkim, panie Palinski!

– Ja nigdy... – zaprotestował Palinski. – Ja nigdy...

Nie skończył. Wywody Münstera dotarły teraz do niego z całą przenikliwością i było wyraźnie widać, że zaczął uświadamiać sobie swoje paradoksalne położenie.

– Dam panu pięć minut na zastanowienie się – oznajmił Münster i odsunął swoje krzesło. – I ostrzegam pana: żeby mi tu pan nie wyjeżdżał z żadnymi wykrętami!

Nacisnął klawisz pauzy w magnetofonie. Wstał, wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Doprowadzenie wszystkiego do końca zajęło Ewie Moreno zaledwie kilka minut. Ton kobiecej troski w głosie i nieco ciepła w spojrzeniu były wyraźnie tym, czego po szorstkim ataku Münstera dusza Palinskiego była spragniona.

– Uff – zaczął. – Co on, u licha, sobie myśli? Przecież my byśmy nigdy... ja bym nigdy...

– Proszę opowiedzieć wszystko po kolei – zwróciła się do niego Moreno. – Nie może pan dłużej milczeć. To przecież tylko panu szkodzi. Czy pan tego nie rozumie?

Palinski spojrział na nią wzrokiem zbitego psa.

– Tak pani myśli?

– Oczywiście – odpowiedziała Moreno.

Mężczyzna przez chwilę nerwowo pocierał dłonie i przygryzał wargi. W końcu wyprostował plecy i odchrząknął.

– To Wauters – oświadczył.

– Wauters? – powtórzyła Moreno.



– On powiedział, żebyśmy milczeli.

Moreno skinęła głową.

– Uważał...

Moreno czekała.

– ...uważał, że padnie na nas podejrzenie, jeśli przyznamy się, że wygraliśmy.

– Ile?

– Dwadzieścia tysięcy – wyznał szeptem Palinski i wyglądał na zawstydzonego.

– Jak?

– W totka. Wauters kupił los, miał szczęście... miało być po pięć tysięcy na głowę... a teraz, kiedy nie ma Leverkusna, zrobiło się prawie siedem.

– Minus Bonger – to dziesięć – wtrąciła Moreno.

– Boże drogi – ciągnął Palinski. – Ale pani chyba nie myśli, że było tak, jak mówił ten pani kolega? Chyba pani wierzy, że my nigdy byśmy czegoś takiego nie zrobili?

Moreno nie odpowiedziała. Odchyliła się na krześle i przez moment przyglądała się nerwowym tikom w twarzy starszego mężczyzny.

– W tej chwili w ogóle nic nie sądzimy – rzekła wreszcie. – Dlatego na razie nie jesteście panowie wolni od podejrzeń i w związku z tym proszę, żeby pan nie opuszczał miasta.

– Boże drogi – powtórzył Palinski. – To niemożliwe. Co, u diabła, powie na to Wauters?

– To już nie pana zmartwienie – powiedziała Moreno. – Zajmiemy się nim. Co się zaś tyczy pana, teraz może pan iść do domu, ale proszę przyjść jutro przed południem, żeby podpisać swoje zeznanie.

Wyłączyła magnetofon. Palinski wstał na chwiejnych nogach.

– Jestem podejrzany? – spytał.

Moreno skinęła głową.

– Przepraszam... bardzo przepraszam. Gdybym wiedział, to naturalnie od razu bym wszystko opowiedział, ale Wauters...

– Rozumiem – rzekła Moreno. – Każdy z nas robi błędy. Proszę, tędy.

Palinski wymknął się przez drzwi jak zawstydzony i skarcony uczeń, ale po kilku sekundach wrócił.

– To Wauters ma los – wyjaśnił. – Ale jeszcze nie odebrał wygranej. Tak żeby pani wiedziała.

Jeszcze raz przeprosił i zniknął.

Inspektor Moreno poczuła, że się uśmiechnęła.

## 15

Erich Reijssen był zadbanym starszym panem po sześćdziesiątce, mającym żonę i segment w równie dobrym stanie jak on sam. Moreno zadzwoniła i umówiła się na spotkanie, a kiedy dotarła na miejsce, zastała w salonie tacę z serwisem do herbaty i trzaskający sztuczny płomień w kominku z tworzywa.

Westchnęła w głębi ducha i opadła na pluszową kanapę.

– Nie jadamy słodczy – wyjaśnił pan Reijssen, wskazując na gruboziarnisty chleb i krążki papryki. – Na stare lata zaczęliśmy żyć trochę zdrowiej.

Jego ogorzała twarz i wypielęgnowane wąsy jednoznacznie potwierdzały to, co mówił, podobnie jak obcisły kombinezon jego żony i szopa blond włosów przytrzymywana czerwono-złotą przepaską.

– Bardzo proszę – powiedziała i zaprezentowała swój udany lifting twarzy, szeroko otwierając oczy. – Mam na imię Blenda.

– Inspektor Moreno – przedstawiła się i sięgnęła po notes z teczki. – Jestem wdzięczna, że znaleźli państwo dla mnie czas, ale chciałabym porozmawiać przede wszystkim z panem, panie Reijssen.

– Oczywiście – odrzekł Erich Reijssen, Blenda zaś niezwłocznie znalazła sobie zajęcie w innej części domu. Już po kilku sekundach Moreno rozpoznała charakterystyczny świst roweru treningowego na pełnych obrotach.

– Chodzi o Waldemara Leverkusna. Zakładam, że orientuje się pan, co się stało?

Erich Reijssen z powagą kiwnął głową.

– Staramy się uzyskać ogólny obraz jego osoby – kontynuowała Moreno, podczas gdy gospodarz nalewał ciekłą herbatę do żółtych kubków. – Pan był jego kolegą z pracy... Jak długo razem pracowaliście?

– Przez piętnaście lat – odparł Erich Reijssen. – Od czasu kiedy przeniósł

się do Pixnera aż do przejścia na emeryturę. Czyli do dziewięćdziesiątego pierwszego... ja zostałem w firmie jeszcze przez pięć lat, a później zaczęły się redukcje. Otrzymałem propozycję przejścia na wcześniejszą emeryturę i od razu się zgodziłem. Muszę powiedzieć, że nie żałowałem tego ani przez chwilę.

Ja też bym nie żałowała, pomyślała Moreno w chwili pełnego wejrzenia w siebie.

– Jaki on był? – spytała. – Czy mógłby mi pan trochę opowiedzieć o Waldemarze Leverkuhnie?

Wyczerpująca odpowiedź na pytanie zajęła Erichowi Reijzenowi ponad pół godziny. Moreno natomiast znacznie szybciej – bo już po dwóch minutach – wiedziała, że jej wizyta w tym domu jest całkowitą stratą czasu. Obraz Waldemara Leverkuhna jako dosyć zamkniętego i oschłego człowieka (mimo to przyzwoitego i godnego zaufania faceta, a jakże!) znała już wcześniej i jej elokwentny gospodarz nie zdołał uzupełnić tego portretu pociągnięciami pędzla, które zmieniłyby go zasadniczo albo coś do niego dodały.

Nie zaskoczył jej też żadnymi dramatycznymi odkryciami, emocjonalnymi komentarzami czy czymkolwiek, co w jakikolwiek sposób mogłoby wydawać się istotne dla ich pracy dochodzeniowej.

Ale szczerze mówiąc, sama nie bardzo sobie wyobrażała, jak taki istotny element tej układanki miałyby wyglądać, dlatego w poczuciu obowiązku notowała niemal wszystko, co Erich Reijzen miał do powiedzenia. Było to wyczerpujące – zarówno pisanie, jak i zachowanie koncentracji – toteż kiedy po trzech kanapkach z gruboziarnistego chleba i po tyłu samo kubkach herbaty zdołała w końcu wygramolić się z kanapy, w pierwszym odruchu miała ochotę udać się prosto do toalety i dokładnie wszystko tam wypluć. Zarówno pana Reijzena, jak i kanapki.

Drugi impuls podpowiadał jej, aby pójść i rozbić młotkiem rower treningowy, który przez całą jej wizytę pracował i wydawał ten irytujący świst. Ale również nad tym zdołała zapanować.

Poza tym nie miała młotka pod ręką.

Jestem ostatnio cholernie złą policjantką, pomyślała nieco później, kiedy w końcu znowu usiadła za kółkiem. Nie przynoszę chluby wydziałowi...

jakie to szczęście, że nie mamy do wyśledzenia niczego poważniejszego.

Co właściwie miała na myśli, sama nie bardzo wiedziała.

Niczego poważniejszego? Czy śmierć Waldemara Leverkühna nie jest czymś poważnym, czy co by to miało znaczyć? Pokręciła głową i przygryzła dolną wargę, aby się ocknąć. Stawało się coraz bardziej widoczne, że wraz z narastającym zmęczeniem Ewa Moreno zbliżała się do granicy, poza którą bezpieczniej było skupić się w pracy na czynnościach czysto mechanicznych. Nie opierać się na własnym osądzie. Nie podejmować decyzji. Nie myśleć.

A w każdym razie dopóki nie prześpi paru nocy.

Uruchomiła samochód i ruszyła w stronę śródmieścia. Minęła już piąta i miasto zdawało się składać mniej więcej po równej części ze spalin, wilgoci i ciemności; była to mieszanina niewątpliwie korespondująca z jej własnym samopoczuciem. Zatrzymała się na Keymer plejn i weszła do sklepu spożywczego po zakupy – kupiła jogurt, sok i winogrona; to było wystarczająco dużo po tych zdrowych kanapkach – a kiedy zaparkowała przed swym przejściowym azylem na Gerckstraat, poczuła, że są tylko dwie rzeczy na ziemi, które mogłyby ją znowu postawić na nogi.

Długa ciepła kąpiel i duży koniak.

Na szczęście i jedno, i drugie mieściło się w zakresie możliwości, otworzyła więc drzwi i wyszła z samochodu. Wbrew zwyczajowi wsiadła potem do windy i jadąc na piąte piętro, zaczęła nawet nucić jakiś najnowszy szlagier łatwo wpadający w ucho, który musiała usłyszeć w samochodowym radiu albo u Zimmermanna.

Kiedy otworzyła drzwi windy, od razu go zobaczyła. Clausa. Siedział na podłodze pod jej mieszkaniem z ogromnym bukietem czerwonych róż na kolanach.

Spojrzał na nią rozpalonymi, ale zmęczonymi oczyma.

– Ewa – powiedział.

Poczuła, jak podeszły jej do gardła wszystkie kanapki. Cholera jasna, pomyślała, nie wytrzymam.

Zatrzęsnęła z powrotem kabinę i zjechała na dół. Pobiegła przez wyłożony kostką podjazd i zdążyła wsiąść do samochodu, kiedy on stanął w oświetlonych drzwiach wejściowych do domu.

– Biedaku – bąknęła pod nosem, szukając kluczyków. – Wybacz, ale dłużej nie dam rady.

Następnie włączyła silnik i odjechała, żeby znaleźć jakiś znośny hotel.

Münster miał sen.

Na początku wszystko wyglądało dosyć niewinnie. Coś w rodzaju miłego towarzyskiego spotkania z pogodnymi i odświeżenie ubranymi ludźmi, którzy trzymali w rękach drinki i mieli przyjazne, otwarte twarze. Wielu z nich znał – to koledzy i dobrzy przyjaciele jego i Synn. Tylko lokal wydawał się nieznamy; labirynt różnych pomieszczeń, schodów i korytarzy, poza tym powoli zaczynało się wkradać doznanie czegoś nieprzyjemnego. Wręcz przerażającego... błąkał się wśród tych wszystkich zakamarków i kątów, które robiły się coraz mniejsze i coraz ciemniejsze, pełne coraz bardziej obcych mężczyzn i kobiet; i cały czas natykał się na ludzi, którzy chcieli z nim porozmawiać i stukali się z nim kieliszkami, ale on nie był w stanie zatrzymać się choćby na chwilę w żadnym miejscu... to było jak trans, ciągle czegoś szukał i dopiero kiedy dotarł do celu, zrozumiał, co to było.

Wszedł do kolejnego pomieszczenia. Panowała w nim ciemność i początkowo sądził, że ono też jest puste, ale wtedy usłyszał jakiś dźwięk. Ktoś wypowiedział szeptem jego imię; poszedł więc dalej i po chwili poczuł kobiecą dłoń na swojej piersi. Gdy kobieta przytuliła się do niego, natychmiast zdał sobie sprawę, że to z jej powodu tu się znalazł. Tylko i wyłącznie z jej powodu.

Kobieta była naga i stało się jasne, że mają się kochać. Pociągnęła go w stronę niskiego i szerokiego łóżka przed kominkiem, w którym pozostał jeszcze słaby żar po wypalonych bierwionach... tak, nie ulegało wątpliwości, że będą się kochać. Niemal od razu się zorientował, że ta kobieta to Ewa Moreno. Jej gęste kasztanowe włosy, jej oczy o kształcie migdałów, jej drobne, jędrne piersi, których nigdy dotąd nie widział, mimo to wiedział, że właśnie tak wyglądają i są takie w dotyku... i jej skóra, w której odbijał się żar z kominka. Tak, nic nie mogło być bardziej oczywiste. Już po kilku sekundach on też był nagi, leżał na łóżku, a ona siedząc na nim jak jeździec, wprowadziła go w swe gorące łono. Patrzył, jak jej lśniąca ciało unosi się i opada, i był to nieopisanie piękny widok; ale później zauważył, jak powoli otwierają się drzwi, jednak nikogo nie dostrzegł... dopóki nie ujrzał swoich dzieci, Barta i Marieke, którzy stali w nich i przypatrywali mu się z odległości jednego metra poważnym i nieco smutnym wzrokiem.

Obudził go własny krzyk. Synn przewróciła się niespokojnie na drugi bok,

on zaś poczuł zimny pot, który niczym pancierz strachu oklejał jego skórę. Przez kilka chwil leżał zupełnie nieruchomo, po czym ostrożnie wstał, poszedł po omacku do łazienki i przez dziesięć minut stał pod prysznicem.

Kiedy wrócił do sypialni, zobaczył, że jest kwadrans po czwartej. Uniósł kołdrę i wśliznął się pod nią, przytulając się do ciepłych pleców Synn. Mocno, bardzo mocno.

Leżał tak, obejmując ją ramieniem, i do rana nie zmrużył już oka.

Coś ma się wydarzyć, przeszło mu przez głowę.

Ale nie może się wydarzyć.

## 16

Środowy poranek był jak ceremonia pogrzebowa odprawiana w obcym języku. W drodze na komendę dwa razy o mało nie miał stłuczki i poważnie się zastanawiał, czy nie powinien wrócić do domu i położyć się do łóżka. Kiedy wreszcie opadł na krzesło za biurkiem i oparł głowę na rękach, do drzwi zapukał Jung.

– Masz sekundę?

Münster kiwnął głową.

– Nawet dwie, jeśli ci zależy.

Jung usiadł na krześle.

– Wyglądasz na zmęczonego.

– Jaką masz sprawę? – spytał Münster.

– Właściwie to nic takiego. – Jung obrócił się na krześle. – Tylko przyszła mi do głowy pewna myśl.

– Co ty powiesz?

– No więc, pomyślałem sobie – ciągnął Jung – że najprostsze rozwiązanie zagadki Leverkusna jest takie, że to Bongger go zabił.

Münster ziewnął.

– Jak sobie to wyobrażasz?

Jung wziął głęboki oddech.

– Bongger poszedł z Leverkusnem do domu... albo zjawił się trochę później, to zresztą nie ma większego znaczenia... i zabił go. Przecież kłócili się po kolacji przed Freddym i kiedy tej złości nabierało się w Bonggerze już dosyć... to w końcu, że tak powiem, się przelała.

– Tak uważasz? – spytał Münster.

– No nie wiem, ale to by przynajmniej wyjaśniało, dlaczego zniknął, tak? Najpierw myślałem, że rzucił się do kanału, kiedy już wytrzeźwiał i uświadomił sobie, co zrobił, ale równie dobrze może się gdzieś tylko



ukrywać. Przecież musi rozumieć, że jest podejrzany. Co ty na to?

Münster zastanowił się chwilę.

– Hm, jasne, że to możliwe, a w każdym razie niewykluczone.

– No właśnie też tak sobie pomyślałem – powiedział Jung z wyraźnym zadowoleniem. – Chciałem tylko, żebyś miał to z tyłu głowy.

Podniósł się z krzesła.

– Dzięki – odparł Münster. – Jeśli Hiller się zgodzi, możesz w najbliższych dniach pójść tym tropem... sprawdzić wszystkich znajomych i tak dalej. Czyli ewentualne kryjówki.

– Chętnie – zgodził się Jung. – Tyle że Hiller akurat teraz nie wydaje się specjalnie skory do współpracy... pewnie w związku z tym karłem. Ale daj mi znać, jeśli dostaniesz zgodę.

Kiedy Jung zniknął za drzwiami, Münster podszedł do okna. Podciągnął żaluzje, oparł czoło o chłodną szybę i ogarnął wzrokiem miasto, które leżało jakby jeszcze pogrążone we śnie. Ono też.

Bonger? – przeszło mu przez myśl. Piekielnie proste rozwiązanie. Kto wie? Może jest tak, jak zwykle powtarzał Van Veeteren: Najpierw zrób to, co najprostsze! Głupotą byłoby przegapić możliwość dania mata jednym ruchem!

Potem spojrzął na zegarek i zobaczył, że do spotkania z Marie-Louise Leverkusn zostało mniej niż dwadzieścia minut. Uzbroidł się w kawę, długopis i notes. Ponownie usiadł za biurkiem i spróbował się skoncentrować.

– Mówiąc prawdę, pani Leverkusn, na razie mamy trudności z przejęciem pełnej kontroli nad sprawą.

Kobieta nie odpowiedziała.

– Musimy jednak zakładać, że za zabójstwem pani męża kryje się jakiś motyw... że istniało coś w jego przeszłości albo jakieś inne okoliczności znalazły swój finał w tak makabrycznym mordzie.

Było to mocne otwarcie, ale Münster zdecydował się właśnie na taką taktykę. Marie-Louise Leverkusn nadal miała nieporuszoną twarz.

– Jest tylko jedna osoba, która ma dostateczną wiedzę o takich sprawach. Jest nią oczywiście pani, pani Leverkusn. Czy doszła pani do jakichś

wniosków przez te ostatnie dni?

– Do żadnych.

Patrzyła na niego pustym wzrokiem.

– Ale chyba zastanawiała się pani nad tym, co się stało?

– Naturalnie – odparła. – Ale nic z tego nie wynika.

– Czy rozmawiała pani ze znajomymi?

Pokręciła przecząco głową.

– Nie mam wielu znajomych. Są dzieci. Emmeline... kilkoro sąsiadów.

– Czy mogłaby pani podać mi mimo wszystko nazwiska pani najbliższych przyjaciół. Oprócz Emmeline von Post, oczywiście. Z którymi spotykała się pani razem z mężem.

Wbiła wzrok w podłogę. Aha, pomyślał Münster, zdaje się, że tutaj leży pies pogrzebany.

Kiedyś gdzieś przeczytał, że najbardziej dotkliwy jest brak przyjaciół. Bycie samotnym. Można być wariatem, rasistą, sadystą, grubasem czy brudną świnia, praktykującym pedofilem... ale koniecznie trzeba mieć przyjaciół.

– Raczej nie udzielaliśmy się razem towarzysko – oznajmiła, nie podnosząc wzroku. – On miał swoich przyjaciół, ja swoich.

– Żadnych wspólnych?

Pokręciła głową.

– A krewni?

– No, dzieci – powtórzyła.

– Nie ma pani rodzeństwa?

– Już nie.

– A z kim poza tymi panami od Freddy’ego miał zwyczaj spotykać się pani mąż?

Zastanowiła się chwilę.

– Chyba z nikim. Może jeszcze czasami z panem Engelem.

– Z Rubenem Engelem z tego samego domu?

– Tak.

– A pani? – nie ustępował Münster. – Dwa razy w miesiącu spotykała się pani z panią von Post. I z kim jeszcze?

– Z nikim – odpowiedziała Marie-Louise Leverkus.

– Naprawdę? – drążył dalej. – A co na przykład z dawnymi koleżankami z pracy? Przecież jeszcze dwa lata temu pracowała pani w domu towarowym, zgadza się?

– Z panią Svendsen. Regine Svendsen. Czasami chodziłyśmy gdzieś razem, ale kilka lat temu ona przeprowadziła się do Karpacz. Znalazła sobie nowego partnera, dawnego kolegę szkolnego, który też został sam...

– Ma pani jej numer telefonu?

– Nie.

Münster zanotował i przewrócił kartkę.

– Proszę opowiedzieć o swoim powrocie do domu w sobotę wieczorem – poprosił.

– Przecież już opowiadałam kilka razy.

– To będzie ostatni – obiecał Münster.

– Ale po co?

– Bo nigdy nie wiadomo. Niekiedy dopiero po jakimś czasie wyłaniają się rzeczy, które w pierwszym momencie przeoczyliśmy. A zwłaszcza jeśli byliśmy w szoku.

Spojrzała na niego. Lekko zirytowana.

– Niczego nie przeoczyłam.

– Wróciła pani do domu kilka minut po drugiej?

– Zgadza się – powiedziała pani Leverkus.

– Drzwi wejściowe do domu były otwarte?

– Tak.

– Drzwi do mieszkania też nie były zamknięte na klucz?

– Już to mówiłam.

– Nikogo pani nie widziała? Na ulicy albo na klatce schodowej... czy w mieszkaniu?

– Nie.

– Jest pani pewna?

– Naturalnie.

– Weszła pani do środka i odkryła, że coś jest nie tak?

– Tak.

– W jaki sposób?

– Co?

– W jaki sposób pani zauważyła, że coś nie gra?

Zastanowiła się.

– Poczułam zapach.

– Czego?

– Krwi.

Münster udawał, że notuje, a w rzeczywistości czekał na ciąg dalszy, który jednak nie nastąpił. Usiłował przypomnieć sobie, jaki jest zapach krwi, i zrozumiał, że ona rzeczywiście mogła go poczuć. O ile dobrze pamiętał, to w jakichś papierach mignęła mu informacja, że Marie-Louise Leverkus, a także jej córka pracowały kiedyś w sklepie rzeźniczym. Czyli pewnie wiedziała, o czym mówi.

– Weszła pani do pokoju?

– Tak.

– I zapaliła pani światło?

– Tak.

– Jak pani zareagowała, kiedy zrozumiała pani, co się stało?

Nie odpowiedziała od razu. Znowu przez kilka sekund siedziała w milczeniu, aż wreszcie wyprostowała plecy i odchrząknęła.

– Stałam tam i zbierało mi się na wymioty – wyjaśniła. – To przychodziło tak falami, ale w końcu się uspokoiło. Wtedy wyszłam z domu, żeby złożyć zawiadomienie.

– Poszła pani na Entwick Plejn?

– Tak, przecież pan wie.

– Spotkała pani dużo ludzi po drodze?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie pamiętam. Ale raczej nie... padał deszcz.

– Jednak mimo to doszła pani do samego komisariatu?

Znowu się zastanowiła.

– Nie. W oknach było ciemno. Zobaczyłam to już z drugiej strony rynku.

– I stamtąd pani zawróciła?

Po raz kolejny się zadumała.

– Tak.

– I tą samą drogą poszła pani z powrotem do domu?

– Tak...

Münster zrobił przerwę.

– Czy chce pani usłyszeć, co o tym sędzę, pani Leverkusuhn? – spytał po chwili.

Nie odezwała się.

– Twierdzi pani, że szła pani prawie dwa kilometry przez miasto, a do tej pory nie znaleźliśmy ani jednego świadka, który by panią widział. Jak pani to wytłumaczy? Na ulicach nie było przecież kompletnie pusto?

Żadnej odpowiedzi. Münster czekał pół minuty.

– Czy pani przypadkiem nie kłamie, pani Leverkusuhn?

Podniosła wzrok i spojrzała na niego z łagodną pogardą.

– Po co miałabym kłamać, na litość boską?

Żeby na przykład uratować własną skórę, pomyślał Münster. Była to jednak nadzwyczaj wątpliwa koncepcja, dlatego zachował ją dla siebie.

– Czy mąż był w konflikcie z którymś ze swoich starych przyjaciół? – spytał.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Na przykład z panem Bongerem?

– Ja nie wiem, który jest który.

– To oni nigdy nie byli u państwa w domu?

– Nigdy.

– Ale chyba pani wie, że wszyscy czterej wygrali pieniądze?

Długo przymierzał się do tego pytania, jednak z jej reakcji trudno było wywnioskować coś jednoznacznego.

– Pieniądze? – powtórzyła tylko.

– Dwadzieścia tysięcy – wyjaśnił Münster.

– Co takiego? – dopytała.

– Wszyscy w sumie – dodał. – Czyli pięć tysięcy na osobę. To już niezły grosz.

Pokręciła powoli głową.

– Nigdy o tym nie wspominał – stwierdziła.

Münster pokiwał głową.

– Czy w mieszkaniu niczego nie brakuje poza tamtym nożem? Nie zauważyła pani jeszcze czegoś?

– Nie.

– Na pewno?

– Tak... żadnych pięciu tysięcy też nie znalazłam.

– Oni jeszcze nie dostali tych pieniędzy – wyjaśnił.

– Aha – powiedziała pani Leverkusn.

Münster westchnął. Czuł, jak znowu ogarnia go zmęczenie, i nagle – co prawda najwyżej na sekundę – ogarnęło go też poczucie bezsensowności. Nieoczekiwanie wydało mu się, że jest w stanie przejrzeć na wylot obojętną twarz tej starej kobiety, patrzeć przez nią jak przez szybę, a to, co zobaczył, było ślepą uliczką. Ciasną, ponurą ślepą uliczką, na której on stał sam i gapił się na ścianę przeciwpożarową.

Z odległości pół metra. Z rękami w kieszeniach spodni i z ramionami opuszczonymi z rezygnacją. Jakimś niewytłumaczalnym sposobem mógł widzieć zarówno swoje plecy, jak i ścianę przeciwpożarową.

Z odległości pół metra. Brudne cegły ze zwietrzałą zaprawą między nimi i zapach wiecznego, kwaśnego deszczu. Nie był to przyjemny obraz sytuacji. Ani trochę przyjemny. Najlepiej byłoby się wycofać, pomyślał i kilkakrotnie zamrugał powiekami, żeby znowu wrócić do rzeczywistości.

– Dziękuję – powiedział. – Na razie nie mam więcej pytań, ale nadal proszę, aby się pani zastanowiła, pani Leverkusn... może wystarczyć najbanalniejszy szczegół, abyśmy trafili na właściwy trop.

– Niech mnie pan lepiej zostawi w spokoju.

– Chcemy schwytać mordercę pani męża, proszę pani. I schwytemy go.

Przez ułamek sekundy wydało mu się, że widzi w jej twarzy powątpiewanie nieproporcjonalne do sytuacji, i prawdopodobnie to ono sprawiło – w połączeniu z coraz bardziej irytującym zmęczeniem pod powiekami – że w końcu podniósł głos.

– Znajdziemy mordercę, pani Leverkusn, to powinno być dla pani jasne!

Spojrzała na niego zaskoczona. Następnie wstała.

– Czy jeszcze coś?

– Na razie nie – odpowiedział.

Reszta dnia przebiegła w mniej więcej podobnym nastroju. Barka mieszkalna Bongera stała wciąż tak samo pusta jak do tej pory. Wypowiedzi osób, które w sobotę w nocy spacerowały po ulicach, dalej niczego nie wniosły, a jedyna sugestia, jaka dotarła z podziemnego świata, pochodziła z anonimowego źródła i sprowadzała się do wskazówki, by policja przestała grzebać w niewłaściwym stogu.

Konia z rzędem temu, kto powie, który stóg jest właściwy! – pomyślał Münster rozdrażniony.

Świadomie unikał kontaktu z inspektor Moreno, tymczasem podczas lunchu w kantine, przy wyjątkowo niezjadliwym makaronie, Krause powiedział mu, że Moreno zadzwoniła przed południem i zwolniła się z powodu choroby. W pierwszej chwili Münster przyjął tę informację z ulgą, potem jednak pojawiła się rozterka, której nie miał odwagi analizować bliżej. Sen z ostatniej nocy tkwił cały czas gdzieś z tyłu głowy – jak film niedozwolony dla dzieci, na który udało mu się przemknąć przez pomyłkę, a on doskonale wiedział, że nie znalazł się tam przypadkiem.

Całe popołudnie spędził w swoim pokoju na czytaniu wszystkich raportów i protokołów sporządzonych do tej pory w sprawie, ale wcale nie poczuł się od tego mądrzejszy.

Sprawa Waldemara Leverkusna?

Jest, jak jest, podsumował w duchu z rezygnacją, wyszedłszy z komendy około wpół do piątej. Z niewiadomej przyczyny nieznaną sprawca (mężczyzna? kobieta?) bestialsko morduje niewinnego emeryta. Od zabójstwa minęły cztery doby, a oni wciąż ani o krok nie przybliżyli się do rozwiązania.

Inny starszy mężczyzna znika tej samej nocy i w tym przypadku wiadomo jest równie dużo.

Czyli zero.

I znowu – który to już raz z kolei w ostatnich dniach – przypomniały mu się słowa Van Veeterena.

Z pracą na policji jest jak z życiem, stwierdził komisarz przy piątkowym piwie u Adenara kilka lat temu. Dziewięćdziesiąt pięć procent to strata czasu.

Czy nie pora już dotrzeć do tych pozostałych pięciu? – zastanawiał się

Münster, krążąc po labiryncie garażu. Czy nie najwyższy czas na jakiś przełom?

A może – przyszło mu do głowy, gdy wyjechał na Baderstraat – te wszystkie ponure sentencje Van Veeterena, które mu się teraz przypominały, to tylko znak, że powinien zajrzeć do antykwariatu Krantzego?

I odwiedzić komisarza?

Była to oczywiście zuchwała myśl – prawdopodobnie jedyna tego dnia – dlatego postanowił, że pozwoli jej jeszcze jakiś czas dojrzewać.

Potem dodał gazu i zaczął tęsknić za Synn i dziećmi.



**II**

– Przepraszam, jak pana nazwisko? – spytał Krause, marszcząc czoło. – Van Eck?

Zapisał je i numer telefonu. Przygryzł końcówkę długopisu. To chyba...

– A adres?

Zanotował go także i wbił wzrok w kartkę.

Jasne, że to...

Nie miał wątpliwości. Jednak wolał spytać i otrzymał potwierdzenie. Sam zauważył, że w jego głosie słyhać podekscytowanie, więc spróbował pokasływaniem zatuszować to wrażenie. Podziękował i obiecał, że za pół godziny będzie na miejscu. Odłożył słuchawkę.

Boże drogi, pomyślał. Co to, u diabła, znaczy?

Szybko wybrał numer Münstera. Był zajęty.

Moreno. Nie odbierała.

Van Eck? To nie może być przypadek, uznał i wstał z krzesła.

Münster dał mu znak ręką, żeby wszedł, i dalej rozmawiał przez telefon. Sądząc po jego minie, po drugiej stronie miał Hillera. Krause skinął głową w stronę Moreno, która siedziała na jednym z krzeseł dla gości i grzebała w jakimś stosie papierów. Raczej bez zainteresowania. Przynajmniej takie sprawiała wrażenie. Wygląda na zmęczoną, ocenił w duchu Krause i oparł się o regał. Ostatnio wszyscy byli zmęczeni, nie wiadomo dlaczego.

Münsterowi udało się wreszcie spławić szefa.

– Tak? Co tam? – spytał, unosząc wzrok.

– No więc – zaczął Krause – miałem dziwny telefon.

– To znaczy? – powiedział Münster.

– To znaczy? – zaciekała się też Moreno.

– Dzwonił Arnold van Eck. Dozorca z Kolderweg. Mówi, że jego żona

zniknęła.

– Co takiego?! – wykrzyknęła Moreno.

– Co, do jasnej cholery? – nie wytrzymał Münster.

Krause chrząknął.

– Poważnie – potwierdził. – Rozpłynęła się w powietrzu wczoraj. Obiecałem mu, że zaraz do niego przyjedziemy. Czy mam...? A może...?

– Nie, nie – odezwał się Münster. – Ty nie. Pojadę tam razem z Moreno. To jest przecież...

Nic nie przyszło mu do głowy. Chwycił torbę, szalik i płaszcz i wypadł na korytarz. Moreno pospieszyła za nim, ale zatrzymała się jeszcze na chwilę.

– Mam nadzieję, że to nie jest kolejny wymysł Rootha? – powiedziała i spojrzała badawczo na Krausego. – Ostatnio wydaje się mało wiarygodny.

Krause wzruszył ramionami.

– Myślisz, że to Rooth ją porwał, czy co? Jak tam pojedziecie, to się przekonacie. O ile dobrze pamiętam, ta kobieta jest wielka jak dąb... raczej niełatwo byłoby ją ukryć.

– W porządku – odparła Moreno. – Zostań tutaj. Odezwiemy się do ciebie.

– Ja nie mam zwyczaju znikać – powiedział z naciskiem aspirant Krause.

Arnold Van Eck wyglądał tak, jakby zgubił milion. Musiał chyba stać w oknie i ich wypatrywać, bo czekał już w drzwiach do domu, gdzie natknęli się również na panią Leverkusen, która właśnie wynosiła do taksówki torby i walizki wyładowane rzeczami po mężu.

– Odwożę to do Armii Zbawienia – wyjaśniła. – Myślałam, że chociaż przez jeden dzień dacie mi spokój.

– To nie do... to ja... – bąkał pod nosem Van Eck, przestępując nerwowo z nogi na nogę.

– Dzisiaj nie przyszliśmy z pani powodu – wyjaśnił Münster. – Panie Van Eck, może pójdziemy do pana?

Niewielkiego wzrostu mężczyzna skinął głową i ruszył przodem. Jego drobna postać sprawiała wrażenie jeszcze bardziej kruchej niż zwykle, wydawało się, że portier zaraz się rozsłocha i załamie z rozpaczy. Münster zastanawiał się, czy w nocy choćby na chwilę zmrużył oko.

– Co się stało? – spytał gospodarza, gdy już usiedli przy maleńkim

kuchennym stole z biało-niebieską ceratą i żółtym sztucznym kwiatem w doniczce.

Arnold Van Eck rozłożył ręce w bezradnym geście.

– Zniknęła.

– Zniknęła? – powtórzyła Moreno.

– Pańska żona? – dopytał Münster.

– Oj tak – powiedział Van Eck. – Tak właśnie.

Oj tak? – powtórzył w myślach Münster. Czy z nim jest coś nie w porządku? Jednocześnie doskonale wiedział – dzięki pracy i w ogóle – że istnieją ludzie, którzy nigdy nie powinni dostać do zagrania roli samego siebie, niezależnie od tego, czy to w filmie, teatrze, czy w ogóle w życiu. Arnold Van Eck bez wątpienia należał do takich osób.

– Proszę opowiedzieć – rzuciła Moreno.

Van Eck zachlipał jeszcze kilka razy i przesunął sobie okulary o grubych szklach wysoko na czoło, powyżej błyszczącego grzbietu nosa.

– To stało się wczoraj – wyjaśnił. – Wczoraj wieczorem... zniknęła jakoś tak po południu... albo wieczorem.

Zamilkł.

– A jest pan pewien, że żona po prostu gdzieś nie wyjechała? – spytała Moreno.

– Jestem – powiedział Van Eck. – Wczoraj była środa, a w środy zawsze oglądamy *Narzeczone gangsterów*... to taki serial w telewizji.

– Wiemy – potwierdziła Moreno.

– Gangsterów...? – powtórzył Münster.

– I masuje mi też nogi – kontynuował Arnold Van Eck. – Zawsze w środy... żeby nie zrobiły się zakrzepy.

Trochę nieporadnie zademonstrował na swoich udach i łydkach chwyt i ruchy wykonywane przez żonę. Münster powoli zaczynał wątpić, czy ich rozmówca na pewno jest przy zdrowych zmysłach, zobaczył jednak, że Moreno, nawet nie mrugnawszy okiem, robi notatki, założył zatem, że nie powinien się niczemu dziwić. Widocznie ludzie, którzy razem wchodzi w jesień życia, tak już mają. Tylko skąd Ewa Moreno to wiedziała?

– Kiedy widział ją pan ostatni raz? – spytał.

– Pięc po piątej – odpowiedział Van Eck bez chwili zastanowienia. –

Wyszła po zakupy i nie wróciła do chwili, jak wybierałem się na kurs.

– Jaki kurs? – chciała wiedzieć Moreno.

– Malowania porcelany. Zaczyna się o szóstej, w Riitmeeterska, więc potrzebuję tylko paru minut, żeby tam dotrzeć... wyszedłem chyba za dziesięć szósta.

– Malowania porcelany? – powtórzył Münster.

– To jest ciekawsze, niż mogłoby się wydawać – wyjaśnił Van Eck, prostując się nieco. – Jestem początkujący, byłem tam dopiero cztery razy, ale przecież nie chodzi wcale o to, żeby stworzyć jakieś dzieło... chociaż pewnego dnia, może...

Przez ułamek sekundy w oczach dozorca pojawił się blask. Münster chrząknął głośno.

– O której wrócił pan do domu?

– Pięć po ósmej, jak zawsze. Elsy nie było i nie przyszła też później na *Narzeczone gangsterów*... serial zaczyna się o wpół do dziesiątej, no i wtedy zacząłem się już na dobre denerwować.

Moreno znowu zanotowała. Münsterowi przypomniał się sen z poprzedniej nocy, toteż dyskretnie uszczypnęła się w rękę, aby się upewnić, że naprawdę siedzi w tej na żółto i różowo pomalowanej kuchni.

Nie obudził się, z czego wywnioskował, że wcześniej wcale nie spał.

– Jak pan myśli, dokąd ona mogła się wybrać? – spytała Moreno.

W policzkach Van Ecka drgnęły mięśnie i znowu wyglądał tak, jakby zaraz miał wybuchnąć płaczem.

– Nie wiem – bąknął. Z kieszeni spodni wyjął chustkę i wytarł sobie nos.

– To całkiem do niej niepodobne. Ona nigdy nigdzie się nie rusza, żeby mi nie powiedzieć, dokąd się wybiera... dobrze wie, że nie mam najmocniejszych nerwów.

Nieporadnie złożył chustkę i zamrugał powiekami za grubymi szklami. To chyba miłość? – pomyślał Münster. Jest jej tyle rodzajów.

– A może jest u którejś przyjaciółki? – zasugerował.

Van Eck nie odpowiedział. Wetknął chustkę z powrotem do kieszeni.

– Przyjaciółki czy dobrej znajomej, która nagle zachorowała? – uzupełniła Moreno.

Van Eck pokręcił głową.

– Ona nie ma tak dużo przyjaciółek. Zadzwoiłaby, przecież minęło już pół doby, a nawet więcej...

– I żadnej wiadomości? – dopytała Moreno.

– Żadnej.

– Wcześniej pana żonie nigdy nic takiego się nie zdarzyło?

– Nigdy.

– A dzwonił pan do szpitala? Mogło coś się jej stać... jakiś niegroźny wypadek, nie musi być od razu coś poważnego.

– Dzwoniłem i do Rumford, i do Gemejnte. Nic tam nie wiedzą, a poza tym ona sama by się wtedy odezwała.

– A może się państwo pokłócili czy coś w tym rodzaju?

– My nigdy się nie kłócimy.

– W co była ubrana? – wtrącił Münster.

Arnold Van Eck wyglądał na zaskoczonego.

– Dlaczego pan o to pyta?

Münster westchnął.

– Nie przyszło to panu do głowy? – powiedział. – Czy na przykład nie ma płaszcza żony? Czy wzięła jakąś torbę... jeśli jeszcze pan tego nie sprawdził, byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan zrobić to teraz.

– Przepraszam – rzucił Van Eck i pospieszył do przedpokoju. Słyszeli, jak buszuje między wieszakami i butami, po czym wrócił do pokoju.

– Zgadza się – rzekł – nie ma i płaszcza, i kapelusza... i torebki.

– Czyli jednak wyszła – stwierdziła Moreno. – Czy mógłby pan jeszcze sprawdzić, czy nie wzięła jakiejś torby? Oprócz torebki?

Zbadanie tego zajęło Van Eckowi kilka kolejnych minut, ale kiedy przyszedł z powrotem, nie miał wątpliwości.

– I torba podróżna, i torba na zakupy stoją w garderobie. Na pewno żona nie schodziła też do piwnicy. Wiem poza tym, że po zakupach wpadła jeszcze do domu... powstawiała rzeczy do lodówki i spiżarki. Mleko, ziemniaki, kilka konserw... i coś tam jeszcze. Kawior Diegermanna, zawsze taki kupujemy... niewędzony. O smaku szczypiorku.

– Jest niezły – przyznał Münster.

– Czy rozmawiał pan o tym z sąsiadami? – spytała Moreno.

– Nie... – Van Eck wiercił się na krześle.

– A ze znajomymi?

– Nie, człowiek nie chce, żeby takie rzeczy wychodziły na jaw, jeśli... jeśli miałyby coś... to znaczy...

Nie skończył. Münster wymienił spojrzenie z Moreno, która chyba pomyślała o tym samym co on, bo porozumiewawczo kiwnęła głową. Münster odchrząknął.

– Wie pan co, panie Van Eck – odezwał się. – Chyba będzie najlepiej, jeśli pojedzie pan z nami na komendę. Tam sobie w spokoju porozmawiamy i spiszymy protokół.

Van Eck zaczerpnął głęboko powietrza.

– Też tak myślę – powiedział. Dało się wyraźnie słyszeć, że z trudem panuje nad swoim głosem. – Czy mogę jeszcze pójść do toalety? Od tego wszystkiego dostałem rozstroju żołądka.

– Proszę – pozwoliła mu Moreno.

Czekając na niego, skorzystali z okazji i rozejrzeli się po ciasnym dwupokojowym mieszkanku. Nic ich nie zaskoczyło. Sypialnia ze starodawnym małżeńskim łóżkiem pokrytym fornirem tekowym i z cieniutkimi firankami w oknie w kolorze błękitnym i białym. W pokoju stołowym telewizor, serwantka i ponury zestaw wypoczynkowy z obiciem z wytrzymałego poliestru. Żadnych książek, oprócz encyklopedii w dziesięciu jaskrawoczerwonych tomach – za to sporo tygodników i mnóstwo reprodukcji pejzaży na ścianach oraz ręcznie malowanych porcelanowych naczyń na komódce i na stole. W kuchni, w której siedzieli, ledwo starczało miejsca dla trzech osób; lodówka, kuchenka i zlew pochodziły chyba z późnych lat pięćdziesiątych, a rośliny doniczkowe na parapecie wyglądały tak, jakby były hodowane i pielęgnowane wbrew ich woli. Sztuczny kwiat na stole sprawiał wrażenie znacznie bardziej żywego. Podłogi przykrywały dywany różnej wielkości, koloru i gatunku, a jedyną rzeczą, którą Münster mógł ewentualnie uznać za wyraz indywidualnego stylu, była wypchana głowa żyrafy, wisząca w przedpokoju nad półką na czapki, ale być może tylko dlatego, że nigdy dotąd nie widział głowy żyrafy oddzielonej od tułowia.

Lekko zawiedziona Moreno wzruszyła ramionami, po czym wrócili do

kuchni.

– Co z sąsiadami? – odezwała się. – Może zostanę i popytam, co mają do powiedzenia? Dobrze byłoby się dowiedzieć, kiedy widzieli ją ostatni raz.

Münster potaknął.

– Masz rację – powiedział. – Przysłać ci Krausego albo kogoś?

– Za godzinę – zaproponowała Moreno. – Przynajmniej nie będę musiała wracać na piechotę.

Spojrzała na zegarek. Żołądek Van Ecka wyraźnie nie dawał za wygraną.

– Co o tym myślisz? – spytała. – Muszę przyznać, że nie mogę się już w tym rozeznąć. Z jakiego powodu, do cholery, ta kobieta gdzieś przepadła?

– Na razie mnie nie pytaj – odparł Münster. – Ale mam przeczucie, że to musi coś znaczyć i że powinniśmy podejść do tego bardzo serio, nawet jeśli chwilami cała ta historia trąci farsą...

Usiadł wygodnie na krześle i spojrzał przez okno. Na dworze wciąż było szaro i ponuro, ciężkie chmury ciągnęły znad morza, a szybę pokrywały od zewnątrz krople wilgoci, mimo że nie padało.

Melancholia i smutek, pomyślał Münster. Kto by nie chciał w taką pogodę gdzieś prysnąć?

Z łazienki doszedł odgłos spuszczonej wody i w przedpokoju pojawił się Van Eck.

– Gotowe – oznajmił, jakby był trzylatkiem ćwiczącym robienie do nocnika.

– Wobec tego jedziemy – powiedział Münster. – Inspektor Moreno zostanie tutaj jeszcze trochę, żeby się rozejrzeć.

Van Eckowi drżała dolna warga. Moreno poklepała go delikatnie po ramieniu.

– Wszystko się wyjaśni, zobaczy pan – powiedziała. – Na pewno jest jakieś proste wytłumaczenie.

Prawdopodobnie, pomyślał Münster. W dzisiejszych czasach tyle rzeczy uznaje się za naturalne.



Inspektor Moreno wymeldowała się z hotelu Bender w czwartek o czwartej po południu. Recepcjonista z kółkiem w nosie próbował wymusić od niej zapłatę za jeszcze jedną noc, ponieważ zajmowała pokój dłużej niż do godziny dwunastej w południe, ale ona się nie zgodziła. Po raz pierwszy od bardzo dawna (a może w ogóle pierwszy raz?) zdecydowała się wykorzystać swoje stanowisko w prywatnej sprawie.

Chodziło przecież jedynie o sto czterdzieści guldenów, więc chyba można było jej darować?

– Jestem inspektorem policji kryminalnej – wyjaśniła. – Potrzebowaliśmy tego pokoju dla ochrony pewnej transakcji, którą zawierano w waszym hotelu. Nasza misja jest już zakończona. Jeśli nie chce pan, żeby pana nazwisko figurowało u nas w niezbyt pochlebnym kontekście, proponuję, aby policzył pan za jedną noc, a nie za dwie.

Chudy młodzieniec po dwóch sekundach namysłu powiedział:

– Rozumiem. Czyli jedna noc.

Kiedy wróciła do domu, przed drzwiami nie zastała Clausa, ale wychyliwszy pół kieliszka wina, zadzwoniła do niego.

Oznajmiła mu bez zbędnych wstępów i bez specjalnego wzburzenia, że ma jeden warunek. Ultimatum – jeśli woli. Jeśli w ogóle jest możliwe naprawienie tego, co było między nimi – w tym samym momencie, gdy to powiedziała, uświadomiła sobie, że budzi w nim fałszywą nadzieję – to żąda dwóch tygodni absolutnego spokoju.

Żadnych telefonów. Żadnych pozdrowień. Żadnych cholernych róż.

Dwa tygodnie. Czternaście dni, począwszy od dzisiaj. Czy się zgadza?

Tak, oświadczył po zbyt długo trwającej ciszy w słuchawce. Ale tylko wtedy, jeśli będzie wiedział, że po upływie tego terminu będą mogli się spotkać i szczerze porozmawiać.

I że żadne z nich nie wda się w nic innego w ciągu tych dwóch tygodni.

Nie wda się? – powtórzyła w myślach. W nic innego?

Zgodziła się na rozmowę, drugi warunek pominęła milczeniem i odłożyła słuchawkę.

Następnie wypła resztę wina z kieliszka. No dobrze. Czyli odroczyłam jego egzekucję o dwa tygodnie. To tchórzostwo. Ale trudno.

Zaszyła się w rogu kanapy z następnym kieliszkiem wina i notatkami z Kolderweg. Poprawiła poduszki i zapaliła lampkę do czytania, która rzucała tak wąski snop światła, że siedząc przy niej, można się było czuć jak w pokrowcu na ubrania albo w jednoosobowym namiocie. Mały, jasny stożek w ciemności, w którym mogła siedzieć jak w zamknięciu, odcięta od tego, o czym nie chciała wiedzieć. Od mężczyzn, mroku i wszystkiego innego.

Nareszcie, pomyślała. Pora skupić się na sprawie, a nie na sobie i własnym otoczeniu.

Przede wszystkim nie na sobie.

Na pierwszej stronie notesu wypisała lokatorów z Kolderweg 17. Od najwyższego piętra do dołu.

III Ruben Engel Leonore Mathisen

II Waldemar Leverkusn/ Tobose Menakdise/

Marie-Louise Leverkusn Filippa de Booning

I Arnold Van Eck/Else Van Eck puste mieszkanie

Fakty były takie, że Waldemar Leverkusn nie żyje. Ewa Moreno przekreśliła jego nazwisko i przeszła do kolejnych.

Marie-Louise Leverkusn. Co da się powiedzieć o wdowie?

Niewiele. Po oddaniu ubrań po mężu wróciła zaraz po dwunastej; Moreno odbyła z nią krótką rozmowę, ale biorąc pod uwagę, jak traumatyczne przeżycia i stresujące przesłuchania ta kobieta miała za sobą, ograniczyła się tylko do niezbędnych pytań. Według słów samej pani Leverkusn we wtorek po południu wypła kawę z Else Van Eck u niej w mieszkaniu, na dole, potem spotkała ją na schodach (kiedy szła na komendę na rozmowę z detektywem Münsterem); poza tym, jak twierdziła, ani nie słyszała, ani nie widziała żony dozorca.

Moreno postawiła krzyżyk za nazwiskiem Marie-Louise Leverkusn.

I znak zapytania przy nazwisku Else Van Eck.

Z kolei pan Van Eck wrócił z komendy w dosyć kiepskiej formie około wpół do drugiej; Moreno odhaczyła również jego.

Zostali kochankowie-akrobaci, Menakdise i de Booning z drugiego piętra, oraz pan Engel i pani Mathisen z trzeciego. Ta czwórka – patrząc na sprawę trzeźwo – to były jedyne osoby jeszcze w nią niezamieszane. Neutralni obserwatorzy (znowu znak zapytania) i potencjalni świadkowie.

Zaczęła od młodej pary.

A właściwie od Filippy de Booning, ponieważ Tobose Menakdise studiował medycynę i przez cały dzień był na zajęciach. Panna de Booning obiecała jednak, że spyta go, kiedy już wróci do domu, czy nie widział albo nie słyszał czegoś, co mogłoby rzucić jakieś światło na zniknięcie żony dozorca. Jeśli o nią samą chodzi, nie miała nic do przekazania. Wprawdzie prawie przez całą środę była w domu – siedziała i zakuwała do czekającego ją niedługo egzaminu z antropologii kultury – jednak pani Van Eck nie widziała.

– Na szczęście – dodała i zaraz ugryzła się w język. – Przepraszam, ale ona ma na nas oko... Domyślam się, że pani wie, o co chodzi?

Moreno uśmiechnęła się i skinęła głową. Przez chwilę po wewnętrznej stronie ud poczuła nieoczekiwane mrowienie, gdy wyobraziła sobie rudowłosą Filippę o zupełnie białej skórze w miłosnych zmaganiach ze swoim Tobose, który – przynajmniej wierząc oprawionej w ramki fotografii w przedpokoju – był czarniejszy od najczarniejszej czerni.

Żyjecie, pomyślała. Gratuluję.

Ruben Engel miał równie mało do powiedzenia – albo wręcz mniej. Źle się czuł i przez całą środę leżał w łóżku, oznajmił. A zwłaszcza wieczorem. Moreno rozejrzała się wkoło i postawiła roboczą hipotezę, że prawdopodobnie jego lekarstwo mogło być nieodpowiednio dobrane. Bo jeśli człowiek od rana nie czuje się dobrze, to raczej sobie nie pomoże, wychylając przez cały dzień jeden za drugim kieliszek czerwonego wina czy szklankę za szklanką piwa bądź grzanego wina. Odnotowała także, że Engel wydawał się poważnie zaniepokojony ostatnimi wydarzeniami w domu, i musiała bardzo się starać, aby obronić się przed jego przesyconymi wściekłością wywodami na temat prawa, porządku i upadku obyczajów. Jednocześnie zauważyła przejawy starczej zrzędliwości w tych jego wynurzeniach. Nie ulegało też wątpliwości, że chętnie korzystał z okazji i przedłużał jej wizytę, jak tylko się

dało. Podziękowała mu zarówno za kawę, jak i grzane wino oraz dżin i w końcu udało się jej od niego wydostać, przy czym niewyraźnie mu obiecała, że będzie go na bieżąco informować o rozwoju śledztwa. Rzecz jasna osobiście.

Skurczybyk, pomyślała, gdy wreszcie znalazła się za drzwiami.

Chociaż – złagodziła swój osąd po kilku sekundach – może to nie jest wcale tak zabawnie być starym, samotnym i cuchnącym człowiekiem.

Raczej w ogóle niewesoło.

Jedyny promyk światła znalazła u pani Mathisen, która swą konstytucją przypominała jej ptysia z bitą śmietaną. Okrągła, pulchna i słodka. Jej spostrzeżenia nie były może szczególnie cenne, ale przynajmniej twierdziła, że w środę wieczorem około siódmej – może kilka minut po siódmej, jeżeli dobrze pamiętała – wychodziła i kiedy mijała drzwi do mieszkania dozorczy, jest prawie pewna, że usłyszała zza nich jakiś dźwięk. Jaki to był dźwięk, nie potrafiła powiedzieć, jedynie tyle, że ktoś coś tam robił w przedpokoju – a tym kimś musiała być chyba pani Van Eck, bo jej mąż w tym czasie był w Riitmeerska i malował porcelanę.

Moreno jeszcze raz przejrzała swoje notatki z tej rozmowy, a potem odhaczyła pozostałe nazwiska – de Booning, Engel i Mathisen.

Oprócz tego nie było wiele do dodania. Krause, który przyjechał o dwunastej, żeby ją wesprzeć, poświęcił całe popołudnie na zbieranie informacji w najbliższym sąsiedztwie. Nie było to specjalnie trudne, ponieważ pani Van Eck dla większości mieszkańców ulicy i kwartału stanowiła znajomy element okolicznego obrazu.

Zrobiła zakupy w trzech sklepach przy Kolderplejn; z ostatniego wyszła mniej więcej za piętnaście szósta i w drodze powrotnej do domu była widziana przez co najmniej dwóch świadków. Toteż odtworzenie po kolei przebiegu tej – jak się wydaje – istotnej części popołudnia, nie było żadną sztuką.

Ok. 18.00 Pani Van Eck przychodzi do domu.

Ok. 19.00 Pani Van Eck wciąż jest w domu (w przedpokoju).

Ok. 20.00 Pani Van Eck znika.

Należało może jeszcze dodać, że żaden z licznych informatorów Krausego nie zauważył majestatycznej postaci żony dozorczy po godzinie osiemnastej.

Moreno patrzyła na swoje zestawienie. Fantastyczna praca

detektywistyczna! – pomyślała i zamknęła notes.

Münster i Jung przesłuchiwali Arnolda Van Ecka na zmianę.

W związku z rozwojem sytuacji na Kolderweg Hiller zgodził się na ponowne włączenie do sprawy zarówno Rootha, jak i Junga – w zakresie, jaki Münster uzna za konieczny. Gwałciciel z Linzhuisen od ponad dwóch miesięcy nie był aktywny i dochodzenie na tym polu wciąż nie ruszyło z miejsca.

Mimo wytrwałych wysiłków ze strony przede wszystkim Junga – w osobie Arnolda Van Ecka było bowiem coś, co odstręczało Münstera od przesłuchiwania tego mężczyzny, wręcz wywoływało w nim mdłości (może to obraz tego przejechanego kociaka znowu go straszył jak widmo) – nie udało się uzyskać więcej informacji poza tymi, które i tak już wyszły podczas wcześniejszej rozmowy przy stole w kuchni Van Ecków. Co prawda obraz trochę osobliwego bezdzietnego małżeństwa coraz bardziej nabierał konturów, ale jeśli chodzi o samo zniknięcie, wciąż znajdowali się w tym samym miejscu. Niezależnie od tego, jak bardzo Jung starał się przeświecić relacje między małżonkami, i tak nie udało mu się wycisnąć z Van Ecka nawet najmniejszej sugestii, która by wyjaśniała, dlaczego jego żona mogłaby chcieć tak po prostu od niego odejść.

Gdyby zrobiła to trzydzieści, czterdzieści lat temu, byłoby to najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem, przyznawał nawet sam Van Eck. Ale teraz – dlaczego miałyby opuszczać go teraz?

A zatem, wywnioskowali i Münster, i Jung, pani Van Eck tego nie zrobiła. Musiały kryć się za tym inne siły. I to niemałe siły – pani Van Eck nie należała do kobiet, które można by zabić zmiotką do kurzu, jak wyraził się Jung, zanim się rozeszli.

Kiedy Münster został sam w pokoju, przesłuchał całą taśmę od początku do końca i jeśli miał być szczery, to, co usłyszał, przypominało mu raczej – przynajmniej fragmentami – rozmowę z terapeutą, a nie przesłuchanie.

Jednak fakt był faktem: Else Van Eck, wzrost 182 cm, waga 94 kg, lat 65, przepadła. Prawdopodobnie ubrana w płaszcz z niebieskoszarej wełny, w brązowe zdrowotne buty firmy ENOC (rozmiar 43), a także w czarny filcowy kapelusz o płaskiej główce opuściła swoje mieszkanie mniej więcej między godziną dziewiętnastą a dwudziestą (czas ustalony przez Krausego na podstawie obserwacji pani Mathisen) w środę wieczorem.

Ogłoszenie o jej zaginięciu wyszło już o godzinie czternastej dnia następnego, ale jeszcze o piątej po południu, kiedy Münster wybierał się do domu, nie napłynęły żadne informacje od żadnego detektywa, którym czuje się każdy.

To byłoby zbyt piękne. Podstaw do nieco większej nadziei nie dawały też prowadzone przez Krausego w podziemnym świątku wywiady dotyczące Leverkusna, bo i tutaj na razie nic nie wskórano. Informator Adolf Bosch zameldował się tuż po trzeciej, złożył raport i zainkasował swoje dwieście guldenów (tyle że w odwrotnej kolejności, bo przecież Bosch nie upadł na głowę), a rezultat swoich wątpliwych dochodzeń podsumował Krausemu tak:

– Ni cholery, panie posterunkowy. Ni cholery.

Przed wyjazdem do domu Münster pozwolił sobie jeszcze na pół godziny autorefleksji w ciszy własnego pokoju. Zamknął drzwi na klucz. Zgasił światło. Przesunął krzesło zza biurka pod okno i położył nogi na parapecie.

Oparł się wygodnie i popatrzył przez szybę. Musiał przyznać, że na dworze było nawet w pewien sposób ładnie. Ładnie i jednocześnie złowróżbnie. Niebo sklepiało się nad miastem niczym ołowiana kopuła, która powoli, choć nieuchronnie coraz bardziej mroczniała. Daremne próby rozjaśnienia ciemności w dole, na pełnych szumu ulicach, zdawały się raczej podkreślać nieustępliwość owych ciemności, niż stanowić jakąkolwiek obronę przeciwko nim.

Mniej więcej jak jego praca. Właśnie o tym mówił kiedyś komisarz... że uzyskamy wyobrażenie o skali zła, dopiero kiedy zaczniemy je zwalczać. Dopiero kiedy zapalimy światło w ciemności, przekonamy się, jak jest nieprzenikniona.

Potrząsnął głową, żeby odpędzić te daleko sięgające myśli. Przecież nic mu nie dawały – nic poza poczuciem zmęczenia i bezradności, które o tej deszczowej, błotnistej porze roku i tak miało doskonałą naturalną pożywkę.

Mimo słów Junga i jego własnych o mokrych, gołych gałęziach drzew i Bóg wie czym jeszcze. Krajobraz wewnętrzny?

Pora wrócić do sprawy! – pomyślał i zamknął oczy. Sprawy Waldemara Leverkusna.

A może to jest sprawa Bongera? Albo Else Van Eck?

Na ile można uznać za pewne, że te trzy ogniwa rzeczywiście się ze sobą

łączą? Istniała stara reguła mówiąca, że znalezienie dwóch zabitych bileterów kinowych nijak nie dowodzi, że między tymi morderstwami istnieje związek.

Ale jeśli zostanie znaleziony trzeci – wtedy owszem, można spokojnie przyjąć założenie, że należy zapewnić ochronę policyjną wszystkim bileterom na świecie.

On tymczasem miał troje emerytów. Jednego zamordowanego i dwoje zaginionych. Czy to znaczy, że trzeba chronić wszystkich emerytów na świecie?

Mam nadzieję, że nie, pomyślał Münster. Bo to w końcu żadna sztuka radykalnie okroić powiązania. Leverkusn i Bongera byli dobrymi przyjaciółmi. Leverkusn i Else Van Eck mieszkali w tym samym domu. Natomiast Bongera i pani Van Eck w ogóle się nie znali – jeśli zatem w tej historii jest w ogóle jakiś wspólny mianownik, to musi nim być Leverkusn.

I Leverkusn jako jedyny z nich na pewno nie żył.

Münster westchnął i nagle pożałował, że nie pali. W takiej chwili jak ta na pewno chętnie by sobie puścił dymka; zamiast tego musiał się zadowolić spleceniem dłoni na karku i odchyleniem się jeszcze bardziej do tyłu na krześle.

Czyli oboje zaginieli? – pomyślał. Ale ich przypadki się różniły. I to bardzo. Jeśli chodzi o Bongera, mógł rozpuścić się w powietrzu praktycznie w dowolnym momencie w noc zabójstwa – albo później. Po jego wyjściu od Freddy'ego nikt już go nie widział, ale z drugiej strony nikomu nie był potem potrzebny. Jego nieobecność zauważono dopiero w niedzielę, i to nie rano. Przypuszczalnie w ogóle nie wrócił na swoją barkę, ale to była tylko hipoteza. Nie brakowało innych opcji i wariantów.

Z Else Van Eck rzecz się miała inaczej. Tu margines błędu skurczył się do godziny między siódmą a ósmą wieczorem w środę, a biorąc pod uwagę okazałość postaci pani Van Eck i jej rozpoznawalność w okolicy, możliwości były większe. Na pewno powinien, nie, *musi* znaleźć się jakiś świadek! – pomyślał Münster. Jutro od rana trzeba znowu zacząć kołędować od drzwi do drzwi!

Potem siedział jeszcze przez chwilę z zamkniętymi oczami. Miał wrażenie, że widzi trzy elementy swojej układanki obracające się w głębokiej i ciemniejszej przestrzeni – podobnie jak działa się to z logotypem którejś wytwórni filmowej, gdzie litery zazębiały się jedna o drugą i tworzyły nazwę, a właściwie tylko skrót. Nie przypominał sobie, jak nazywała się ta

wytwórnia, a jego puzzle – Leverkusen, Bongers i Van Eck – w ogóle nie chciały się zahaczyć jeden o drugi. Cały czas tylko wirowały i wirowały, zataczając niekończące się i powtarzające się pętle... coraz dalej i dalej, coraz głębiej w ciemniejszej przestrzeni.

Z niemałym wysiłkiem woli zdołał z powrotem otworzyć oczy. Zobaczył, że minęła już piąta, postanowił więc pojechać do domu.

Cholera jasna, zaklął w duchu, wkładając płaszcz, cholera jasna, gdyby wszyscy policjanci kryminalni na całym świecie spali w nocy o jedną godzinę dłużej, można by zaoszczędzić pięć razy tyle czasu.

Dzięki umysłom, które myślałyby jaśniej.

Bo przecież lepiej by chyba było zaoszczędzić zmarnowany czas w postaci snu? A sen właściwie nigdy nie może być zmarnowany.

Co mi się roi w tej głowie? – pomyślał po chwili. Zaczynam się starzeć? Poza tym od ponad dwóch tygodni się nie kochałem.



## 19

– Jakoś nie mogę się pozbyć tego wrażenia – powiedział Rooth.

– Jakiego? – chciał wiedzieć Jung.

– Że zostałem włączony do dochodzenia jak gdyby w niewłaściwym miejscu. Mam poczucie, jakbym w ogóle nie wiedział, o co w nim chodzi. Chyba powinienem zajmować się inną sprawą.

Jung przyjrzał mu się z chłodnym uśmiechem.

– Na przykład czym? Nie uważam, żebyśmy w sprawie tego typka z Linzhuisen zaszli wiele dalej. A może byłoby najlepiej, gdybyś w ogóle wykręcił się od roboty?

Rooth westchnął samokrytycznie. Zaczął szukać w kieszeniach czegoś, co mógłby włożyć do ust, ale znalazł jedynie zużytą gumę do żucia wciśniętą w stary bilet do kina. Ktoś zapukał do drzwi i do środka wszedł Krause z kopertą w dłoni.

– Zdjęcia Else Van Eck – powiedział.

– Okej – odparł Jung i wziął kopertę do ręki. – Mógłbyś zawołać tu Joensuu i Kellermana... i kto tam jeszcze jest?

– Klempje i Proszek.

– Świetnie – odezwał się Rooth. – Remis.

Krause wyszedł. Jung wyjął zdjęcia z koperty i zaczął się im przyglądać. Podał je potem Roothowi, który wstał z miejsca i ostentacyjnie podrapał się po głowie.

– Co jest z tobą? – spytał Jung.

– Bo to jest dosyć dziwne – powiedział Rooth.

– Co takiego?

– Że tyle rzeczy może zniknąć tak bez śladu... to znaczy, że coś, co jest stałe, może się ulotnić i tak dalej. Wiem, wiem, ale mimo wszystko...

– Hm – bąknął Jung. – Chcesz przez to powiedzieć, że masz jakąś teorię?

– Sam nie wiem – rzekł Rooth. – Teoria... właściwie to w tej przeklętej historii nie mam odwagi wypowiadać się głośno. Nie, nabieram wody w usta.

– Boże drogi! – zakrzyknął Jung. – Co ty bredzisz? Jeśli nawet w tym pokoju jest podsłuch, to i tak żadna gazeta w całej Europie nie wydrukuje tego, co teraz powiesz. Zresztą chyba sam w to nie wierzysz.

– No dobra – zgodził się Rooth. – Chodzi o jej wzrost.

– Wzrost?

– Tak, wzrost. Ja po prostu nie wierzę, że tak monstrualnie duża kobieta jak Else Van Eck może zniknąć w taki sposób.

– W taki sposób? Co masz na myśli?

Rooth usiadł znowu na krześle.

– Nie rozumiesz?

– Nie.

– A mimo to zrobili cię inspektorem?

Jung zebrał zdjęcia i włożył je z powrotem do koperty.

– Nadęty, nieogolony glina – powiedział.

– Moim zdaniem ona wciąż jest w domu – rzekł Rooth.

– Co takiego?

– Tak, tak. Stara Van Eck przebywa nadal przy Kolder-weg siedemnaście.

– Co masz na myśli?

Rooth kolejny raz westchnął.

– No bo to dosyć mało prawdopodobne, żeby mogła opuścić dom przez nikogo niezauważona... czyli wciąż tam jest.

– Ale gdzie?

Rooth wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, do cholery. Na strychu albo w czyjejs komórcie w piwnicy.

– Czyli przyjmujesz, że ona nie żyje?

– Niewykluczone – potwierdził Rooth. – Może oczywiście być też pokrojona na kawałki i w coś zawinięta albo... leży związana i z zakneblowanymi ustami. Wszystko jedno. Chodzi o to, żeby teraz solidnie przeszukać cały dom, zamiast dalej krążyć po sąsiadach.

Jung przez chwilę się nie odzywał.

– Może i tak – przyznał. – A dlaczego nie pójdziesz z tym do Münstera i z nim nie pogadasz?

– Właśnie się do niego wybieram – oznajmił Rooth i wstał. – Chciałem ci tylko najpierw pokazać, jak pracuje większy mózg.

– Dzięki – odparł Jung. – To było i interesujące, i pouczające.

Dwie minuty później w pokoju zameldowali się czterej wezwani policjanci. Jung zmierzył wzrokiem ów kwartet, jednocześnie zastanawiając się nad priorytetami.

– Na razie wystarczy dwóch z was – powiedział. – Klempje i Proszek. Joensuu i Kellerman, wy możecie chwilę poczekać na dole przy dyżurce. Mamy kilka nowych... poleceń.

W piątek w ciągu sześciu godzin posterunkowi Klempje i Proszek pokazali powiększoną fotografię Else Van Eck łącznie trzystu sześćdziesięciu dwóm osobom na Kolderweg i w jej okolicy. Stosunkowo duża część pytanych od razu rozpoznała kobietę na zdjęciu, a stosunkowo niewielka liczba widziała ją w środę później niż o godzinie osiemnastej.

Mówiąc precyzyjnie: ani jedna osoba.

– Dlaczego, do stu diabłów, zamiast zawracać nam dupę, nie dadzą porządnego ogłoszenia w gazecie? – irytował się Proszek, kiedy udało im się w końcu znaleźć wystarczająco zaciszny kąt w Café Bendix przy Kolderplejn. – Jeszcze zostanę od tego impotentem.

– Zawsze nim byłeś – powiedział Klempje. – Wyjdzie jutro rano.

– Co takiego? – spytał Proszek.

– Normalny list gończy.

– No nie! – oburzył się jeszcze bardziej Proszek. – To po jaką cholere my kolędujemy z tym zdjęciem?

Klempje wzruszył ramionami.

– Może zależy im na czasie?

– Gównu mnie to obchodzi – rzucił Proszek. – Na zdrowie! A gdzie, swoją drogą, podziewają się Joensuu i Kellerman? Mogę się założyć, że pewnie dobrze się bawią przy jakiejś eskorcie.

Tymczasem ani Joensuu, ani Kellerman raczej nie uznałiby swojej piątkowej

pracy za szczególnie przyjemną, gdyby mieli szansę wyrazić własne zdanie, ale nie mieli. Przez pięć godzin i czterdzieści pięć minut przekopali Kolderweg 17 od czubka dachu po piwnicę. Oprócz nich w poszukiwaniach uczestniczył też patrol psi, czyli dwa czarne owczarki ze swoimi dwoma rudowłosymi opiekunami, oraz co najmniej przez połowę tego czasu – inspektor kryminalny Rooth w roli inicjatora całej akcji.

Kamienica została zbudowana pod koniec dziewiętnastego wieku, więc była w niej cała masa przedziwnych kątów, zakamarków, korytarzy i opuszczonych rupieciarni, a planu całego domu nie widział nigdy żaden żywy człowiek. A przynajmniej jeśli wierzyć właścicielowi, niejakiemu panu Tiborowi, który w porze lunchu przyjechał bentleyem z pękiem kluczy. Kiedy jednak Rooth osobiście odwołał całą akcję po trzech godzinach, można było z całą pewnością stwierdzić, że żadna kobieta o wymiarach żony dozorca, pani Van Eck, ani żadna inna nie kryła się w żadnym zakamarku domu.

Ani żywa, ani martwa.

Natomiast znalazło się kilku lokatorów, którzy powoli zaczynali się czuć coraz bardziej nieswojo. Stoickie zapewnienia Joensuu, że chodzi jedynie o drobne rutynowe przeszukanie, stawało się coraz mniej wiarygodne wraz z coraz dokładniejszym opróżnianiem strychu, odwracaniem wanien do góry dnem i prześwietlaniem zawartości kanap.

– Co to za dzikie metody, przekłęci wandale – prychnął pan Engel, kiedy owczarek Rocky II obwąchiwał kolekcję jego butelek pod łóżkiem. – A gdzie podzialiście swoją koleżankę, tę, która niedawno mnie odwiedziła? Ona przynajmniej miała trochę taktu i przyzwoitości.

Mówiłem od razu! – pomyślał inspektor Rooth, kiedy było już po wszystkim. Lepiej trzymać się od tej sprawy z daleka.

– To jaka była ta twoja teoria? – spytał Jung, kiedy wrócił na komendę.

– Ładna – rzekł Rooth. – Ale mam już inną.

– Co ty powiesz? – zainteresował się Jung i spojrzał w górę sponad stosu papierów.

– Pani Mathisen przemieliała ją w maszynce do mięsa i rzuciła Mussoliniemu do miski.

– Myślałem, że Mussolini był wegetarianinem – rzekł Jung.

– Błąd – odpowiedział Rooth. – To Hitler był wegetarianinem.

– Skoro tak mówisz – zgodził się Jung.

Odprawa z komendantem policji, Hillerem, w piątkowe popołudnie okazała się wydarzeniem niewartym zapamiętania. W ciągu tygodnia dokonały żywota dwie akacje karłowate, mimo że otrzymywały opiekę, pożywienie i miłość, na jaką tylko było stać człowieka.

Szef policji wprawdzie nie ubrał się w żałobny strój, ale miał za to podkrążone oczy.

Na poziomie ludzkim sytuacja nie wyglądała dużo lepiej. Münster, głównie przy pomocy Moreno i Junga (którzy poświęcili większą część dnia na odszukanie i przesłuchanie krewnych i znajomych Else i Arnolda Van Ecków, odnosząc podobny sukces jak kwartet smyczkowy dający koncert w szkole dla głuchoniemych), zdał relację i po ciągnącej się w nieskończoność godzinie zapadła decyzja o utrzymaniu na razie dotychczasowego zespołu pracującego nad sprawą, wysłanie dłuższego komunikatu prasowego i okazywanie ogólnie większej otwartości w kontaktach z mediami.

Pomocy, pomyślał Münster, kiedy w końcu wrócił do swojego pokoju. Tego właśnie potrzebujemy. Nie wiemy nic a nic i potrzebujemy wsparcia.

Telewizji, gazet, Bóg wie czego jeszcze. Informacji od ludzi.

Mówiąc krótko: wskazówek.

Ale wciąż była to tylko trzelementowa układanka. Te same stare puzzle.

Leverkuhn. Bonger. Else Van Eck.

Lecz jakkolwiek długo deliberował i kalkulował, rezultat wciąż pozostawał ten sam – kompromitujący.

## 20

– Wiesz, że dzisiaj jest sobota? – powiedziała Synn.

– Dzwoniłem do niego wczoraj – odparł Münster. – Ma trochę czasu tylko dziś przed południem. Myślisz, że on może mieć jakąś kobietę?

Synn uniosła jedną brew.

– Chcesz powiedzieć, że się obawiasz, że przedkłada ją nad ciebie?

Münster usiłował jej coś na to odrzec, ale przeszkodziła mu czkawka i nie wydobył z siebie ani słowa.

– Synn, na litość boską... – w końcu jednak spróbował, ale ona odwróciła się już od niego plecami.

Wypił kawę i wyszedł z kuchni. Kiedy stał w przedpokoju i zawiązywał sobie buty, słyszał, jak Synn rozmawia z dziećmi na górze.

Jeszcze mnie kocha, pomyślał z nadzieją. Mimo wszystko wciąż mnie kocha.

– Będę z powrotem najpóźniej o pierwszej! – krzyknął na schodach. – Po drodze zrobię zakupy.

– Kup coś fajnego!

Marieke zjechała na pupie po kilku stopniach w dół.

– Kup coś fajnego! Zapakowanego w papier.

Wziął ją na ręce. Przytulił do siebie, wcisnął nos w jej świeżo umyte włosy i postanowił kupić co najmniej trzy prezenty. Jeden dla Marieke, jeden dla Bartjego i coś dla Synn.

Sto róż dla Synn.

Muszę jakoś posklejać to, co popsulem, pomyślał z przekonaniem. Koniecznie.

Tylko czy róże rzeczywiście będą w stanie zakleić rysy – tak, nad tym pytaniem warto się chyba zastanowić.

Postawił Marieke na podłodze i wyszedł na deszcz.

– Sądząc po wyglądzie, chyba wiedzie się panu świetnie, komisarzu – powiedział Münster.

Van Veeteren głośno spijał pianę z piwa.

– Nie nazywaj mnie komisarzem, Münster – zwrócił się do niego. – Prosiłem cię już tyle razy, żebyś dał spokój z tymi tytułami.

– No dobrze – odparł Münster. – Ale tak czy siak, wyglądasz doskonale. Tylko tyle chciałem ci powiedzieć.

Van Veeteren pociągnął spory łyk piwa, smakując je z wyraźną rozkoszą.

– No cóż – zaczął. – Porozmawiałem sobie z Naszym Panem i dogadaliśmy się na siedem dobrych lat po tej długiej wędrówce w ciemności. To całkiem niezły układ... Jak skończę sześćdziesiąt pięć lat, wtedy on będzie miał wolną rękę.

– Naprawdę? – odezwał się Münster. – Ja już zaczynam się czuć stary... Reinhart też właśnie odszedł, więc czasami bywa ciężko.

– Żadnego nowego komisarza na widoku?

Münster pokręcił głową.

– Chyba czekają na dwie rzeczy. Po pierwsze, że ty jeszcze wrócisz...

– Ja nie wrócę – wtrącił Van Veeteren.

– ...a jeśli nie, to najpierw Heinemann musi odejść na emeryturę. Nikt raczej nie wyobraża go sobie w tej roli, a to on jest pierwszy w kolejce.

– Ale Hiller został jednak komendantem – zauważył Van Veeteren.

Wyjął na stół tytoń oraz maleńką maszynkę do gilz i zaczął zwijać papierosa.

– Skończyłem z wykałaczkami – wyjaśnił. – Zaczynałem się już od nich uzależniać. A to zwijanie bibulek to prawie jak rękodzieło... no, ale mów, z czym do mnie przychodzisz? Przecież nie będziemy jak Chińczycy siedzieć tu przez cały dzień i prawić sobie uprzejmości. Münster pociągnął łyk piwa i spojrzał na mokry od deszczu rynek, na którym ludzie przemykali w pośpiechu od straganu do straganu. Przeszło mu przez głowę, że tyle razy siedział tu, U Adenaara, razem z komisarzem i przysłuchiwał się jego mrukliwym wywodom i ponurym rozważaniom... Tak, nie trzeba specjalnej mądrości, żeby zrozumieć, dlaczego zrezygnował, pomyślał Münster. Ostatecznie wytrzymał aż trzydzieści pięć lat.

I nie ma się co dziwić, że Nasz Pan w swej łaskawości postanowił darować mu siedem dobrych lat. On sam też by to zrobił.

– No? – powtórzył Van Veeteren.

– Jest pewna sprawa...

– Leverkusen?

Münster potaknął.

– Skąd komi... Skąd wiesz?

Van Veeteren zapalił swego skręta i zaciągnął się tak, jakby właśnie wynalazł pierwszy papieros na świecie.

– Pięć dziennie – wyjaśnił. – To dzisiaj mój pierwszy. Co mówiłeś?

– Wiedziałeś, że będę chciał mówić o Leverkusenie?

– Zgadłem – odparł Van Veeteren skromnie. – W końcu to nie pierwszy raz... a ja wciąż jeszcze czytam gazety.

Münster pokiwał głową trochę zażenowany. Ale to prawda. Od czasu, kiedy komisarz ogłosił swój odwrót, Münster odważył się już dwa razy zwrócić się do niego w sprawie bieżących przypadków, żeby przedyskutować poczynione kroki. Za pierwszym razem, niecały rok temu, trochę się obawiał, czy wciągać go znowu w ich sprawy, ale bardzo szybko się przekonał, że jego stary instynkt psa tropiącego jeszcze nie do końca zaniknął. Odkrył także, że komisarz znajdował nawet pewną gorzką satysfakcję, gdy oni korzystali z jego konsultacji w ten sposób.

Inna sprawa, że oczywiście nigdy pod żadnym pozorem się do tego nie przyzna.

– Rozumiem – powiedział Münster. – Byłbym ci wdzięczny, gdybyś... gdybyś zechciał mnie posłuchać... Faktycznie chodzi o Leverkusna, nie zaprzeczam...

Van Veeteren opróżnił swoją szklankę.

– Jak wspomniałem, przeczytałem o nim w gazecie – przyznał. – Sprawa wydaje się specyficzna... Jeśli zamówisz jeszcze jedno piwo, to na pewno znacznie poprawi mój słuch.

Lekko drgnęły mięśnie w jego policzkach. Münster dopił piwo i poszedł do baru.

Dwa piwa i czterdzieści pięć minut później wszystko było jasne. Van



Veeteren oparł się wygodnie na krześle i w zamyśleniu kiwał głową.

– Tak, tak, to nie jest standardowa sprawa. Każda z tych historii prowadzi w inną stronę. Tropy zamiast się zbiegać, idą w różnych kierunkach.

– No właśnie – potwierdził Münster. – Leverkusen, Bonger i pani Van Eck. Kiedy zastanawiałem się nad tym, doszedłem do wniosku, że wszyscy troje mają ze sobą dostatecznie dużo wspólnego, by istniał między tymi przypadkami jakiś związek, a jednocześnie na tyle mało, że nie daje się znaleźć wspólnego motywu.

– Może tak, może nie – powiedział zagadkowo Van Veeteren. – Powinieneś wystrzegać się podchodzenia do tego jak do puzzli... Bo to piekielnie irytujące, jeśli w zestawie jest o jeden element za dużo.

– Słucham? – zdziwił się Münster. – Co masz na myśli?

Van Veeteren nie odpowiedział. Poprawił się na krześle i zaczął bawić się od nowa swoją maszynką do papierosów. Münster znów spojrzał przez okno. Kolejne zdanie bez sensu, stwierdził w duchu, czując lekkie ukłucie irytacji, znane mu równie dobrze jak stary, znoszony płaszcz.

O jeden element za dużo? No nie, uznał, że to pewnie tylko kolejny przejaw upodobania komisarza do otaczania wszystkiego mgłą tajemnicy i oparami mistyfikacji i nic ponadto... co w takiej sytuacji jak ta przecież niczemu nie służyło.

– A żona? – spytał Van Veeteren. – Co o niej myślisz?

Münster zastanowił się.

– Dosyć zamknięta – powiedział po chwili. – Mam wrażenie, że dusi coś w sobie i nie chce się z tym zdradzić. Chociaż czy ja wiem? Bo jaką reakcję uznać za normalną, kiedy człowiek wraca do domu i znajduje swoją żonę czy męża zaszlachtowanych w ten sposób? A dlaczego pytasz?

Van Veeteren wolał nie rozwodzić się także i nad tą kwestią. Siedział, obracając w palcach świeżo skręconego papierosa i zdawał się bujać myślami gdzieś daleko.

– Jak wspomniałem – odezwał się Münster – chciałem to z tobą tylko przegadać. Dzięki, że mnie wysłuchałeś.

Van Veeteren zapalił papierosa i wydmuchnął obłok dymu na begonię, która była chyba równie martwa, jak akacje komendanta.

– Wtorek po południu – rzucił. – Daj mi kilka dni, żebym mógł sobie przemyśleć to i owo. Może zagrałibyśmy znowu mały meczyk badmintona?

Przydałoby mi się trochę ruchu. Tylko nie rób sobie specjalnych nadziei... co do tej historii – dodał, po czym stuknął się w czoło. – Ostatnio jestem nastawiony bardziej na rzeczy piękne i przyjemne.

– Wtorek – powtórzył Münster i zanotował sobie w notesie. – Słyszałem, słyszałem... nowa kobieta, tak?

Van Veeteren wetknął swoją maszynkę do kieszeni marynarki i przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy.

W sumie wydał niemal pięćset guldenów na prezenty, w tym na czerwoną sukienkę za dwieście dziewięćdziesiąt pięć guldenów dla Synn. Ale co tam! – pomyślał. Raz się żyje!

Jak to ona powiedziała kilka dni temu?

„Wyobraź sobie, co to będzie, jak wszystko nagle się skończy?”.

Przeszył go dreszcz. Wsiadł do samochodu. Tak czy siak, życie to przecież nic więcej tylko suma pojedynczych dni i w którymś momencie dochodzi się do punktu, gdy człowiek zaczyna się bardziej interesować tym, co było, niż tym, co jeszcze przed nim.

Poza tym bywają – miał nadzieję – takie okresy w życiu, gdy można i należy żyć tylko chwilą.

Na przykład taką sobotą i niedzielą jak teraz, na początku listopada.

Cholera, jak by to było dobrze, pomyślał Münster, gdybym miał głowę zwykłego gliniarza, którą dawałoby się włączyć i wyłączyć zgodnie z godzinami pracy. O ile takie roboty w ogóle jeszcze istnieją. Przypominał sobie rozmowę sprzed jakiegoś czasu z komisarzem – pewnie U Adenaara – o intuicji.

Mózg pracuje najlepiej, kiedy zostawi się go w spokoju, oznajmił Van Veeteren. Załaduj go pytaniami i informacjami, które masz, a potem myśl o czymś zupełnie innym. Jeśli w ogóle istnieje odpowiedź, to wcześniej czy później sama wyskoczy.

Akurat, pomyślał ponuro Münster. Widocznie są jednak różnice między mózgami.

Tak czy inaczej, po rozmowie z komisarzem i zakupach w największym sobotnim tłoku nie miał wątpliwości, że czuje się dosyć wyjałowiony. A więc i tak najrozsądniej byłoby pozwolić umysłowi pracować w spokoju i przekonać się, czy coś z tego wyniknie.

Spojrzał na zegarek. Było dziesięć po pierwszej. Trwała listopadowa sobota, padał deszcz, a on myślał teraz tylko o rodzinie, którą powinien się zająć.

## 21

W nocy z piątku na sobotę inspektor Moreno spała ponad dwanaście godzin, a kiedy się obudziła o wpół do jedenastej przed południem, musiało upłynąć kilka chwil, zanim się zorientowała, gdzie jest.

I że jest sama.

I że pięć lat z Clausem Badherem dobiegło końca, i że teraz jest panią samej siebie. Czuła się z tym dziwnie. Również z tym, że minął już miesiąc, odkąd się z nim rozstała, a dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jej los jest w jej własnych rękach.

Jakby dla sprawdzenia siły owych rąk uniosła je znad pościeli i przyglądała się im przez chwilę. Nie wyglądały szczególnie imponująco, ale tak to już teraz jest z kobiecymi dłońmi... są drobne i trochę dziecinne; w każdym razie różnią się ogromnie od męskich – potężnych i żylastych narzędzi. One dopiero są użyteczne i piękne. Kiedy się dłużej zastanowiła, doszła do wniosku, że nigdy nie widziała ładnych kobiecych dłoni. To takie skrzydełka kurczaka, przyszło jej do głowy... niefunkcjonalne i patetyczne. Oczywiście można by dalej dywagować na temat owej rzucającej się w oczy różnicy: w jakim stopniu jest ona czymś przejściowym w kwestii odwiecznego pytania o pierwiastek męski i żeński...

Dłonie – wyrazem różnic gatunkowych?

I nigdy jedno i drugie się nie spotykają, pomyślała. Ale wtedy przed jej oczami pojawił się obraz ciemnej męskiej dłoni na kobiecej piersi i musiała przyznać, że jednak, do cholery, nieraz do spotkania dochodzi.

Kiedy potem stała pod prysznicem, zrozumiała jeszcze, że tamta dłoń nie należała do Clausa i tamta pierś nie była jej, tylko był to obraz Tobose Menakdise i Filippy de Booning, i tak oto całe śledztwo nagle znowu do niej wróciło.

Lecz im więcej myśli będzie poświęcać Leverkuhnowi, a mniej Clausowi, tym lepiej. Tym zdrowiej dla jej zmaltretowanej duszy.

Zresztą miała przecież jeszcze inne możliwości niż te dwie, żeby łamać sobie głowę. W każdym razie po śniadaniu wybrała się na długi spacer brzegiem Willemsgraacht, w kierunku Lauerdammarna i Löhr. Szła w ciepłym deszczu i myślała o tym i owym, ale najwięcej o rodzicach i bracie w Rzymie, którego nie widziała już od ponad dwóch lat. Chociaż rodzice mieszkali trochę bliżej, w Groenstadt, to z nimi też nie kontaktowała się zbyt często. Oczywiście łatwo jej było krytykować stosunki rodzinne Leverkusnów, jednak jeśli miałyby być szczerą, to w jej rodzinie wcale nie wyglądało lepiej.

Poza tym miała jeszcze siostrę. Maud. Gdzie – nie wiedziała, przypuszczalnie w Hamburgu, nie wiedziała też, w jakim ona jest teraz stanie.

Niewykluczone, że antropolodzy mają rację, przyznała w duchu. Skoro wyczerpała się rola rodziny północnoeuropejskiej jako istotnego czynnika ekonomicznego i społecznego, to równocześnie straciła ona także swoje emocjonalne znaczenie.

Uczucia są tylko nadbudową i dodatkiem. Mężczyzna i kobieta spotykają się, rozmnażają i każde idzie we własną stronę. W kierunku, w którym zmierzali, zanim oboje przez przypadek wpadli na siebie nawzajem... zmierzali ku temu niejednoznacznemu celowi. Może tak właśnie powinno się na to patrzeć. Istnieje przecież mnóstwo takich przykładów w świecie zwierząt, a człowiek jest w gruncie rzeczy nikiem innym, tylko istotą biologiczną.

Ta ostatnia refleksja kazała jej dostrzec, że ona też jest samicą i że trudno jej będzie wytrzymać bez faceta. Przynajmniej na dłuższą metę. Szkoda, pomyślała, szkoda, że człowiek jest taką diabelnie wadliwą konstrukcją i że dystans między rozumem, sercem a płcią musi być taki duży. A przynajmniej najczęściej.

Zawsze?

Bar w Młynie Czerpńskiego był otwarty, więc postanowiła napić się herbaty przed dalszym marszem. Ale zamierzała wpaść tam tylko na chwilę, ponieważ dochodziła już za kwadrans trzecia, a ona w żadnym razie nie miała ochoty wałęsać się sama po ciemku.

Ledwie weszła w drzwi, przy jednym ze stolików w okrągłym lokalu zauważyła Benjamina Wautersa i Jana Palńskiego – nie rozpoznali jej albo tylko udawali, ona zaś zrozumiała, że to musi być znak.

Znak, że nie ma sensu dłużej bronić się przed pracą.

Mimo to jeszcze trochę wytrzymała. W sobotę wieczorem zadzwoniła i do swojego brata, i do rodziców, obejrzała w telewizji francuski film z lat sześćdziesiątych i wyprała ręcznie dwa swetry. Ale kiedy niedzielny rano powitanie odsłonił wysokie, jasne niebo, zrozumiała, że to wszystko na próżno. Nie da się uciec. Od sprawy. Od pracy. Tak po prostu jest i nie ma się co oszukiwać.

To tkwi głęboko we mnie, pomyślała, i mną steruje. Popęd czy nałóg, do którego się nie przyznaje, który jednak określa moje życie. A przynajmniej życie zawodowe. Podoba mi się to grzebanie! Lubię brać innych pod lupę. Motywy ich postępowania i ich czyny.

Poza tym jestem akurat w środku cyklu, dodała w myślach. A skoro nie ma mężczyzny, wezmę sprawy w swoje ręce.

Uśmiechnęła się, uprzytomniwszy sobie swoją myśl. Stała na przystanku i czekała na autobus w stronę Kolderweg. Praca zamiast miłości? Kompletny absurd! Gdyby Claus chociaż przez pięć minut mógł prześledzić jej myśli, prawdopodobnie nigdy więcej nie ośmieliłby się z nią spotkać.

Ale może tak właśnie jest ze wszystkimi relacjami?

Ze wszystkimi kobietami i ich mężczyznami o pięknych dłoniach?

Przyjechał autobus.

Drzwi otworzyła jej obca kobieta i przez ułamek sekundy Moreno poczuła szansę na przełom. Po chwili kobieta przedstawiła się jako Helena Winther, młodsza siostra Arnolda Van Ecka, i nadzieja zgasła.

– Przyjechałam wczoraj – poinformowała. – Uznałam, że powinnam, bo on jest za słaby.

Była szczupłą osobą po pięćdziesiątce o identycznie anemicznej cerze jak u brata, ale o uścisku dłoni świadczącym o pewnej stanowczości.

– Nie mieszka pani w Maardam?

– Nie, w Aarlach... mój mąż ma tam firmę.

Poszła pierwsza do pokoju stołowego, gdzie Arnold Van Eck siedział skulony przed telewizorem i gapił się na jakiś przedpołudniowy program. Wyglądał tak, jakby dopiero co przestał płakać.

– Dzień dobry – powiedziała Moreno. – Jak się pan miewa?

– Podle – odpowiedział i zakaszłał. – Wszędzie jest taka pustka.

Moreno pokiwała głową.

– Rozumiem pana. Wpadłam tylko, żeby spytać, czy może pan sobie coś przypomniał. Jak mówiłam, czasami w takich sytuacjach nieoczekiwanie coś nagle wpada do głowy.

– To jest dla mnie zagadka! – wybuchnął Van Eck. – Niepojęta zagadka.

Ciekawe, czy on tak samo myśli, jak mówi? – zadała sobie pytanie Moreno. W każdym razie jest to szczególny przypadek, jeśli chodzi o sferę męskości, o której akurat tyle myślała.

– Czy nie przypomina pan sobie, żeby pana żona w ostatnich dniach przed zniknięciem zachowywała się jakoś inaczej? – spytała. – Może powiedziała albo zrobiła coś, co zwykle jej się nie zdarzało?

Arnold Van Eck ciężko westchnął.

– Nie – odparł. – Niczego takiego nie było. Przez ostatnie noce leżę i w ogóle nie śpię, tylko cały czas myślę, ale to nic nie daje. Zagadka. To jest jak jakiś zły sen, tyle że on mi się nie śni.

– A kiedy pan wrócił z tego swojego kursu w środę, niczego szczególnego pan nie zauważył? Od razu po wejściu w drzwi, pierwsze wrażenie, rozumie pan, o czym mówię?

Van Eck pokręcił głową.

– Myśli pan, że to możliwe, że pańska żona miała kontakty z mężczyznami, których pan nie zna?

– He?

Przez sekundę Arnold Van Eck wyglądał tak, jakby zezował za swoimi grubymi szklami, Moreno zaś zdała sobie sprawę, że jej pytanie – podobnie jak ewentualna na nie odpowiedź – daleko wykraczało poza możliwości jego wyobraźni.

Zrozumiała także, że nic więcej już tu nie wskóra, zanim jednak ruszyła w rundkę po kamienicy, zamieniła jeszcze kilka słów z siostrą w kuchni.

– Czy utrzymuje pani częsty kontakt ze swoim bratem i bratową? – spytała.

Helena Winther wzruszyła ramionami.

– Jako taki – rzekła. – Między nami jest spora różnica wieku, ale tak, spotykamy się od czasu do czasu... wie pani, mój mąż i Arnold są zupełnie

różni.

– A Else?

Helena Winther spojrzała przez okno i nie od razu odpowiedziała.

– No cóż, Else jest, jaka jest – stwierdziła. – Pewnie pani zauważyła. Oni nie są typową parą, ale w jakiś sposób zawsze się nawzajem potrzebowali... przecież pani widzi, jak on teraz wygląda?

– Czy pani brat zażywa coś na uspokojenie? – spytała Moreno.

– Arnold nie bierze żadnych leków. Przez całe swoje życie może raz łyknął aspirynę.

– Dlaczego?

Helena Winther nie odpowiedziała. Jedynie spojrzała na Moreno, lekko unosząc brwi. Można było odnieść wrażenie, że w ciągu tych kilku sekund dwie pary kobiecych oczu prześwietlają i zgłębiają męczeństwo mężczyzny, uznając je w końcu za niezgłębione.

– Nie domyśla się pani, co się mogło stać?

– Nie mam pojęcia. To jest zagadka, tak jak on mówi. Else nie należy do kobiet, które by zniknęły. Wręcz przeciwnie, rozumie pani?

Lekkim kiwnięciem głowy Moreno potwierdziła, że rozumie. Potem pożegnała się z obojgiem, obiecując, że zrobi wszystko, by wyjaśnić te tajemnicze okoliczności.

Fritz Engel również dzisiaj nie pachniał fiołkami, ale wydawał się trzeźwy, a na stole w kuchni leżała otwarta krzyżówka.

– To dobre na szare komórki – wyjaśnił, wstając z krzesła i przykładając sobie do skroni brudny palec wskazujący. – Serdecznie witam... proszę mi wierzyć, nie mówię tego wszystkim policjantom.

Moreno przyjęła komplement z rutynowym uśmiechem.

– Właściwie to przychodzę tylko z kilkoma drobiazgami, które chciałabym wyjaśnić. Oczywiście jeśli ma pan czas?

– Ależ naturalnie.

Engel podciągnął spodnie, które miały tendencję do zsuwania się na podłogę, i wskazał wolne krzesło. Moreno usiadła i odczekała dwie sekundy.

– Co wiązało Leverkusna i panią Van Eck?

– Nie rozumiem – odparł Engel i też usiadł.



Moreno przechyliła się przez stół i zaczęła:

– Proszę posłuchać. Uważam, że musi istnieć jakiś związek między tymi dwoma wydarzeniami w waszym domu... jakiś drobny czynnik, który spowodował, że akurat tych dwoje... zostało usuniętych z drogi. Może to być cokolwiek, ale osoba postronna prawdopodobnie nie ma szansy, żeby to dostrzec. A pan, panie Engel, przez dwadzieścia lat mieszkał z obojgiem niemal przez ścianę, więc jest pan właściwą osobą, żeby móc coś powiedzieć... czy nie przypomina pan sobie jakiegoś powiązania między Waldemarem Leverkühnem a Else Van Eck. Czy oni przypadkiem nie jedli sobie, że tak powiem, z dzióbków?

– Ma pani na myśli to, że niby coś między nimi było?

Moreno stłumiła westchnięcie.

– Nie, nie. To nie musiało mieć od razu takiego wymiaru... trudno to sprecyzować, jeśli się do końca nie wie, czego się szuka.

– Nie – powiedział Engel. – Nic takiego nie było.

Zamknął usta z kłapnięciem sztucznej szczęki. Moreno zrozumiała, że jej rozmówca patrzył na nią teraz jak na glinę, a nie jak na kobietę.

– A pan się niczego nie obawia, panie Engel?

Wzgląd na własną męskość stanowił oczywiście przeszkodę w udzieleniu na to pytanie szczerej odpowiedzi. Odchrząknął i wyprostował plecy, aż zatrzeszczało mu w kręgosłupie, ale Moreno odniosła wrażenie, że przez tę maskę prześwieca lęk.

Kotłował się jak ciemna woda pod cienką warstwą lodu po jednej nocy mrozu.

– Ja nie jestem specjalnie bojaźliwy, panienko – odrzekł, starając się zachować niewzruszone spojrzenie. – Człowiek nauczył się radzić sobie w tym świecie.

– A nie zauważył pan, żeby któryś z pana sąsiadów zrobił się bardziej niespokojny? – zahaczyła. – Kiedy spotyka ich pan na schodach czy gdzie indziej?

– Z sąsiadów? Nie... skąd!

Po czym zaczął kaszleć, a zanim atak minął, Moreno siedziała nieruchomo i próbowała jakoś sklasyfikować tę ostatnią wypowiedź.

Czy była rzeczywiście tak zdystansowana, jak chciał, by zabrzmiała?

Dwie godziny później, kiedy zanurzyła się w pachnącej eukaliptusem pianie we własnej wannie, wciąż jeszcze nie potrafiła definitywnie odpowiedzieć na to pytanie.

Także w nocy na poniedziałek inspektor Ewa Moreno spała głębokim i nieprzerwanym snem, a kiedy następnego ranka siedziała w tramwaju i zmierzała do komendy, zdała sobie sprawę, że na nowo odnalazła drogę do samej siebie. Nagromadzony deficyt snu został wyrównany i po raz pierwszy od dawna poczuła się naprawdę zdolna do pracy.

Gotowa sprostać temu, czego od niej oczekiwano.

A jednak się myliła. Bo to, co miał jej do oznajmienia komisarz Münster, gdy weszła do jego pokoju, po prostu ją zatkało.

– Coś nowego? – spytała.

– Chyba można tak powiedzieć – rzekł Münster i podniósł wzrok znad stosu papierów, w którym grzebał. – Przyznała się.

– Kto? Do czego? – spytała.

– Pani Leverkus. Zadzwoiła dziś rano kwadrans po siódmej i przyznała się, że zamordowała swojego męża.

Moreno usiadła na krześle.

– A niech to cholera – powiedziała. – Czyli to jednak ona?

– Przynajmniej tak twierdzi.

**III**

Policja potrzebowała trzech dni, potem właściwie zostawiono ją w spokoju. Począwszy od drugiego tygodnia, wizyty ograniczyły się do garstki osób.

Adwokat nazywał się Bachmann i przychodził prawie codziennie, przynajmniej na początku. Spotkała go już przy pierwszym przesłuchaniu na komendzie, ale nie zrobił na niej najlepszego wrażenia. Dobrze ubrany, otyły mężczyzna po pięćdziesiątce o gęstych, falowanych włosach, które wyglądały na farbowane. Miał masywny sygnet i mocne białe zęby. Od samego początku chciał, żeby jako linię obrony przyjąć nieumyślne spowodowanie śmierci; podporządkowała się jego woli, nie zastanawiając się nad tym głębiej.

Nie lubiła go. Im więcej zostawi mu swobody w podejmowaniu decyzji, tym mniej czasu będzie musiała spędzać na dyskusjach z nim, wykalkulowała sobie. W środku miesiąca nie pojawił się nawet przez kilka dni z rzędu, ale w grudniu, kiedy zbliżał się termin procesu, trzeba było znowu omówić mnóstwo spraw. Nie rozumiała do końca dlaczego, ale też o to nie pytała.

Niech to wszystko się jak najszybciej skończy, pomyślała, i to właściwie było jedyne życzenie, jakie w ogóle przed nim wyraziła. Nie chciała, żeby sprawa wlokła się nie wiadomo jak długo, z mowami obrońców i wypytywaniem świadków, i całą tą resztą, którą znała z telewizji.

Adwokat Bachmann przesunął dłonią po włosach i obiecał, że zrobi, co w jego mocy. Nadmienił jednak, że istnieją pewne niejasności, a nie wszystko da się pominąć na sali sądowej.

Za każdym razem, kiedy zwracał na to uwagę, pospiesznie wykrzywiła usta w uśmiechu, ale ona ani razu mu nie odpowiedziała.

Ksiądz nazywał się Kolding i był mniej więcej w jej wieku. Łagodny kaznodzieja, który zawsze miał ze sobą termos z herbatą i pudełko herbatników i zazwyczaj spędzał w jej celi pół godziny, siedząc na krześle

i nie mówiąc wiele. Przy swojej pierwszej wizycie oznajmił, że nie zamierza się narzucać, ale chce mimo wszystko być pod ręką co drugi albo trzeci dzień na wypadek, gdyby nabrała ochoty na rozmowę z nim.

Nigdy do tego nie doszło, lecz nie miała nic przeciwko temu, żeby tam siedział. Był wysoki i chudy, trochę przygarbiony z powodu wieku i przypominał jej nieco księdza z czasów własnej konfirmacji. Raz spytała go nawet, czy nie jest z nim spokrewniony, ale oczywiście zaprzeczył.

Przez pewien okres jednak pracował w parafii Maalwort na Pampas. Dowiedziała się tego podczas jednej z nielicznych wymian zdań między nimi, ale ponieważ ona w kościele, od którego mieszkała o rzut kamieniem, była tylko kilka razy, niewiele padło słów również na ten temat.

Mimo to siedział w kącie celi przez kilka popołudni w tygodniu. I był pod ręką, jak to określił. A może on jest po prostu zmęczony i chce odpocząć, myślała czasami.

Pozostałe osoby, które zadawały sobie trud, żeby przyjść i ją odwiedzić, to dzieci oraz niezmordowana Emmeline von Post.

Kiedy przed sądem zaczęła wyliczać, doszła do wniosku, że Mauritz odwiedził ją trzy, a Ruth i Emmeline po dwa razy. W jej urodziny, drugiego grudnia, Mauritz i Ruth pojawili się razem z tortem Sachera i trzema białymi liliami, co ona z niewiadomego powodu uznała za absurdalne i nie mogła się powstrzymać, by nie wybuchnąć śmiechem.

Bo tak w ogóle to rzeczywiście starała się – podczas tych wszystkich wizyt – być uprzejma i przyjazna, jednak okoliczności często sprawiały, że odwiedzający czuli się spięci i obcy w tej jasnożółtej celi. Szczególnie z Mauritzem doszło kilka razy do ostrej wymiany zdań z powodu błahostek, tyle że ona i tak nie spodziewała się niczego innego.

W gruncie rzeczy czas spędzony w areszcie – te sześć tygodni w oczekiwaniu na proces – oznaczał okres odpoczynku i oddechu, toteż kiedy w przeddzień jego rozpoczęcia kładła się spać, czuła oczywiście pewien niepokój przed tym, co ją spotka, ale jednocześnie wiedziała, że wewnętrzna siła pozwoli jej przejść i przez te trudności.

Tak jak zawsze do tej pory.

Proces rozpoczął się we wtorek po południu, a adwokat obiecał, że do piątku

wieczorem powinien się skończyć.

O ile nie wyłonią się jakieś komplikacje, ale raczej nie było powodu, by jakichkolwiek się spodziewać.

Pierwsze godziny na sali rozpraw upłynęły pod znakiem niewygody i ślimaczego tempa, co ją zdziwiło. Została posadzona za podłużnym drewnianym stołem, na którym znajdowały się butelki z wodą mineralną, kartonowe kubeczki i notes. Po jej prawej stronie siedział adwokat, pachnący swoją tradycyjną wodą kolońską, a po lewej – dosyć młoda, ubrana na granatowo kobieta, której funkcji tak naprawdę nie знаła. Ale też nigdy o nią nie spytała.

Rozprawa nie odbywała się na jednej z tych wielkich sal sądowych, tyle przynajmniej zauważyła. Dla ewentualnych słuchaczy i dziennikarzy było tylko około dwudziestu miejsc oddzielonych brązową barierką w tylnej części podłużnego pomieszczenia. Ale na razie, w pierwsze popołudnie, cała widownia i tak ograniczała się do ledwie sześciu osób: dwóch dziennikarzy o przerzedzonych włosach i czterech kobiet w niebudzącym wątpliwości wieku emerytalnym. Poczwała ulgę, że jest ich tak mało, domyślała się jednak, że w miarę upływu czasu na tych krzesłach z wysokimi oparciami zasiądzie na pewno więcej ludzi. Kiedy już zacznie się na dobre.

Naprzeciw niej, na co najwyżej dziesięciocentymetrowym podwyższeniu, królował sędzia Hart za szerokim stołem nakrytym do samej podłogi zielonym sukniem, tak by nie było widać jego nóg. Albo nie dało się zaglądać pod sukienkę, fantazjowała, gdyby na jego miejscu siedziała kobieta. Przecież mogło tak być. W każdym razie jej sędzia był roslym, potężnym mężczyzną około sześćdziesiątki i dosyć mocno przypominał starego francuskiego aktora, którego nazwiska nie mogła sobie przypomnieć, choć bardzo się starała. Miała wrażenie, że kończyło się na -eaux.

Po prawej ręce przewodniczącego składu sędziowskiego siedzieli dwaj inni sędziowie – młodzi, starannie uczesani mężczyźni w okularach i nienaganych garniturach – a po lewej była ława przysięgłych.

Na wstępie poświęcono uwagę właśnie przysięgłym: czterem mężczyznom i dwóm kobietom; jeśli dobrze zrozumiała, chodziło o kwestię ich bezstronności i wiarygodności w procesie, który się właśnie zaczynał.

Po przywitaniu wszystkich sędzia Hart otworzył postępowanie i oddał głos prokurator, pani Grootner, kobiecie w raczej zaawansowanym średnim wieku, ubraną w beżowy kostium i o ustach tak szerokich, że zdawały się

wychodzić kawałek poza twarz. Stała za stołem po drugiej stronie przejścia, lekko odchyliła się do tyłu, mając za przeciwwagę swój okazały biust, i przez czterdzieści pięć minut przedstawiała stanowisko oskarżenia. O ile Marie-Louise Leverkusn zrozumiała, cały wywód pani prokurator sprowadzał się do tego, że w nocy z dwudziestego piątego na dwudziestego szóstego października ona, Marie-Louise Leverkusn, z premedytacją i będąc w pełni władz umysłowych, zabiła nożem męża Waldemara i że jedyna możliwa kwalifikacja tego czynu to morderstwo pierwszego stopnia. Odpowiednio do tego został także sformułowany akt oskarżenia.

Czy ona naprawdę wierzy w to, co mówi? – pomyślała Marie-Louise Leverkusn, jednak nie sposób się było zorientować, co faktycznie kryje się za tym potokiem słów i okularami o opływowych kształtach, które – jak się okazało przy bliższym przyjrzeniu się – były wygięte w łuk Amora, brakujący ustom właścicielki.

Po oskarżycielu przyszła kolej na obrońcę. Bachmann wstał z godnością, przeciągnął kilka razy prawą dłońią po swoich mahoniowych włosach, po czym oznajmił, że obrona nie zgadza się z oskarżeniem i proponuje jako kwalifikację nieumyślne spowodowanie śmierci.

Po czym dalej mówił na ten temat, używając wielu słów i rozwodząc się niemal równie długo, jak szerokousta prokurator, toteż Marie-Louise Leverkusn kilkakrotnie czuła, że za chwilę mogą opaść jej powieki.

Czyżbym jednak nie spała tak dobrze w nocy? – pomyślała.

A może wszystko poszłoby szybciej, gdyby przyznała się do popełnienia zabójstwa?

Do chwili kiedy tuż po czwartej posiedzenie zostało przełożone na dzień następny, nie powiedziała ani słowa. Nie musiała. Nikt nie zadał jej żadnego pytania. Bachmann uprzedził ją wprawdzie, że pierwszy dzień będzie tak wyglądał, mimo to czuła się trochę zdezorientowana, kiedy kobieta ubrana na granatowo, którą miała przez cały czas obok siebie, wyprowadziła ją z sali.

Zupełnie jak u dentysty albo w szpitalu, stwierdziła z mieszaniną ulgi i zawodu. Człowiek jest niekwestionowaną główną postacią, ale nie ma prawa nawet pisać. Widocznie dokładnie tak samo jest z maszyną sądową.

– Przydałaby się, cholera jasna, dłuższa rakietka – powiedział Van Veeteren i chwycił się za plecy. – To jest dokładnie to, czego potrzebuję. Nie pojmuję, dlaczego nikt nie wymyślił czegoś takiego.

– Ale po co? – spytał Münster.

– No żeby nie musieć się tak diabelnie schylać do drop shota. Moje plecy nie są już w najlepszej formie... zresztą nigdy nie były.

Münster zastanawiał się i deliberował nad tymi mądrymi słowami, stojąc pod prysznicem. Co prawda wygrał wszystkie trzy sety, jak zwykle zresztą, ale komisarz – były komisarz – stawiał mu całkiem solidny opór. 15:9, 15:11, 15:6 – tak wyglądały wyniki, które wskazywały raczej na to, że kondycja Van Veeterena się poprawiła, a nie pogorszyła.

A przecież chyba już niewiele brakuje mu do sześćdziesiątki, pomyślał Münster, starając się jednocześnie odsunąć od siebie myśl, że dosyć wyrównany wynik meczu mógł mieć wiele wspólnego z jego własną formą.

– To co, idziemy do Adenaara? – spytał Van Veeteren, kiedy wyszli z powrotem do holu. – Bo domyślam się, że pewnie coś ci leży na sercu?

Münster zakaszlał z lekkim zakłopotaniem i potaknął.

– Jeśli komisarz ma czas?

– Tylko bez komisarza – burknął Van Veeteren.

– Przepraszam. Trochę to potrwa, zanim się przyzwyczaję.

– Wiem, wiem – rzekł Van Veeteren, przytrzymując drzwi. – Czyli co? Pewnie znowu na tapecie jest Leverkusen.

Münster rzucił okiem w stronę rynku i ciężko westchnął.

– Tak – przyznał. – Dziś zaczął się proces. Nie mogę przestać o tym myśleć.

Van Veeteren wyjął niezdarnie swoją maszynkę do papierosów i upchnął tytoń w pojemniku.



– I takie sprawy są najgorsze – stwierdził. – Te, które nie dają człowiekowi spokoju po nocach.

– No właśnie – powiedział Münster. – Ta piekielna sprawa już mi się nawet śni... ale nie znajduję rozwiązania ani we śnie, ani na jawie. A przecież przeanalizowałem ją gruntownie ze sto razy, i razem z Jungiem, i z Moreno... ale bez efektu.

– A Reinhart? – spytał Van Veeteren.

– Na urlopie – westchnął Münster. – Bawi się ze swoją córeczką.

– Jasne, zapomniałem – rzekł Van Veeteren, nacisnął uchwyt maszynyki i na stół wypadł gotowy papieros. Z zadowoloną miną włożył go sobie między wargi i zapalił. Münster obserwował jego ruchy w milczeniu.

– Nie wierzysz, że to ona? – spytał Van Veeteren po pierwszym zaciągnięciu się. – Czy rzecz w czym innym?

Münster wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem – przyznał. – Nie, to chyba jednak ona, ale cała ta sprawa mimo wszystko nie jest jasna. No bo mamy jeszcze panią Van Eck i tego całego Bongera. Wszelki ślad po nich zaginął, a minął już ponad miesiąc.

– A ta Leverkusn nie ma z tym nic wspólnego?

Münster pociągnął solidny łyk piwa i pokręcił głową.

– Zero. Przynajmniej tak twierdzi. Porządnie ją przemaglowaliśmy, kiedy się przyznała, ale nie odstąpiła od swojej linii ani o milimetr. Zabiła męża w przypiływie wściekłości, tego się nie wypiera, ale jeśli chodzi o tamtych, jest niewinna jak baranek. Tak mówi.

– A dlaczego zabiła męża?

– Dlaczego? – powtórzył Münster. – Powiedziała, że to była ta kropla, która przepęłniła czarę. I to wszystko.

– Hm – bąknął Van Veeteren. – A co to była za kropla? Nie sprecyzowała? Jeśli przyjmiemy, że czara faktycznie była pełna.

– Że on wygrał pieniądze i nie zamierzał jej dać nawet złamanego grosza. Mówi, że kiedy przyszła do domu, leżał na łóżku i zaczął jej wyliczać, czego to on sobie teraz nie kupi, no i miała dość.

Van Veeteren, wciąż paląc, zastanowił się przez chwilę.

– Mogło tak być – powiedział. – Czy ona rzeczywiście taka jest?

Münster podrapał się w głowę.

– Nie wiem. Jeśli przyjąć, że tą czarą, która się przelała, było całe jej życie – albo przynajmniej lata małżeństwa – to faktycznie, kto wie, ale z zewnątrz trudno to ocenić. Ona w każdym razie przedstawia to tak, że przez te wszystkie lata musiała znosić niemało, no i po prostu w którymś momencie już dłużej nie dała rady. Coś w niej pękło, mówi, no i zrobiła, co zrobiła.

Van Veeteren oparł się wygodnie na krześle i spojrzał w sufit.

– No a twoje teorie? – spytał po chwili. – Masz jakieś? Co o tym myślisz? Na przykład o tej Van Eck?

Münster zrobił nagle nieszczęśliwą minę.

– Cholera – zaklął. – Nie mam pojęcia. Błędgo pojęcia. Jak już ostatnio powiedziałem, trudno mi uwierzyć, żeby te trzy historie nie miały ze sobą związku. Wydaje się mało prawdopodobne, żeby Bonger i Van Eck rozplłynęli się w powietrzu dokładnie w tym samym czasie przez czysty przypadek.

– Nie wiadomo, czy Bonger i Van Eck nie żyją, tak? – wtrącił Van Veeteren. – Czy może coś przegapiłem?

Münster westchnął.

– Nie wiadomo – potwierdził. – Ale nawet jeśli tylko zniknęli Bóg wie gdzie, to i tak niczego nam to nie ułatwia.

Van Veeteren siedział w milczeniu przez kilka sekund.

– Pewnie nie – rzekł wreszcie. – A powiedz mi, co do tej pory zrobiłeś w tej sprawie? Tak od strony rutynowego postępowania... No bo przecież chyba nie chodziłeś tylko w kółko i nie darłeś sobie włosów z głowy?

– Mówiąc szczerze, niewiele – nie ukrywał Münster. – Od kiedy prokurator przypięła się do pani Leverkus, prowadzone były już wyłącznie czysto rutynowe poszukiwania tamtej dwójki.

– Kto wszystkim kieruje? – spytał Van Veeteren.

– Ja – powiedział Münster i popił znowu piwa. – Ale po zapadnięciu wyroku Hiller na pewno będzie chciał odłożyć sprawę na półkę. Czyli w przyszłym tygodniu. Nie brakuje innych spraw, którymi trzeba się zająć.

– Serio? – zdziwił się Van Veeteren.

Opróżnił szklankę i kiwnął na kelnera po jeszcze jedną. Czekaając, siedział w milczeniu z brodą podpartą na rękach i patrzył na samochody i gołębie na Karlsplatz. Kiedy dostał piwo, najpierw spił piankę, a potem jednym haustem wychylił kufel niemal do dna.

– Dobrze – powiedział. – Po sporcie człowiekowi zawsze chce się pić. To właściwie dlaczego chciałeś się ze mną widzieć?

Nagle Münster zrobił zakłopotaną minę. On nigdy się nie nauczył, pomyślał Van Veeteren.

– No?

– No więc – zaczął Münster. – Chodzi o intuicję i temu podobne rzeczy. Mówiąc wprost, chciałem komi... chciałem cię poprosić o przysługę.

– Zamieniam się w słuch – rzekł Van Veeteren.

Münster przysunął się do niego.

– Więc jeśli chodzi o ten proces... – ciągnął dalej. – Dobrze by było, gdyby dało się ocenić, czy ta Leverkusen jest tak winna, czy tak niewinna, jak sama twierdzi. Gdyby tak ktoś, kto ma nosa do takich spraw, mógł tam pójść i ją poobserwować. Niezależnie od tego, czy zostanie skazana, czy nie.

– Zostanie na pewno – zauważył Van Veeteren.

– Też tak myślę – rzekł Münster.

Van Veeteren przyglądał się swojej maszynie do papierosów ze zmarszczonym czołem.

– *All right* – powiedział w końcu. – Pójdę tam i rzucę na nią okiem.

– Super – ucieszył się Münster. – Dzięki. Sala numer cztery... ale jeśli się nie mylę, wszystko ma się skończyć do piątku.

– Wpadnę tam jutro – obiecał Van Veeteren. – Orle oko zawsze czujne.

*Howgh*, wielki wodzu, pomyślał Münster. Ale nic nie powiedział.

## 24

– Proszę nam opowiedzieć, jak to było, kiedy wróciła pani do domu w nocy z dwudziestego piątego na dwudziestego szóstego października.

Prokurator Grootner zsunęła okulary na czoło i czekała. Marie-Louise Leverkusn wypła łyk wody z kubka, który stał przed nią na stole. Odchrząknęła i usiadła prosto.

– Przyszłam około drugiej – wyjaśniła. – Na linii do Bossingen i Löhr była awaria prądu. Staliśmy w polu ponad godzinę... byłam z wizytą u koleżanki.

Powiodła wzrokiem po rzędach słuchaczy, jakby szukała czyjejs twarzy. Prokurator nie ponaglała i Marie-Louise Leverkusn po chwili sama zaczęła opowiadać dalej.

– Mąż obudził się, kiedy weszłam w drzwi, i zaczął wyrzucać z siebie jakieś bezceństwa.

– Bezceństwa? – zahaczyła prokurator.

– Bo go obudziłam. Twierdził, że zrobiłam to specjalnie. No i dalej mi dokładał.

– W jaki sposób?

– Mówił, że wygrał pieniądze i zamierza wykorzystać je na to, żeby już nie musieć oglądać mnie tak często.

– Czy wcześniej zdarzało mu się tak zwracać się do pani?

– Tak, zdarzało się. Kiedy był nietrzeźwy.

– A tamtego wieczoru nie był trzeźwy?

– Tak.

– Jak bardzo?

– Był porządnie wstawiony. Nawet język mu się plątał.

Krótką pauza. Prokurator kilkakrotnie pokiwała głową w zadumie.

– Proszę kontynuować, pani Leverkusn.

– No więc wyszłam do kuchni i akurat spojrzałam na nóż, który leżał

w zlewie. Używałam go po południu do krojenia szynki...

– Co pani pomyślała, widząc nóż?

– Nic. Chyba wzięłam go do ręki tylko po to, żeby go umyć i włożyć z powrotem do szuflady.

– Czy zrobiła to pani?

– Słucham?

– Umyła pani nóż?

– Nie.

– Proszę opowiedzieć, co pani zrobiła.

Marie-Louise Leverkuhn odgarnęła kosmyk włosów uparcie opadający jej na czoło, jakby chciała odwlec swoją dalszą opowieść. Prokurator patrzyła na nią z nieporuszoną twarzą.

– Stałam dalej z nożem w ręku. Wtedy mój mąż coś do mnie krzyknął.

– Co?

– Wolę nie mówić. To była grubiańska obelga.

– I co pani zrobiła?

– Nagle poczułam, że dłużej tego nie wytrzymam... wydaje mi się, że nawet do końca nie wiedziałam, co robię. Poszłam do niego i wbiłam mu nóż prosto w brzuch.

– Mąż nie próbował się bronić?

– Nie zdążył.

– A potem?

– Potem dalej go dźgałam. Miałam wrażenie...

– Tak?

– Miałam wrażenie, jakbym to nie ja trzymała ten nóż w garści, tylko ktoś inny. To było dziwne.

Prokurator Grootner znowu zrobiła pauzę i przeszła się kilka kroków w tę i z powrotem. Kiedy wróciła na swoje poprzednie miejsce, mniej więcej metr od stołu, najpierw dwa razy kaszlnęła, zasłaniając sobie usta dłonią, a potem skierowała głowę tak, jakby mówiła do jakiegoś punktu po przekątnej za oskarżoną. Jakby zwracała się właściwie do kogoś innego.

– Trochę trudno mi uwierzyć w pani słowa – rzekła. – Była pani ze swoim mężem przez ponad czterdzieści lat. Dzieliła pani z nim życie, łóżko i troski

przez wiele, wiele lat i nagle traci pani panowanie nad sobą właściwie bez powodu. Przecież sama pani powiedziała, że była pani przyzwyczajona do tego rodzaju... wymiany zdań między wami?

– Nie wiem – powiedziała Marie-Louise Leverkusn i wbiła wzrok w blat stołu. – To było coś wyjątkowego, tylko...

– Nie myślała pani o tym już wcześniej?

– Nie.

– W ogóle nie przyszło to pani nigdy na myśl?

– Nie.

– Na przykład wcześniej tego wieczoru?

– Nie.

– Chce pani powiedzieć, że nie była pani świadoma tego, co pani robi, kiedy mordowała swojego męża?

– Sprzeciw! – zawołał mecenas Bachmann. – Nie udowodniono, że oskarżona zamordowała swojego męża.

– Podtrzymuję – bąknął sędzia, nie otwierając ust. Prokurator wzruszyła ramionami tak energicznie, że aż zakółsał się jej okazały biust.

– Czy wiedziała pani, co pani robi, kiedy wbijała pani nóż w ciało męża?  
– poprawiła się.

– Oczywiście.

Przez rzędy słuchaczy przetoczył się lekki pomruk i sędzia Hart nakazał milczenie, unosząc wzrok o pół centymetra.

– Jaki miała pani cel, zadając te ciosy?

– Chciałam go zabić. Uciszyć.

Prokurator ponownie kilkakrotnie pokiwała głową z zadowoloną miną.

– Co zrobiła pani później?

– Opłukałam nóż pod kranem w kuchni. Potem zawinęłam go w gazetę i wyszłam z mieszkania.

– Dlaczego?

Marie-Louise Leverkusn zawahała się nieco.

– Nie wiem. Pomyślałam, że tak będzie wyglądało, jakby zrobił to ktoś inny.

– Dokąd pani poszła?

– W stronę Entwick Plejn. Wyrzuciłam nóż razem z gazetą do pojemnika na śmieci.

– Gdzie?

– Nie pamiętam. Może przy Entwickstraat, naprawdę nie pamiętam. Byłam trochę oszołomiona.

– No a później?

– Później wróciłam do domu i zadzwoniłam na policję. Udałam, że zastałam męża martwego, ale tak nie było.

– Czy nie pokrwawiła się pani, kiedy zabijała pani męża?

– Tylko trochę. Zmyłam z siebie wszystko, kiedy płukałam nóż.

Prokurator zdawała się nad czymś zastanawiać. Po chwili odwróciła się plecami do oskarżonej. Ponownie przesunęła okulary wysoko nad czoło i powiodła spojrzeniem po członkach ławy przysięgłej.

– Dziękuję, pani Leverkusn – powiedziała głosem o pół oktawy niższym.

– Uważam, że nie można mieć co do tego wątpliwości, iż działała pani przez cały czas z pełną przytomnością umysłu i świadomością celu. Sądzę też, że teraz nie ma już wśród nas nikogo, kto by wątpił w to, że zabiła pani swojego męża z pełną premedytacją. Dziękuję, nie mam więcej pytań.

Adwokat Bachmann podniósł się z miejsca, ale nie zamierzał zgłaszać sprzeciwu. Marie-Louise Leverkusn zwróciła uwagę, że ma sińce pod oczami. Wyglądał na zmęczonego i trochę zrezygnowanego. Przyszło jej do głowy, że być może jego honorarium uzależnione jest od tego, czy wygrywa, czy przegrywa swoje sprawy, lecz nie wiedziała na pewno. Niełatwo było się zorientować w regułach tego dziwnego świata.

Naprawdę niełatwo.

Nie potrafiła też ocenić, czy to normalne, żeby sędzia sam zadawał pytania, ale kiedy Bachmann zakończył swoje dosyć bezsensowne przesłuchanie – przez cały czas w ogóle nie mogła zrozumieć, do czego zmierza i jakich odpowiedzi od niej oczekuje – i kiedy w końcu usiadł z powrotem, wyglądał na jeszcze bardziej zniechęconego. W tym momencie rosły mężczyzna za stołem sędziowskim chrząknął wymownie i oznajmił, że niektóre fakty wymagają jeszcze wyjaśnienia.

Jednak najpierw zwrócił się do niej z pytaniem, czy nie chce krótkiej przerwy, zanim on zacznie.

Powiedziała, że nie chce.

– Wymagają jeszcze wyjaśnienia – powtórzył sędzia Hart i splótł owłosione palce na Biblii leżącej przed nim. Wśród widowni powstało poruszenie, a prokurator Grootner zaczęła nagle notować w notesie co popadło. Bachmann zaś przeciągnął dłońmi po swoich lokach i wyglądał jak nadąsany znak zapytania.

– Co skłoniło panią do zgłoszenia się na policję?

Sędzia przyjrzał się jej ze swej nieco wywyższonej pozycji ze zmarszczką powątpiewania między krzaczastymi brwiami.

– Sumienie – odparła.

– Sumienie?

– Tak.

– A co kazało pani sumieniu obudzić się po ponad tygodniu?

Marie-Louise Leverkusn była na pewno o co najmniej dziesięć lat starsza od sędziego Harta, lecz sytuacja przybrała nagle charakter relacji nauczyciel–uczennica. Nastolatka przyłapana na pokątnym paleniu w toalecie i wezwana do dyrektora albo wychowawcy, żeby dostać reprimendę.

– Nie wiem – odpowiedziała po krótkim namyśle. – Musiałam przez kilka dni się zastanowić i potem uznałam, że kłamanie dalej byłoby niewłaściwe.

– Wobec tego co kazało pani kłamać od samego początku?

– Strach – stwierdziła bez wahania. – Przed konsekwencjami... przed procesem, więzieniem i tak dalej...

– Żałuje pani tego, co pani zrobiła?

Przyjrzała się swoim dłoniom.

– Tak – odpowiedziała. – To oczywiste, że żałuję. To straszna rzecz zabić człowieka. Muszę ponieść karę.

Sędzia Hart odchylił się na swoim krześle.

– Dlaczego nie wyrzuciła pani noża do kanału zamiast do pojemnika na śmieci?

– Nie wpadłam na to.

– Pytano już panią o to?

– Tak.

– Ale dlaczego w ogóle chciała się pani pozbyć tego noża? Nie wystarczyłoby go tylko umyć z krwi i odłożyć na miejsce w kuchni?

Marie-Louise Leverkusn zmarszczyła czoło, nim odpowiedziała.



– Już nie pamiętam, co myślałam – wyjaśniła. – Pewnie uważałam, że jak go znajdą, to od razu uznają, że to ja go używałam. Chyba nie myślałam wtedy trzeźwo.

Sędzia skinął głową, a na jego twarzy pokazał się łagodny wyrzut.

– Z pewnością – stwierdził. – I dziwne jest też to, że natychmiast poinformowała pani policję, że brakuje noża w kuchni.

Nic na to nie powiedziała. Sędzia Hart wyrwał sobie włos z dziurki w nosie, przyjrzał mu się przez chwilę, zanim wyrzucił go przez ramię, po czym kontynuował:

– A czy widziała pani panią Van Eck przed jej zniknięciem?

Mecenas Bachmann wykonał gwałtowny gest, ale chyba zaraz się zorientował, że nie wypada zgłaszać sprzeciwu, jeśli pytania zadaje sam sędzia. Zaszurał krzesłem i nonszalancko odchylił się do tyłu. Spojrzał w sufit. Jakby to wszystko w ogóle go nie obchodziło.

– W któreś popołudnie wypiliśmy z nimi kawę. Z nią i z jej mężem. Zaprosili mnie do siebie.

– To było we wtorek?

Zastanowiła się.

– Tak, to musiał być wtorek.

– A ona zniknęła w środę?

– O ile wiem, tak. Dlaczego pan mnie o to pyta?

Sędzia wykonał nieokreślony gest dłońmi, jakby chciał powiedzieć, że skoro już tutaj są, to mogą przecież porozmawiać i o tym.

– Jeszcze tylko jedno małe pytanie – dodał. – Czy to przypadkiem nie jest tak, że potrzebowała pani czasu, tych siedmiu czy ilu tam dni, na coś specjalnego?

– Nie wiem, co pan ma na myśli – powiedziała Marie-Louise Leverkus.

Sędzia Hart wyjął dużą czerwono-białą chustkę i wyczyścił sobie nos.

– Chyba pani wie – mruknął. – Może pani wrócić na miejsce.

Marie-Louise Leverkus podziękowała i zrobiła, co jej polecono.

Sędzia Hart, pomyślał Van Veeteren, kiedy wyszedł na ulicę i rozłożył parasol. Jakiego świetnego fachowca straciła policja kryminalna w tym starym naginaczu prawa.

Moreno zapukała i weszła do środka. Münster uniósł wzrok znad protokołów.

– Siadaj – powiedział. – Jak się masz?

Od razu opadła na krzesło, nawet nie rozpinając swojej brązowej zamszowej kurtki. Pokręciła głową kilka razy, a on natychmiast się domyślił, że płacz ściska jej gardło.

– Nie najlepiej – odpowiedziała.

Münster wetknął długopis do kieszonki na piersi i odsunął na bok stos tekturowych teczek. Czekał na dalszy ciąg, ale go nie było.

– To znaczy? – odezwał się w końcu. – Może powiesz coś więcej.

Ewa Moreno schowała ręce do kieszeni i nabrała głęboko powietrza. Münster zauważył, że on zrobił wprost odwrotnie – wstrzymał oddech.

– Oznajmiłam mu, że to koniec. Definitywny koniec. Jutro rano jedzie na kurs do Stanów. Zapowiedział, że jeśli nie zmienię zdania, to nie wróci. Tak się sprawy mają.

Zamilkła i ponad jego ramieniem zapatrzyła się w okno. Münster przełknął ślinę i przyznał w głębi ducha, że na miejscu Clausa Badhera prawdopodobnie zachowałby się tak samo.

– Czy to znaczy...? – powiedział.

– Tak – potwierdziła Moreno. – Właśnie to miał na myśli. Dobrze wiem. On zamierza odebrać sobie życie.

Minęło pięć sekund.

– Może wcale nie mówił tego poważnie. Niejeden tak tylko gada.

– Może – odparła Moreno. – I niejeden to robi. Chwilami mam ochotę po prostu zniknąć w jakiejś czarnej dziurze. To wszystko jest takie beznadziejne. Próbowałam go przekonać, żeby chociaż z kimś porozmawiał... poszukał czyjejś pomocy. Żeby w ogóle cokolwiek zrobił, nie wciągając w to mnie, ale wy, mężczyźni, jesteście wszyscy tacy sami.

– Męskie misterium?

– Tak, właśnie, kiedyś już o tym rozmawialiśmy.

Wzruszyła przepaszająco ramionami.

– A ty masz kogoś, z kim mogłabyś porozmawiać? – spytał Münster.

Przez jej twarz przemknął lekki rumieniec.

– Ja tak – potwierdziła. – Znam na przykład pewnego faceta z policji kryminalnej. Nie, już wystarczy. Nie ma jakiejś roboty, w której można by się zatopić?

– Całe morze – rzekł Münster. – Plus stojąca, martwa woda, która nazywa się Leverkusen. Może być?

– Nie zamierzasz odłożyć tej sprawy na półkę?

– Nie mogę – odparł. – Próbowałem, ale śni mi się po nocach.

Moreno wyjęła rękę z kieszeni.

– No dobrze – powiedziała. – To co mam robić?

– Zastanawiałem się nad tą córką, z którą rozmawiałem. Może tam się coś znajdzie?

– Dziwne – stwierdził Rooth.

– Co takiego? – spytał Jung.

– Nie widzisz?

– Nie, jestem ślepy.

Rooth prychnął.

– Spójrz na inne barki. Na tę... i na tamtą!

Wskazał ręką. Jung popatrzył i przytupując, próbował rozgrzać sobie stopy.

– Zimno mi – poskarżył się. – Wyduś wreszcie z siebie to, co chcesz powiedzieć, bo jak nie, to zepchnę cię do kanału.

– To tak mówi dżentelmen? – rzekł Rooth. – Przecież ta barka, inaczej niż pozostałe, nie stoi przy samym nabrzeżu, ty tępaku. Dlaczego on, u diabła, zacumował metr od brzegu?

Jung musiał przyznać, że tak rzeczywiście było. Łajba Bongera – na którą patrzył już siódmy albo ósmy raz – nie przylegała relingiem do wyłożonego kamieniami nabrzeża. Była utrzymywana w miejscu za pomocą czterech lin

grubości przedramienia i pary boi pod postacią surowych klocków drewna otoczonych oponami, przymocowanych między zewnętrzną ścianą barki a nabrzeżem pół metra nad powierzchnią wody. Wąska kładka, którą przed miesiącem sam wypróbował, biegła półtora metra nad otwartą wodą aż do samej stewy dziobowej. Kiedy się nad tym zastanowił, musiał przyznać, że to rzeczywiście dziwne.

– Faktycznie – stwierdził Jung. – I co by to miało znaczyć?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Rooth. – Ale to dość osobliwe rozwiązanie. To co? Idziemy z wizytą do sąsiadki?

– Może powinniśmy byli coś kupić?

– Kupić? Co ci, do jasnej cholery, przychodzi do głowy?

– Ona jest trochę specyficzna. Już ci to mówiłem. Na pewno poszłoby nam łatwiej, gdybyśmy wręczyli jej cokolwiek...

Rooth zatrzęsł się z zimna.

– Piekielny wiatr – powiedział. – No dobra. Tam, za rogiem, jest sklep. Podskocz do niego i kup genevera, a ja tutaj poczekam.

Dziesięć minut później siedzieli już w kambuzie u pani Jümpers. Dokładnie jak przewidział Jung, genever okazał się znakomitym pomysłem, bo był to najzimniejszy dzień w roku, a na dodatek gospodynię właśnie odwiedziła jej przyjaciółka.

Nazywała się Barga – Jung nie potrafił powiedzieć, czy to imię, czy nazwisko – i była krzepką kobietą w nieokreślonym wieku. Mogła być między czterdziestką a siedemdziesiątką. Mimo stosunkowo łagodnej temperatury na pokładzie obie panie ubrane były w kalosze, grube wełniane swetry i długie szale owinięte kilkakrotnie wkoło głowy i szyi. Bez specjalnych ceregieli na stole pojawiły się cztery metalowe kubki, które zostały napełnione dwoma centymetrami genevera i trzema centymetrami kawy. Do tego kostka cukru i na zdrowie.

– Ach! – zakrzyknęła Barga z zadowoleniem. – A jednak Bóg jeszcze nie umarł, choć wielu twierdzi inaczej.

– Ale to już jego ostatnie podrygi – dodała pani Jümpers. – Wspomnisz moje słowa!

– Hm – chrząknął Jung. – *À propos*, czy nie widziały panie przypadkiem w ostatnich dniach pana Bongera? Właściwie to jest główny cel naszej wizyty.

– Bongera? – powtórzyła Barga, rozluźniając sobie nieco szal wokół szyi. – Otóż to, to jest jakaś piekielna zagadka. I człowiek zadaje sobie pytanie, po co w ogóle w tym mieście jest policja i gdzie się ona podziewa.

– Ci panowie są właśnie z policji – zwróciła uwagę gospodyni, uśmiechając się krzywo.

– O cholera – powiedziała Barga. – No tak, ktoś w końcu musi odwalać brudną robotę, jak powiedział ten skurczybyk.

– Racja – odparł Rooth. – Czy pani też знаła pana Bongera?

– Tego pan posterunkowy może być pewien jak niczego pod słońcem – oświadczyła spytana kobieta. – Powiedziałabym nawet, że lepiej niż ktokolwiek inny... – zerknęła na przyjaciółkę – ...może z wyjątkiem tej damy.

– Pani też mieszka na kanale? – spytał Jung.

– W żadnym wypadku – zaprzeczyła Barga. – Wprost przeciwnie... Tam, na górze, pod dachami Kleinstraat, mam swoje gniazdko. Ale od czasu do czasu schodzę tutaj, na niziny.

– Na niziny! Pocałuj mnie wiesz gdzie! – prychnęła pani Jümpers i znowu odkręciła zakrętkę butelki. – Może jeszcze maleńkiego?

– Ale maleńkiego – zgodził się Jung.

– Powiedzmy: średniego – sprostował Rooth.

Pani Jümpers napełniła kubki, na co Barga roześmiała się tak szeroko, że aż błysnęły jej plomby.

– Średniego! – zacytowała z rozbawieniem. – A pan faktycznie jest gliną, kochanieńki?

– Do niczego innego się nie nadawałem – przyznał Rooth. – Ale wracając do tego Bongera... skoro pani tak dobrze go znała, to może domyśla się pani, gdzie on mógł się podziać?

Po kilku sekundach twarz rosłej kobiety przybrała poważny wyraz. Zamrugała opuchniętymi powiekami do pani Jümpers, która z ogromną starannością wlewała alkohol do kawy.

– Albo został zamordowany... – powiedziała w końcu.

Podniosła kubek. Minęły kolejne trzy sekundy.

– Albo? – dopytał Jung.

– Albo dał nogę.

– Głupie gadanie – powiedziała pani Jümpers.

– Dlaczego miałby dać nogę? – spytał Rooth.

– Interesy – rzuciła tajemniczo Barga. – Interesy go zmusiły.

Jung patrzył na nią z niedowierzaniem, a Rooth pokręcił głową.

– Co za interesy?

– Długi – wyjaśniła Barga i trzy razy stuknęła zgiętymi palcami w stół. – Miał potężne długi. Deptali mu po piętach. Rozmawiałam z nim parę dni przed jego zniknięciem. Zapadł się pod ziemię i tyle. Bo w tej branży to nie ma żartów.

– W jakiej branży? – spytał Rooth.

– To może mieć coś wspólnego z jego siostrą – kontynuowała Barga, wpatrując się z podejrzliwością w swój kubek, jakby jej przyjaciółka pomyliła proporcje.

– Nie wiedziałem, że on ma siostrę – powiedział Jung. – Gdzie ona mieszka?

– Nikt tego nie wie – wtrąciła pani Jümpers. – Ona też zniknęła w tajemniczych okolicznościach jakieś... kiedy to mogło być? Chyba z piętnaście lat temu... postradała zmysły i potem trafiła do Limburga, przynajmniej tak słyszałam.

– A co to za branża, o której pani wspomniała? – nie ustępował Rooth.

– Nic nie powiem i o niczym nie wspominałam – oświadczyła Barga, wyciągając rozgniecionego papierosa. – Lepiej trzymać język za zębami, niż kłapać nim za dużo.

– Boże drogi – westchnął Jung.

– Na zdrowie – powiedziała pani Jümpers. – Niech pan nie zwraca na nią uwagi. Ona zawsze tak gada, jak nie wie, o co chodzi. Nie kojarzy już od trzydziestu lat.

– Akurat – fuknęła Barga i zapaliła papierosa. – Bonger ma kłopoty, to musicie wiedzieć. Moim zdaniem to on jest teraz w Hamburgu albo w Ameryce Południowej i za żadne skarby nie będzie chciał tutaj wrócić.

Na kilka sekund zaległa cisza i wszyscy opróżnili swoje kubki. Potem Rooth uznał, że warto zmienić temat.

– Dlaczego jego barka stoi zacumowana w ten sposób? – spytał. – Jakoś

tak dziwnie.

– Ups. – Pani Jümpers się odbiło. – Stoi tak od dwudziestu lat. Zawsze tak stała. Jeszcze za poprzedniego właściciela. To był jakiś muzułmanin czy jakoś tak i chciał mieć ze wszystkich stron barki otwartą wodę, bo to było dobre dla jego karmy czy coś w tym stylu.

Jungowi wydawało się, że kobieta chyba miesza różne wyznania, ale nic nie powiedział. Rzucił okiem na Rootha, który wyglądał na coraz bardziej rozdrażnionego. Zdaje się, że to był zmarnowany czas.

– No cóż, chyba pora na nas – powiedział w końcu Jung i wysączył z kubka ostatnie krople.

– Chyba tak – potwierdził Rooth. – Dziękujemy. To było interesujące.

– No to znikajcie – rzuciła Barga i pomachała papierosem. – Tylko zróbcie porządek z tym wszystkim, żeby przyzwoita kobieta nie bała się wyjść na ulicę.

– Ach, przestań – ofuknęła ją pani Jümpers.

– Po co, u diabła, nas tam zaniósło? – spytał Rooth, kiedy znaleźli się znowu na mroźnym nabrzeżu.

Jung wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Münster chciał, żebyśmy sprawdzili, jak wygląda sytuacja. Zdaje się, że jakoś nie umie odkleić się od tej sprawy.

Rooth pokiwał głową z ponurą miną.

– Na to wygląda – przyznał. – Jeśli o mnie chodzi, to najchętniej bym zapomniał o całej tej wizycie. W końcu są na świecie ładniejsze kobitki.

– Mam nadzieję – powiedział Jung. – Ale co myślisz o tej drugiej, która przyszła. Jak ona się nazywała? Barga?

Rooth aż się wstrząsnął.

– Kompletna wariatka – stwierdził. – Plotła bez ładu i składu. Najpierw to była wielka tajemnica, potem wiedziała wszystko co do joty... a jeśli ten Bonger faktycznie był komuś winien pieniądze, to teraz, po wygranej, miał doskonałą okazję, żeby je oddać.

– Dokładnie to samo sobie pomyślałem – powiedział Jung.

– Wątpię – rzekł Rooth. – Czyli co, mamy to odhaczone?

– Nie mam nic przeciwko temu – zgodził się Jung.

Moreno jechała samochodem do Wernice. Nie liczyła specjalnie na to, że zostanie przyjęta przez Ruth Leverkusuhn życzliwie, a kiedy siedziała za kierownicą i czekała, aż most zwodzony nad Maar podniesie się i znowu się opuści, zastanawiała się także nad sensem swojej wizyty. Czy w ogóle jakiś jest. Ruth Leverkusuhn brzmiała przez telefon bardzo odpychająco. Nie mogła zrozumieć, dlaczego policja musi wtykać nos w ich rodzinną tragedię jeszcze głębiej niż do tej pory.

Jej ojciec został zamordowany we własnym łóżku.

Jej matka przyznała się, że ona to zrobiła.

To nie wystarczy?

Czy naprawdę jest konieczne, żeby jeszcze bardziej dręczyć ich wszystkich? Czy policja nie ma ważniejszych rzeczy do roboty?

Swoją drogą była nawet w stanie zrozumieć nastawienie Ruth Leverkusuhn.

Specjalnie udane to spotkanie nie było.

Ruth Leverkusuhn przyjęła ją w rozciągniętym bordowym dresie ze złotym, częściowo spranym napisem „PUP FOR THE CUP” w poprzek piersi. Wokół czoła miała owinięty mokry ręcznik, z którego kapały krople wody i pozostawiały ślady na ramionach i piersi, a na stopach wełniane skarpety zwinięte w obwarzanki. W sumie nie był to estetyczny widok.

– Migrena – wyjaśniła. – Właśnie mnie złapała. Dlatego proszę nie przeciągać.

– Rozumiem, że to musiało być dla pani traumatyczne przeżycie – zaczęła Moreno. – Ale jest kilka drobiazgów, co do których chcielibyśmy uzyskać większą jasność.

– Tak? Co to za drobiazgi? – spytała Ruth Leverkusuhn.

Weszła pierwsza do pokoju stołowego z niskimi kanapami, orientalnymi wachlarzami i mnóstwem kolorowych aksamitnych poduszek. Mieszkanie leżało na siódmym piętrze i duże, panoramiczne okno zapewniało wspaniały widok na płaski krajobraz usiany przeredzonymi z powodu braku liści zagajnikami, strzelającymi w niebo wieżami kościołów i kanałami przecinającymi się pod kątem prostym. Chmury na niebie były ciężkie od deszczu, a od strony morza rozsnuwał się już zmierzch niczym nieustępliwy kir. Moreno zatrzymała się na chwilę i przyglądała się temu pejzażowi,



dopiero potem usiadła, zapadając się w miękkich poduszkach.

– Ładnie pani mieszka – powiedziała. – To chyba wielka przyjemność tak tu sobie siedzieć i patrzeć, jak stopniowo zapada ciemność.

Ale Ruth Leverkusn nie była tego dnia szczególnie zainteresowana pięknem krajobrazu. Bąknęła coś pod nosem i usiadła naprzeciwko Moreno po drugiej stronie niskiego ratanowego stolika.

– Co pani chce wiedzieć? – spytała po kilku sekundach milczenia.

Moreno zaczerpnęła powietrza.

– Czy zdziwiło to panią? – spytała.

– Co takiego?

– Kiedy pani usłyszała, że się przyznała... czy to był dla pani kolejny szok, czy też pani przeczuwała, że to mogła zrobić pani matka?

Ruth Leverkusn poprawiła sobie ręcznik na głowie.

– Nie rozumiem, czemu ma to służyć – rzekła. – Fakt jest taki, że moja matka zabiła mojego ojca. To nie wystarczy? Po co wam szczegóły? Dlaczego chcecie od nowa wciągać nas w to bagno? Nie potraficie sobie wyobrazić, jak my się możemy czuć?

Jej głos nie brzmiał pewnie. Moreno przypuszczała, że to może być skutek środków przeciw migrenie, które jej rozmówczyni pewnie zażyła, i ponownie zaczęła się zastanawiać, po co ona tu właściwie siedzi. Po dłuższej chwili uznała, że wykorzystywanie własnej profesji do autoterapii niespecjalnie jej odpowiada.

– Czyli nie była pani zaskoczona, kiedy pani matka złożyła zeznanie? – spytała mimo wszystko.

Ruth Leverkusn nie odpowiedziała.

– No i mamy jeszcze dwie inne zagadki – kontynuowała Moreno. – Pan Bonger i pani Van Eck. Znała ich pani?

Kobieta pokręciła głową.

– Ale chyba ich pani kiedyś w ogóle spotkała?

– Van Ecków na pewno widziałam kilka razy... i ją, i jego. A Bonger – nie wiem kto to.

– Jeden z przyjaciół pani ojca – wyjaśniła Moreno.

– To on miał przyjaciół? – wymknęło się jej mimo woli. Moreno zauważyła, że Ruth Leverkusn żałowała, iż nie ugryzła się w język.

– Co chciała pani przez to powiedzieć?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nic.

– Czy pani ojciec był samotnym człowiekiem?

Brak odpowiedzi.

– Nie orientuje się pani zbyt, jak żył w ostatnich latach? Jakich miał przyjaciół i tak dalej.

– Nie.

– Nie wie pani, czy pani rodzice utrzymywali od czasu do czasu kontakty z państwem Van Eck? Oboje albo jedno z nich?

– Nie mam pojęcia.

– Jak często ich pani odwiedzała?

– W gruncie rzeczy wcale. Przecież to już wiecie. Nie mieliśmy dobrych relacji.

– Nie lubiła pani swojego ojca?

Tego było już dla Ruth Laverkuhn za wiele.

– Dostyc tego – stwierdziła. – Nie macie prawa przyłazić tu i grzebać w moim życiu. Myślicie, że nie dość się już wycierpieliśmy?

– Oczywiście rozumiem panią – powiedziała Moreno. – Ale niezależnie od tego, jak może to być dla pani przykre, my usiłujemy tylko dotrzeć do prawdy... to jest nasza praca.

Zabrzmiało to trochę pompatycznie, nie dało się zaprzeczyć – dotrzeć do prawdy! – ona sama była zaskoczona, że właśnie takie sformułowanie przeszło jej przez usta. Minęło kilka chwil, zanim Ruth Leverkuhn jej odpowiedziała.

– Do prawdy? – wycedziła powoli i w zamyśleniu, odwracając jednocześnie głowę i skupiając się na niebie i krajobrazie. – Pani chyba nie wie, co mówi. Po co bez przerwy grzebać i grzebać, i wydobywać na powierzchnię to, co jest i tak brzydkie i wstrętne? Gdyby prawda była piękną perłą, to wtedy tak, bardzo proszę, wtedy bym rozumiała, dlaczego się tak za nią ugania, ale w tej sytuacji... czy nie lepiej zostawić ją w ukryciu, skoro już komuś się udało tak dobrze ją schować?

To były znaczące słowa, zwłaszcza w ustach tej mrukliwej kobiety. Moreno

zdawała sobie z tego sprawę i w drodze powrotnej zastanawiała się, co właściwie mogły znaczyć.

Ohydne oblicze prawdy?

Czy była to tylko ogólna refleksja nad złymi rodzinnymi relacjami i poczuciem beznadziejności po ostatecznej tragedii? Czy jednak coś więcej?

Coś bardziej namacalnego i konkretnego?

Kiedy o późnym zmierzchu wjechała do Maardam przez most Czwartego Listopada i przez Zwille, wciąż jeszcze nie znalazła odpowiedzi na te pytania.

Jedynie irytująco pewne przeczucie.

Za tą historią kryje się coś więcej niż fakty, które dotychczas ujrzaly światło dzienne. Dużo więcej. A tym samym istnieją powody, by próbować brnąć dalej po omacku w tej ciemności.

Nawet jeśli perły miały okazać się czarne i popękane.

Proces przeciwko Marie-Louise Leverkus była kontynuowana przed rzedniejącą wciąż publicznością przez trzy ciągnące się w nieskończoność popołudnia. Jediną osobą, która zdawała się w pewnym stopniu wątpić w jej winę, był sędzia Hart, który od czasu do czasu pozwalał sobie wtrącać własne pytania, czym – jak można było odnieść wrażenie – nie przejmowali się ani prokurator, ani obrońca.

A już najmniej sama oskarżona.

Poza tym wiele wskazywało na to, że linia prawdy zostanie pociągnięta przez szarą strefę rozciągającą się między morderstwem a nieumyślnym spowodowaniem śmierci, a wyznaczać ją będą trudne do sprecyzowania punkty, jak: *uzasadnione wątpliwości, nagłe pomieszenie zmysłów, stopień kontroli własnych zachowań, czas na refleksję w istniejących okolicznościach...* i wiele innych.

Ona uważała te wszystkie pytania za zupełnie bezsensowne. I zamiast przysłuchiwać się, jak je międlono, często siedziała i przyglądała się członkom ławy przysięgłych. Tym nieskazitelnym mężczyznom i kobietom, którzy trzymali swój los we własnych rękach – albo przynajmniej sobie wyobrażali, że tak jest. A zwłaszcza jedna z dwóch kobiet z niewiadomego powodu szczególnie przykuwała jej uwagę. Ciemnowłosa, chyba tuż po sześćdziesiątce, niewiele młodsza od niej samej. Szczupła i żylasta, ale o pewnej godności, która przejawiała się przede wszystkim w sposobie trzymania głowy. Wysoko i dumnie na smukłej szyi. Prawie nigdy nie zwracała wzroku ku osobie, która akurat mówiła – najczęściej była to prokurator albo ociężały Bachmann, tylko zdawała się skupiona na czymś innym. Czymś wewnętrznym.

Albo wyższym. Takiej kobiecie, pomyślała Marie-Louise Leverkus, takiej kobiecie mogłabym się zwierzyć.

Oskarżenie powołało w sumie trzech świadków, obrona – jednego. Jakie dokładnie funkcje pełnili „podręczni” pani prokurator, nigdy do końca się nie dowiedziała. Jeśli dobrze rozumiała, chodziło o lekarza, obducenta i jakiegoś funkcjonariusza policji. Ich zeznania służyły jedynie potwierdzeniu tego, co już rzekomo wiadano, i może właściwie takie było ich zadanie. Sędzia Hart też zadał jeszcze jedno czy dwa pytania, które mogłyby oznaczać zwrócenie się w innym kierunku, jednak nikt nie wydawał się tym zainteresowany. Tak więc nic już właściwie nie zostało do zrobienia, a ponieważ ogrzewanie w nieco zimnej sali pozostawiało wiele do życzenia, raczej wszyscy zdawali się zgodni co do tego, że najlepiej będzie już bezboleśnie zamknąć postępowanie i mieć je jak najszybciej za sobą. Mimo to świadkowie oskarżenia zajęli jeszcze co najmniej dwie godziny.

Znacznie mniej (chyba tylko kwadrans, Marie-Louise Leverkusn nigdy nie miała wyczucia czasu) zajęła Emmeline von Post, świadek obrony. Swoją drogą odegrała żenujące przedstawienie. Oczywiście trudno było się spodziewać czegoś innego. Gdyby Bachmann wcześniej uprzedził, że zamierza powołać na świadka jej przyjaciółkę, zrobiłaby wszystko, żeby go od tego odwieść. Na pewno.

Emmeline von Post zajęła miejsce świadka, powiedziała, jak się nazywa, i złożyła przysięgę, po czym niemal od razu wybuchła płaczem. Sędzia Hart zarządził krótką przerwę, podczas której jakaś pracownica sądu pospieszyła z karafką wody, papierowymi chusteczkami i porcją zwykłego ludzkiego współczucia.

Potem przez kilka minut Bachmannowi udało się kontynuować przesłuchanie, dopóki wszystko nie zaczęło się od nowa. Kolejna pauza, szloch i papierowe chusteczki, a kiedy biedna kobieta w końcu jako tako się pozbierała, mecenas, nie wątpiąc w odpowiedź, bez ceregieli wystrzelił w nią swoim koronnym pytaniem:

– Pani Post, zna pani oskarżoną niemal przez całe swoje życie. Czy uważa pani za prawdopodobne – przy pani znajomości jej osoby – że mogłaby z premedytacją zamordować swojego męża w sposób, który próbuje nam zasugerować oskarżenie?

Emmeline von Post (która oczywiście nie miała pojęcia, co oskarżenie próbowało lub nie próbowało zasugerować, ponieważ nie miała prawa być obecna na sali rozpraw, dopóki nie przyszła na nią kolej) zachlipała kilka razy. Potem odpowiedziała dosyć zdecydowanym głosem:

– Ona nigdy nie skrzywdziłaby nawet muchy, przysięgam.

Po tym Bachmann nie miał już żadnych pytań.

Podobnie prokurator Grootner.

Ani sędzia Hart.

W piątek wygłoszono mowy końcowe. Był to spektakl do złudzenia podobny do mów otwierających z wtorku. Następnie sędzia Hart ogłosił, że postępowanie uważa za zamknięte, a wyrok zostanie ogłoszony w najbliższy czwartek. Do tego czasu Marie-Louise Leverkus będzie przebywać w tym samym miejscu, gdzie do tej pory, czyli od trzydziestu dziewięciu dni od jej aresztowania – w celi numer 12 aresztu śledczego dla kobiet w Maardam.

Kiedy siedziała już w samochodzie w drodze powrotnej do tejże celi, czuła przede wszystkim ulgę. O ile dobrze pojmowała, w czasie ostatnich dni nic nie poszło na opak (jeśli nie brać pod uwagę tego blamażu z Emmeline von Post, ale to nie miało związku z główną sprawą), czyli teraz wystarczyło już tylko kilka dni poczekać.

Już żadnych rozstrzygnięć. Żadnych pytań. Żadnych kłamstw.

Niemal przez cały weekend padało. Gdzieś pod oknem musiał być dach z blachy falistej, bo zmienny takt deszczu dało się słyszeć tak dokładnie, jakby chodziło o tony wydobywane na jakimś instrumencie. Lubiała to; leżeć wyciągnięta na łóżku, przykryta zielonym kocem po samą brodę, przy oknie uchylonym na dziesięć centymetrów... Tak, było w tym coś głęboko kojącego, coś, co wreszcie przepełniło ją spokojem.

Wróciła do domu po długiej podróży.

Osobliwe uczucie.

Ksiądz odwiedzał ją tak jak do tej pory. Przyszedł zarówno w sobotę, jak i w niedzielę. Siedział w swoim kącie i przysypiał, jakby czuwał przy łożu śmierci. To też lubiała.

Również Bachmann się odgrażał, że się u niej pokaże, aby omówić sytuację, ale ona doskonale wiedziała, że to czysto zawodowa formułka. W ostatnim dniu procesu wyglądał na raczej przegranego, a ona bynajmniej nie zachęcała go do złożenia wizyty. W rezultacie nie przyszedł.

Ruth zadzwoniła w piątek wieczorem, a Mauritz dosyć wcześnie w sobotę, ale dopiero w niedzielę po południu potężna powłoka cielesna córki spoczęła na krześle dla odwiedzających.

– Mamo – odezwała się po milczeniu na wstępie.

– Tak, czego chcesz? – odparła Marie-Louise Leverkuhn.

Córka nie potrafiła na to odpowiedzieć i ich rozmowa na tym się prawie wyczerpała. Po dwudziestu minutach Ruth Leverkuhn westchnęła ciężko i zostawiła matkę samą.

Kiedy zatrzęsnęły się za nią drzwi, Marie-Louise Leverkuhn poczuła się tak, jakby niemal odniosła zwycięstwo. Oczywiście to było bardzo dziwne, ale tak właśnie czuła i nic się nie dało poradzić.

Stało się, jak się stało, i jest, jak jest. Zaledwie w kilka minut po wyjściu Ruth zasnęła. I miała sen.

Siedziała w pociągu. Pędził przez płaski i jednostajny krajobraz z prędkością tak dużą, że wręcz nie dało się rozpoznać obrazów, które migają za brudnymi i porysowanymi szybami.

Mimo to wiedziała, że te obrazy za oknem to jest życie. Samo życie. Które mijало w tym szaleńczym tempie. Siedziała plecami do kierunku jazdy i już wkrótce się okazało, że robi się coraz młodsza, im dalej jechali. Podobnie działo się z jej współpasażerami. Młoda kobieta po przekątnej zmieniła się nagle w małą dziewczynkę, a starszy pan w rogu z trzęsącymi się dłońmi i zamglonym spojrzeniem stał się eleganckim młodzieńcem o niebieskich oczach.

Jazda wstecz przez życie. Aż do niemowlęctwa. I kiedy ten i ów pasażer zrobił się tak mały, że wyglądał jak noworodek, wówczas pociąg zatrzymał się na stacji. Do wagonu weszło kilka postaci w długich, białych kitlach oraz ze stetoskopami wokół szyi i podniosło delikatne, maleńkie zawiniątka z brudnych siedzeń. Białe kitle pozwoliły im trochę pokrzyczeć, po czym wzięły niebieskie bilety, które każde dziecko trzymało w swoich małych piąstkach, i opuściły pociąg z zawiniątkami na rękach.

Kiedy przyszła kolej na nią – ją podniósł do góry wyjątkowo wielki i otyły doktor ze skrzydłami na plecach – nie miała biletu.

– Nie masz biletu? – spytał szorstko anioł, bo teraz rozpoznała, że to był anioł. – To nie możesz się urodzić.

– Dzięki, wielkie dzięki. – Uśmiechnęła się do jego twarzy w czerwone plamy. – Skoro nie mogę się urodzić, to może w ogóle nie muszę żyć?

– Ho, ho – powiedział anioł tajemniczo i położył ją z powrotem na siedzeniu.

I tak oto jechała dalej ku nieskończoności pociągiem, który mknął przez noc nienarodzonych.

I jakże była szczęśliwa. Gdy się obudziła, poczuła ciepłe mrowienie w brzuchu.

Nie trzeba żyć.

Mauritz też przyjechał w niedzielę. Około wpół do siódmej wieczorem, akurat gdy wartowniczką zabierała od niej naczynia po obiedzie.

Prowadził samochód przez cztery godziny i sprawiał wrażenie zestresowanego i poirytowanego. Ale może kryła się za tym tylko jego zwykła niepewność. Zadzwoiła po kawę, bo powiedział, że chętnie by się napił, ale kiedy już kubek z kawą pojawił się na chwiejnym plastikowym stole, on nawet go nie tknął.

Też miał problem z wydobyciem z siebie czegokolwiek, tak samo jak Ruth. Jedyne tematy, jakie poruszyli, to dzień powszedni w areszcie i sytuacja na rynku stroików na świece przed świętami Bożego Narodzenia. Oczywiście największy popyt był na zielone i czerwone dekoracje. Miała nadzieję, że syn niedługo sobie pójdzie, i po półgodzinie mu to powiedziała.

Być może spodziewał się, że nie będzie mu łatwo, i dlatego napisał list. Wstał i wyjął go z wewnętrznej kieszeni brzydkiej bluzy z logo firmy. Położył go bez słowa, a potem sam nacisnął guzik dzwonka i został wypuszczony.

List zajmował tylko półtorej strony. Przeczytała go trzy razy. Następnie podarła kartkę na małe kawałki i spuściła w sedesie.

Trwało to i trwało. Strzępy listu uparcie wypływały z powrotem na powierzchnię, a kiedy tak stała nad sedesem i bez przerwy przyciskała spłuczkę, podjęła decyzję, co zrobi dalej.

Wezwała znowu strażniczkę, poprosiła o papier i długopis, a chwilę potem siedziała już przy stole i szukała odpowiednich słów.

Jedyne, co ją zaskoczyło, to fakt, że ta decyzja dała się tak łatwo podjąć. Pół godziny później piła herbatę i z apetytem jadła kanapki, jakby życie



wciąż jeszcze ją obchodziło.

Moreno znalazła kontakt do Krystyny Gravenstein przez sekretariat Liceum Doggers, gdzie kobieta pracowała do przejścia na emeryturę przed trzema laty.

Przyjęła ją w swoim małym dwupokojowym mieszkaniu przy Palitzerstraat, na samej górze, pod dachem, z widokiem na rzekę i Megse Bois. Czy w dzisiejszych czasach wszyscy mają mieszkania z takimi widokami, zadała sobie w duchu pytanie Moreno, kiedy przypomniało się jej panoramiczne okno u Ruth Leverkus. Chyba na to wygląda, przynajmniej jeśli chodzi o płęć piękną. Pani Gravenstein była szczupłą, niską kobietą z szopą kredowobiałych włosów i sowimi oczami za grubymi szklami okularów. Ubraną w tweedowy kostium i zarzucony na ramiona szal robiony na drutach. Z fotela o metalowym stelażu zdjęła stos książek, robiąc miejsce gościowi, a sama usiadła na kręconym krześle przed biurkiem i zaczęła się na nim lekko obracać. Jeden z dwóch pokoi wyraźnie pełnił funkcję sypialni, drugi zaś – pokoju do pracy. Biurko, zza którego wyłaniał się czubek drzewa i niebo, było zavalone papierami, książkami i słownikami, stał też na nim komputer. Regały sięgały od podłogi po sufit i ugiwały się od książek.

– Zaczęłam tłumaczyć niedługo po odejściu ze szkoły – wyjaśniła Krystyna Gravenstein, próbując się uśmiechnąć. – Przecież nie można siedzieć beczynnie. Z włoskiego i francuskiego. Poza tym w ten sposób dorabiam sobie trochę do emerytury.

Moreno skinęła głową z uznaniem.

– Tłumaczy pani literaturę piękną? – spytała.

– Tak – odparła Krystyna Gravenstein. – Najczęściej poezję, ale zdarzają się też i powieści.

– Czy pani uczyła tych języków w Doggers?

– Przez trzydzieści siedem lat – odpowiedziała Krystyna Gravenstein. – Trzydzieści siedem...

Wzruszyła ramionami, jakby przepraszała. Moreno zrozumiała, że jej rozmówczyni raczej nie tęskni za powrotem na katedrę. Zrozumiała też, że pora przejść do rzeczy.

– Była pani koleżanką pani Else Van Eck, prawda? – zaczęła zatem. – Właśnie dlatego chciałam z panią porozmawiać. Czy wie pani, co się stało?

– Podobno przepadła – powiedziała Krystyna Gravenstein, poprawiając sobie okulary na nosie.

– No właśnie – potwierdziła Moreno. – Niedługo minie siedem tygodni, a pod nią jakby rozstąpiła się ziemia. Można podejrzewać, że nie żyje. Czy po pracy utrzymywałyście panie ze sobą kontakt?

Gospodyni pokręciła głową i zrobiła zasepioną minę.

– Nie – rzekła. – W ogóle. Ale nie tylko ja tego nie robiłam. Przepraszam, że to mówię, ale tak po prostu było. Nigdy nie spotykałyśmy się w czasie wolnym... co najwyżej jeśli w Instytucie Francuskim było coś interesującego.

– Jak długo pracowałyście razem?

Krystyna Gravenstein liczyła w myślach.

– Prawie dwadzieścia lat – stwierdziła. – Else Van Eck jest... dziwną kobietą. Albo była.

– W jakim sensie? – spytała Moreno.

Pani Gravenstein poprawiła sobie szal i zastanowiła się przez chwilę.

– Nietowarzyska – powiedziała w końcu. – Nie czuła potrzeby kontaktu czy choćby rozmowy z nami, innymi nauczycielami. Nie była niemila, ale inni niewiele ją obchodzili. Widocznie wystarczała sama sobie.

– A jaką była nauczycielką?

Krystyna Gravenstein wykrzywiła usta.

– Znakomitą – rzekła. – Może to brzmi dziwnie, ale to prawda. Kiedy uczniowie zrozumieli, że ona ma taki, a nie inny sposób bycia, polubili ją. Młodzi ludzie są chyba bardziej otwarci i łatwiej akceptują takie pokręcone osobowości. Była zakochana we francuskim. Nigdy nie uczyła żadnego innego przedmiotu, poza tym była... chodzącą encyklopedią. Świetnie знаła też gramatykę. Gdyby nie miała takich kompetencji, nie mogłaby oczywiście zostać w tej szkole. Przy swoim charakterze.

– A dlaczego była właśnie taka? – spytała Moreno.

– Nie mam pojęcia. Nigdy jej do końca nie poznałam i nic nie wiem o jej życiu prywatnym.

– A jeśli chodzi o zawód? – drążyła dalej Moreno. – Nie wie pani, dlaczego została nauczycielką francuskiego?

Krystyna Gravenstein zawahała się.

– Słyszałam o pewnej historii – powiedziała w końcu.

– O jakiej historii?

Pani Gravenstein zagryzła wargi i utkwiała wzrok w swoich dłoniach. Sprawiała wrażenie, jakby naradzała się sama ze sobą.

– To tylko plotka – odezwała się po chwili. – Podobne krążą o prawie każdym nauczycielu. Czasami mają pokrycie w rzeczywistości, a czasami nie. Nie należy im zbytnio wierzyć.

– A czego dotyczyła ta plotka na temat pani Van Eck? – spytała Moreno.

– Historii miłosnej.

Moreno pokiwała zachęcająco głową.

– Podobno zakochała się nieszczęśliwie w młodych latach – sprecyzowała Krystyna Gravenstein. – We Francuzie. Byli zaręczeni i mieli się pobrać, aż w końcu on zostawił ją dla innej.

Moreno siedziała, nic nie mówiąc.

– Niezbyt oryginalna historia – stwierdziła po chwili.

– Ale to nie wszystko – dodała pani Gravenstein. – Rzekomo właśnie ze względu na niego zaczęła się uczyć francuskiego. Miał na imię Albert i po pewnym czasie doszedł do wniosku, że popełnił błąd. Próbował ją odzyskać, jednak Else nie chciała mu wybaczyć. Kiedy dotarło do niego, że sytuacja jest beznadziejna, rzucił się pod pociąg i zginął. Gare du Nord...

– Ach tak – wtrąciła Moreno. – Kiedy to było?

Krystyna Gravenstein rozłożyła dłonie.

– Nie wiem dokładnie. Za jej młodych lat oczywiście. Prawdopodobnie zaraz po wojnie.

Moreno westchnęła. Nagle Krystyna Gravenstein się roześmiała.

– Każdy musi mieć jakąś historię – powiedziała. – A tym, którzy nie mają żadnej, trzeba jakąś wymyślić.

Mówiąc to, spojrzała na rzędy książek. Moreno zrozumiała, że to musiał być cytat z czegoś. I że te słowa miały określone znaczenie także dla życia

pani Gravenstein.

A jaka jest moja historia? – zadała sobie pytanie, jadąc potem windą na dół. Claus? Praca w policji? Może powinnam jakąś stworzyć?

Przeszył ją dreszcz na myśl o tym, że do Bożego Narodzenia zostało tylko siedem dni, a ona wciąż nie ma pojęcia, jak spędzić święta.

Może najlepiej wziąć służbę na cały ten czas? Jeśli tym sposobem miałyby przy okazji pomóc któremuś z kolegów, to właściwie nie ma powodu, żeby tego nie zrobić.

Potem zadumała się przez chwilę nad tym Albertem.

Nad Francuzem, który odebrał sobie życie pięćdziesiąt albo więcej lat temu? Z powodu Else Van Eck. Czy to może być jakiś trop?

I czy może mieć cokolwiek wspólnego ze sprawą, w której Münster uparł się dalej dążyć?

Nie, na pewno nie, rozstrzygnęła. Chyba trudno wyobrazić sobie coś bardziej nieprawdopodobnego. Mimo to postanowiła o tym powiedzieć. I o tej plotce. Przynajmniej posiedzi sobie z Münsterem i miło pogada... chyba może sobie pozwolić przynajmniej na taką drobną przyjemność?

Swoją drogą ta Krystyna Gravenstein znalazła sobie całkiem niegłupie zajęcie na stare lata, pomyślała Ewa Moreno. Siedzi wśród morza książek wysoko ponad miastem i tylko czyta, i pisze... to naprawdę coś.

Ale żeby dojść do takiego punktu, trzeba najpierw przebrnąć przez całe życie.

Westchnęła i ruszyła w stronę komendy.

Münster zerknął na zegarek. Potem policzył prezenty gwiazdkowe na siedzeniu.

Dwanaście w ciągu półtorej godziny. Nieźle. Dzięki temu miał jeszcze dość czasu na wizytę na Pampas, a jak zdążył się zorientować, wdowa de Grooit nie jest zwolenniczką szybkiego odfajkowania tego, co ma do zrobienia. Spokój i namysł, każda rzecz ma swój czas – mniej więcej takie robiła wrażenie przez telefon.

Zaparkował na ulicy przed niskim domem z brązowej klinkierowej cegły. Posiedział jeszcze chwilę w samochodzie, żeby się skupić i zastanowić,

dlaczego właściwie nie potrafi się oderwać od tej historii.

Komendant Hiller w swej niezmiernie mądrości uznał, że przecież, do jasnej cholery, nie ma jakichkolwiek racjonalnych powodów, aby tracić jeszcze więcej energii i środków na tę sprawę. Żona przyznała się, że to ona zrobiła, i w czwartek usłyszy wyrok albo za morderstwo, albo za nieumyślne spowodowanie śmierci. Wsio ryba za co. Niejaki Felix Bonger przepadł i przepadła niejaka Else Van Eck.

No i co z tego? – stwierdził Hiller, a Münster wiedział, że on właściwie ma rację. Statystycznie w ciągu roku przepada nie wiadomo gdzie piętnaście do osiemnastu osób w okręgu, a że zniknięcie dwojga z nich zbiegło się mniej więcej w czasie z historią Leverkusna, to oczywiście nic innego jak tylko zwykły przypadek.

Oczywiście wciąż prowadzono poszukiwania zaginionej dwójki – tak samo jak w przypadku wszystkich innych, którzy rozpływali się w powietrzu – ale to nie jest zajęcie odpowiednie dla wysoko opłacanych (przeplacanych!) funkcjonariuszy policji kryminalnej!

Koniec kropka.

Co za absurd, że do tego wszystkiego muszę jeszcze pracować po kryjomu, pomyślał Münster i wysiadł z samochodu.

Ale jak się chce być bezkompromisowym tropicielem prawdy, to tak już jest.

– Naprawdę nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy przeczytałam o tym w gazecie – zaczęła pani de Grooit. – Proszę poczęstować się ciasteczkiem! Przecież oni tu kiedyś mieszkali i prawie codziennie mówiliśmy sobie dzień dobry.

Wskazała przez przesadnie ozdobione okno na dom po drugiej stronie żywopłotu.

– Tam mieszkali – powtórzyła. – Od pięćdziesiątego drugiego do siedemdziesiątego szóstego. My wprowadziliśmy się tutaj zaraz po wybudowaniu osiedla, czyli w czterdziestym ósmym, a kiedy umarł mój mąż, wiele razy myślałam o tym, żeby się wyprowadzić, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Bardzo proszę, może pan sobie moczyć ciastko w kawie, jeśli ma pan ochotę. Czy to nie straszne? Tu, na Pampas, mieszkają normalni ludzie. Uczciwi robotnicy, a nie żadni mordercy... mówię za dużo, musi mi pan

przerywać. Trzeba mnie od czasu do czasu wyłączać, żebym przestała trajkotać, tak zawsze mawiał mój mąż.

– Czyli znała pani rodzinę Leverkusnów? – spytał Münster.

– No cóż, tak... właściwie to nie – stwierdziła niezdecydowanie pani de Grooit i trochę nerwowo zamrużyła powiekami. – Jakoś zawsze mieliśmy więcej wspólnego z Van Klusterami i Bolmekami po drugiej stronie, a z Leverkusnami nie za bardzo... nie... ale to wcale nie...

Zamilkła. Wyglądała na zadumaną.

– Tak? – dopytał Münster.

– ...to bynajmniej nie znaczy, że oni nie byli dobrymi sąsiadami i porządnymi ludźmi, tylko że raczej trzymali się z daleka. To byli tacy ludzie, a zwłaszcza on.

– Waldemar Leverkusn?

– Tak, pan Leverkusn. Zamknięty, trudno było z nim porozmawiać, ale porządny pracownik, każdy by tak o nim powiedział... to straszne. Uważa pan, że to faktycznie ona zabiła go w taki przerażający sposób? Już sama nie wiem, co o tym myśleć... Smakowała panu kawa?

– Tak, dziękuję – odparł Münster.

Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że pani de Grooit zaraz wybuchnie płaczem. Münster kaszlnął, aby przerwać ciszę, a jednocześnie szukał w głowie jakiegoś odpowiedniego zdania, jednak nie przychodziły mu do głowy żadne wiarygodne słowa pocieszenia.

– Czy panią Leverkusn znała pani trochę lepiej niż jej męża? – spytał na próbę. – Jak to bywa między kobietami...

Ale pani de Grooit tylko pokręciła głową.

– Nie – powiedziała. – Ona nie należała do tych, co to się zwierają, a jeśli człowiek chciał pożyczyć cukru czy mąki, to wolał iść do innych sąsiadów... Van Klusterów czy Bolmeków. Po drugiej stronie naprzeciwko... czy to ona naprawdę go zabiła?

– Na to wygląda – odparł Münster. – A co z dziećmi? Jakie były?

Pani de Grooit brzęknęła filiżanką do kawy i nie odpowiedziała od razu.

– Też jakieś zamknięte – oznajmiła po chwili. – Nie miały żadnych prawdziwych kolegów, żadne z nich. Mauritz był rówieśnikiem naszego Bertranda. Syn urodził się nam dosyć późno, ale oni dwaj nigdy nie zostali

przyjaciółmi. Próbowaliśmy z dziesięć czy dwadzieścia razy, jednak Mauritz najbardziej lubił przesiadywać w domu i bawić się swoją elektryczną kolejką. I niech pan nie myśli, że dopuszczał do niej Bertranda – skąd! Coś w tym chłopcu było pokręconego, takiego niesympatycznego, chyba nie miał też bliskich kolegów i w szkole. Z dziewczynkami było tak samo. Nie, nie, to nie był na pewno otwarty dom.

– Czy widywała pani Leverkusnów w ostatnich latach? – spytał Münster.  
– To znaczy po tym, jak się stąd wynieśli?

– W ogóle – odparła pani de Grooit. – Wyprowadzili się i wszelki ślad po nich zaginął. Można powiedzieć, że wyprowadzili się z dnia na dzień. Wiadomo – kiedy dzieci wyfruwają z gniazda, własny dom nie jest już tak potrzebny. A ogródkiem oni i tak nigdy się specjalnie nie zajmowali. Nawet nie zostawili swojego adresu... już później dowiedzieliśmy się, że z Irene jest coś nie w porządku.

– Naprawdę? – Münster udał zdziwienie.

– Nerwy – wyjaśniła pani de Grooit. – Nie dawała sobie rady sama ze sobą. Jedni są odporniejsi, inni mniej. Trafiła do domu opieki i nie wiem, czy kiedykolwiek z niego wyszła. Wszyscy oni byli wyjątkowo zamknięci, siostry też. Żadnej z nich nie widziałam ani razu z chłopakiem. Z nikim się nie zadawali. Tak, to nie była szczęśliwa rodzina. Tak chyba można powiedzieć. Chociaż z drugiej strony człowiek w gruncie rzeczy mało wie.

Zamilkła. Westchnąwszy, zaczęła mieszać swoją kawę. Münster zastanawiał się, czego on właściwie się spodziewał po tej rozmowie, i doszedł do wniosku, że po prostu liczył na szczęście. Kolejny raz.

Może coś z tego wyniknie, a może nie.

Swoją drogą to niezłe motto określające metodę pracy policji kryminalnej, pomyślał. Daremne szukanie na chybił trafił igły w stogu siana. Czy to rzeczywiście tak nie wygląda?

Albo tak jak opisywał Reinhart: gliniarz to ślepy żółw, który szuka śnieżki na pustyni.

Istniało jeszcze dużo więcej innych obrazów, które z powodzeniem można by do nich odnieść.

– Przypominam sobie pewne zdarzenie – odezwała się znowu pani de Grooit. – Jak mówiłam, ten ich Mauritz nie miał lekko w szkole... chodził do jednej klasy z naszym Bertrandem i któregoś razu starsi chłopcy spuścili mu



manto. Nie wiem, jak bardzo go pobili i co się za tym kryło, w każdym razie chłopak nie odważył się już nigdy więcej pójść do szkoły... ale nie miał też odwagi – ze względu na rodziców – zostawać w domu. W tamtym czasie pani Leverkus nie pracowała... No więc rano udawał, że normalnie idzie do szkoły, a tak naprawdę cały dzień ukrywał się w komórce na narzędzia za ich domem. Miał wtedy może dziesięć czy jedenaście lat, nie więcej. Siostry o tym wiedziały i go kryły... jedna z nich też akurat była bez pracy i przesiadywała całymi dniami w domu. Przemyciała mu po kryjomu kanapki. Ta konspiracja trwała chyba ze dwa tygodnie, co najmniej...

– A nikt ze szkoły nie zgłosił się do rodziców?

Kobieta wzruszyła ramionami. Strzepnęła z obrusa kilka wymyślonych okruchów po ciastkach.

– Owszem, po jakimś czasie ktoś się odezwał – powiedziała. – Wtedy chłopak dostał porządne lanie od ojca. Za to, że jest tchórzem.

– Niezbyt dobra metoda uczenia dojrzałości – stwierdził Münster.

– To prawda – przyznała pani de Grooit. – Ale on już taki był. Mam na myśli Waldemara.

– To znaczy? – dopytał Münster.

– No, surowy...

– Nie lubiła go pani?

Pani de Grooit sprawiała wrażenie lekko zażenowanej.

– Sama nie wiem – powiedziała. – To było tak dawno. Mieliśmy ze sobą mało kontaktu, no bo skoro ludzie chcą, żeby ich zostawić w spokoju, to nie ma co się narzucać. Każdy ma prawo żyć tak, jak chce...

– Ma pani całkowitą rację – zgodził się Münster.

Po wyjściu od pani de Grooit zrobił sobie małą przechadzkę między płaskimi domkami Pampas. Ciasteczka tkwiły mu jeszcze w gardle, a pogoda była dosyć znośna.

Musiał przyznać, że to Pampas to wyjątkowa część miasta. Dawno już tu nie zaglądał. Nisko położony, niemal bagnisty teren nad rzeką nigdy nie był zamieszkały, dopiero tuż po wojnie został nieoczekiwanie zabudowany szeregami małych domków, składających się z trzech, czterech pokoi, z przylegającymi do nich ciasno stłoczonymi działkami. Komunalne osiedle domków jednorodzinnych dla zasłużonych robotników i niższych

urzędników, jeśli dobrze rozumiał. Swego rodzaju pozytywna w założeniu próba wyrównania różnic społecznych. Wszystkie – w sumie ponad sześćset domków – ostały się po blisko pięćdziesięciu latach w niemal niezmiennym stanie. Tu i ówdzie oczywiście połatane, odnowione czy rozbudowane, ale w sumie w całkiem znośnej formie.

Powojenny optymizm, pomyślał Münster. Pomnik epoki.

I pokolenia, które stało już nad grobem.

Jak pani de Grooit. Jak Leverkusnowie.

Nigdy nie posunę się w tej przeklętej sprawie ani o krok do przodu, stwierdził nieoczekiwanie, kiedy już znalazł się za kierownicą. Nic nowego się w niej nie wydarzy, podobnie jak na tym osiedlu Pampas.

W tym komisarz Münster jednak się mylił.

I to gruntownie.

Gdyby przyjaciel Very Kretschke nie rozstał się z nią na dobre wczoraj wieczorem – dwudziestego grudnia – prawdopodobnie trochę lepiej spałaby w nocy.

A gdyby spała trochę lepiej w nocy, to oczywiście zrobiłaby całe kółko bez najmniejszego problemu. Tak jak zawsze.

A gdyby zrobiła całe kółko, to logiczne, że nie zatrzymałaby się po tysiącu pięciuset metrach i nie zaczęłaby iść, zamiast biec.

A gdyby nie zaczęła iść w umiarkowanym marszowym tempie, wtedy na pewno nie zwróciłaby uwagi na żółty strzęp folii pobłyskujący między drzewami kilka metrów od ścieżki.

W każdym razie byłoby to mało prawdopodobne.

A wtedy... wtedy to ohydztwo nie utkwiloby jej w głowie jak jakaś kleista maź, nie pozwalając jej na żadną sensowną myśl.

Tak mniej więcej rozumowała tego samego wieczoru, leżąc już w łóżku w swoim starym, przytulnym pokoju dziewczęcym, czekając, że może jednak zadzwoni Reuben, jeśli nie po to, by ją prosić o wybaczenie i cofnąć to, co wczoraj oznajmił, to przynajmniej po to, by mogła mu opowiedzieć, co się jej przytrafiło podczas porannego joggingu.

Joggingu i marszu.

Co za bezczelność, pomyślała i zatrzymała się w miejscu. Dlaczego ludzie nie wyrzucają swoich śmieci tam, gdzie powinni?

Las Weylera nie zajmował dużej powierzchni, ale był chętnie, wręcz tłumnie odwiedzany, a mimo to zadbane i czyste. Nie brakowało w nim ani niedużych koszy, ani większych pojemników umieszczonych przy ścieżkach spacerowych i biegowych, które przecinały go we wszystkich kierunkach, toteż natrafienie tam na wyrzucone byle gdzie śmieci było czymś niezwykłym.

Ktoś mógł wyrzucić co najwyżej patyk po lodzie czy ewentualnie puste pudełko po papierosach, owszem, ale nie całą foliową reklamówkę.

Vera Kretschke kierowała szkolnym kółkiem ochrony środowiska, i to już od trzech lat, więc czuła się w pewien sposób odpowiedzialna za najbliższe otoczenie.

Bez wahania weszła między mokre zarośla. Strząsnęła krople wody z młodych pędów brzozy, po czym schyliła się, żeby wyciągnąć reklamówkę, niemal w całości przykrytą warstwą liści i drobnych gałęzi. Musiała mocno ją chwycić i szarpnąć.

Cholerne flejtuchy, pomyślała. Niczego nie uszanują, nawet lasu.

Następnie zajrzała do torby.

Znajdowała się w niej głowa. Głowa kobiety.

Vera Kretschke nie mogła się powstrzymać i zaczęła wymiotować. Po prostu trysnęło z niej jak z fontanny, zupełnie tak samo jak kilka lat temu, kiedy zjadła coś podejrzanego w jakiejś indyjskiej restauracji w mieście.

Część trafiła też do reklamówki. Co oczywiście nie polepszyło sytuacji.

A Reuben nie zadzwonił przez cały wieczór, co znaczyło, że biedną Verę Kretschke czekała kolejna bezsenna noc.

– Do jasnej cholery! – wrzasnął inspektor Fuller. – To niedopuszczalne! Coś takiego po prostu nie miało prawa się zdarzyć!

Posterunkowy Schmidt kiwał swą dużą głową i wyglądał na nieszczęśliwego.

– Ale się zdarzyło...

– Jak ona to zrobiła?

Schmidt westchnął.

– Chyba skrzyła prześcieradło. W rogu pod sufitem wystaje tam taka nieduża resztką rury, przecież wspominaliśmy o tym już wcześniej.

– Ale chyba ją odcięliście?

– Nie... – Schmidt przestępował niespokojnie z nogi na nogę. – Nie odcięliśmy, bo myśleliśmy, że pan inspektor będzie jeszcze chciał na nią spojrzeć.

– Do jasnej cholery! – powtórzył Fuller i zerwał się jak oparzony.

– Odkryliśmy ją zaledwie kilka minut temu – tłumaczył się Schmidt. –

Wacker został tam, ale ona nie żyje, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Na stole leży list od niej...

Lecz inspektor Fuller precyzyjnie przesunął się już obok niego i zmierzał korytarzem do celi numer dwanaście.

Ja to mam szczęście, pomyślał Schmidt. Akurat dzisiaj, kiedy są moje urodziny, i w ogóle.

Gdy Fuller stwierdził, że pani Leverkusn istotnie znajduje się w takim stanie, jaki mu przed chwilą przedstawiono, dopilnował, aby wykonano odpowiednio dużo zdjęć ze wszystkich stron, po czym polecił ją odciąć. Następnie wezwał lekarza, połknął dwie tabletki na swój wrażliwy żołądek i zadzwonił do Münstera.

Münster zjechał windą na dół i przez dziesięć sekund przyglądał się martwej kobiecie leżącej na swojej pryczy w celi. Spytał Fullera, jak to, u diabła, możliwe, że ktoś dopuścił do czegoś takiego, po czym zabrał kopertę i wrócił do siebie.

Po dwukrotnym przeczytaniu listu zadzwonił do Moreno i przedstawił sytuację.

– To całkiem logiczne – powiedziała Moreno, gdy również ona zapoznała się z ostatnimi słowami Marie-Louise Leverkusn skierowanymi do potomnych.

– Można spojrzeć na to i tak – przyznał Münster. – Skończyła z mężem, a teraz przyszła kolej na nią. Swoją drogą, zdecydowana kobieta, nie można jej tego odmówić.

Wstał i zapatrzył się w deszcz za oknem.

– To woła o pomstę do nieba, żeby w areszcie śledczym zatrzymana była w stanie odebrać sobie życie. Muszą zweryfikować swoje procedury. – Hiller był fioletowy z wściekłości i wyglądał, jakby za chwilę miał eksplodować, kiedy się o tym dowiedział.

– Wyobrażam sobie – powiedziała Moreno. – Tak czy siak, ładna ręczna robota. Pewnie widziałeś tę linę? Spleciona poczwórnice, przecież to musiało zająć trochę czasu... facet nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

Münster nic nie powiedział. Przez kilka sekund zaległa cisza.

– Dlaczego się na to zdecydowała? – spytała Moreno. – Co prawda napisała w tym liście, że nie chce spędzić ostatnich lat życia w więzieniu, ale... czy to naprawdę tylko to?

– No a co innego? – spytał Münster. – To chyba wystarczający powód. Jeśli coś w tym może dziwić, to już raczej fakt, że czekała aż do tej pory. W końcu popełnienie samobójstwa za kratkami to nie taka łatwa rzecz. Nawet jeżeli jest się zręcznym, a strażnicy nieuważni... A ty jak myślisz? Dlaczego dopiero teraz?

Moreno wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Chyba spekulowanie na ten temat nie ma większego sensu. W końcu już się stało.

Münster westchnął i odwrócił się od okna.

– Co za bezsensowne życie – powiedział.

– Marii-Louise Leverkusn?

– Tak. Chyba że ty dostrzegasz w nim coś głębszego? Zamordowała własnego męża i odebrała sobie życie. Jedno z jej dzieci siedzi w zakładzie psychiatrycznym, a pozostałe też nikogo nie uszczęśliwiły. Nie miała żadnych wnuków. Więc może mi z łaski swojej wyjaśnisz, jaki w tym wszystkim może być sens, którego ja nie dostrzegam?

Moreno rzuciła okiem na list. Następnie złożyła go na pół i wsadziła z powrotem do koperty.

– Nie umiem – powiedziała. – Ale tak już bywa w życiu. W historiach, w których my maczamy palce, zazwyczaj nigdy nie świeci słońce.

– Pewnie tak – zgodził się Münster. – Ale powinny jednak być jakieś granice... przydałoby się znaleźć chociaż jedną perłę w tym gównie. Co robisz w święta?

Moreno skrzywiła się.

– Najważniejsze, żeby uciec przed Clausem – rzekła. – Jutro wraca. Najpierw myślałam, żeby wziąć dyżur, ale potem trafiłam na swoją dawną przyjaciółkę, która właśnie została sama. Weźmiemy z sześć butelek wina i pojedziemy do jej domku nad morzem.

Münster się uśmiechnął. Nie miał odwagi spytać, jak mają się sprawy z Clausem. I z nią samą. Są rzeczy, które nie powinny go obchodzić, tak więc im mniej pytał, tym lepiej. Tym bezpieczniej.

– To dobrze – rzekł. – Tylko nie wypływaj za daleko.

– Obiecuję – odparła Moreno.

– Jutro jeszcze pracuję – powiedział Münster i potasował karty, w które grał z Marieke. – A potem mam wolne przez sześć dni.

– Najwyższy czas – odezwała się Synn. – Nie chciałabym, żeby ta jesień się powtórzyła. Musimy znaleźć strategię, żeby jakoś sobie z tym poradzić.

– Strategię? – powtórzył Münster.

– Stła-te-lię – rzuciła Marieke. – Walet!

– Mówię poważnie – odparła Synn. – Lepiej zwalczać depresję w zarodku, zanim wszystko sparaliżuje. Musimy mieć trochę czasu na życie. Zwróć uwagę, że moja mama przeżyła załamanie w wieku czterdziestu pięciu lat. Wprawdzie dożyła siedemdziesiątki, ale przez ostatnie dwadzieścia pięć lat ani razu się nie roześmiała.

– Wiem – powiedział Münster. – Ale ty masz dopiero trzydzieści osiem lat. A wyglądasz na dwadzieścia dwa.

– Serce z siódmką – wtrąciła Marieke. – Twoja kolej! A ile ty masz lat, tatusiu?

– Sto trzy – odrzekł. – A czuję się jeszcze starszy. *All right*, masz rację. Musimy coś z tym zrobić.

Przez sekundę usiłował porównać swoje życie z życiem rodziny Leverkusnów, a przynajmniej znaleźć między jednym a drugim jakiś związek, jednak sama myśl o tym była tak absurdalna, że niemal od razu ją porzucił.

– Zaczniemy pojutrze – oznajmił. – Czy była dzisiaj jakaś poczta?

– Same rachunki i to. – Synn podała mu białą kopertę. Otworzył ją i wyjął złożoną na pół kartkę.

Znajdowała się na niej krótka informacja. Jedynie cztery słowa. Z datą sprzed dwóch dni.

*To nie ona.*

VV

– Dama pik – rzuciła Marieke. – Twoja kolej!

– Niech to szlag – powiedział Münster.

Wyrok w sprawie Marie-Louise Leverkusn został ogłoszony przed południem w poniedziałek dwudziestego drugiego grudnia w sądzie w Maardam.

Ława przysięgłych jednogłośnie uznała panią Leverkusn za winną zabójstwa pierwszego stopnia swojego męża, Waldemara Severina Leverkusna, i zgodnie z paragrafami czterdziestym trzecim i czterdziestym czwartym kodeksu karnego skazała ją na sześć lat więzienia, czyli najniższą karę przewidzianą prawem za takie przestępstwo. Jak poinformował sędzia Hart z niewzruszoną powagą, na wymiar kary miała wpływ okoliczność, że oskarżona już nie żyje i w związku z tym nie może jej odbyć.

Powiedziawszy to, oznajmił, że jak zwykle odwołanie od wyroku można złożyć w ciągu dziewięćdziesięciu dni, następnie uderzył młotkiem w stół i ogłosił posiedzenie za zamknięte.

Lekarz sądowy Meusse wytarł ręce do sucha o swój fartuch i podniósł wzrok.

– Tak?

Rooth odchrząknął.

– Chodzi o głowę...

– O tamtą głowę – sprecyzował Jung.

Meusse, łypnąwszy spoza zamazanych szkieł okularów, dał im znak, aby poszli za nim. Minął kilka mroźnych pomieszczeń i wreszcie zatrzymał się przed dużą lodówką.

– Tu ją trzymamy – powiedział, otwierając drzwi. – O ile się nie mylę.

Wyjął z lodówki biały foliowy worek i wyciągnął z niego odrąbaną głowę kobiety, chwytając ją za włosy. Czaszka była nabrzmiata i przebarwiona, pokryta plamami i pęcherzami o wszelkich odcieniach, od ochry do głębokiego fioletu. Oczy były zamknięte, ale spomiędzy na wpół rozchylonych warg wystawało kilka centymetrów ciemnobrązowego języka.



Nos przypominał ekskrementy. Jung poczuł, jak robi mu się niedobrze, i miał nadzieję, że nie będzie zmuszony wyjść na zewnątrz.

– A niech to diabli – powiedział Rooth.

– No, nie jest to konkurs piękności – odezwał się Meusse. – Przypuszczam, że musiała tak leżeć już ze dwa miesiące. Gdyby nie dobra jakość folii tej torby, byłaby jeszcze bardziej poogryzana.

Rooth przełknął i usiłował przenieść spojrzenie na co innego. Nie widząc żadnego innego punktu zaczepienia dla swych oczu, utkwiał wzrok w Jungu, który stał około trzydziestu centymetrów od niego i właśnie poczuł, że w jego żołądku znowu zaczyna się rewolucja, więc szybko przymknął powieki.

– Poznajesz ją? – spytał Rooth drżącym głosem.

Jung uniósł powieki i słabo skinął głową.

– Chyba tak – rzekł. – Czy da się coś powiedzieć o przyczynie śmierci?

Meusse włożył głowę z powrotem do torby.

– Na razie niewiele – oznajmił. – Dostała parę razy jakimś ciężkim przedmiotem w czaszkę, ale cholera wie, czy od tego umarła. W każdym razie na pewno musiała od tych uderzeń stracić przytomność. Jedno z obrażeń jest bardzo ciężkie. Domyślcie się, kto to może być?

– Raczej tak – rzekł Rooth. – Mówi pan, że dwa miesiące?

– Plus minus tydzień albo dwa – potwierdził Meusse. – Dokładniejsze informacje dostaniecie pojutrze.

– Pojutrze jest Wigilia – zauważył Rooth.

– Co ty powiesz? – rzucił Meusse.

– A jak mogła przebiec sama dekapitacja? – spytał Jung.

Meusse kilkakrotnie przeciągnął ręką po łysej czaszce, jakby chciał się upewnić, czy trzyma się mocno na swoim miejscu.

– Za pomocą noża – powiedział. – I przypuszczalnie tasaka. Co prawda ja nie wybrałbym tych narzędzi do tego celu, ale jak widać, się sprawdziły.

– Jak widać – potwierdził Rooth.

– W jakim była wieku? – spytał Jung.

Meusse prychnął.

– Jeśli wiecie, kto to jest, to powinniście też wiedzieć, ile miała lat – burknął i ruszył pierwszy z powrotem do swojego biura.

– *Double-checking* – wyjaśnił Rooth. – Nasza dama była około

siedemdziesiątki. Czy to może się zgadzać?

– Mniej więcej – rzekł Meusse. – Ta, według mojej wstępnej oceny, mogła mieć między sześćdziesiąt pięć a siedemdziesiąt pięć. Ale dostałem ją dopiero wczoraj po południu, więc nie chcę na razie wypowiadać się jednoznacznie.

Jung pokiwał głową. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby Meusse chciał wypowiedzieć się jednoznacznie. Jednak z drugiej strony, nigdy też nie słyszał, by pomylił się w swych przypuszczeniach. Jeśli mówił, że czerep, nad którym przed chwilą stali i się nań gapili, należał do kobiety około siedemdziesiątki i że ta kobieta otrzymała niejeden cios w głowę ciężkim i tępym narzędziem jakieś dwa miesiące temu, to nie było powodu przypuszczać, że mogło być inaczej.

A tą kobietą była Else Van Eck i nikt inny.

– No tak – powiedział Rooth, kiedy wyszli z Zakładu Medycyny Sądowej i postawili sobie kołnierze płaszczy dla osłony przed wszechobecną mżawką. – A niech to szlag. To chyba trochę zmienia sytuację.

– Może warto by było zawiadomić Münstera? – zaproponował Jung.

– Raczej tak – zgodził się Rooth. – Ale może najpierw powinniśmy wrzucić co nieco na ruszt, bo coś czuję, że nie będziemy się nudzić.

– Ja też tak czuję – powiedział Jung.

**IV**

Obudził się i nie wiedział, kim jest.

To trwało sekundę albo nawet tylko pół sekundy, ale się zdarzyło. Całkowicie wyblakła chwila, kiedy nie istnieje żadna przeszłość. Żadne wspomnienia. Żadne klęski.

Żadne niesprawiedliwości i niepowodzenia.

A nawet nazwisko.

Pół sekundy. Kropla w ogromnym oceanie ludzkości. A potem wszystko wróciło.

– Hmmm – wymamrotała kobieta u jego boku. Przekręciła się na drugi bok i wcisnęła głowę jeszcze głębiej w poduszkę. Przytuliła się do niego mocniej.

No tak, pomyślał. Mogło być gorzej. Spojrzał na zegarek. Wpół do ósmej. Przypomniał sobie także datę. Pierwszy stycznia! Boże drogi, przecież położyli się dopiero po drugiej, a potem wprawdzie byli już w łóżku, ale nie...

Uśmiechnął się.

Odnotował, że się uśmiecha. Takie dziwne ciągnięcie mięśni twarzy, jednak to na pewno, do diabła, był uśmiech. Wpół do ósmej po dwóch czy trzech godzinach snu! W pierwszym dniu roku!

Poprawił poduszki i zaczął się jej przyglądać. Ulrike Fremdli. O kasztanowych włosach i z jedną piersią wyglądającą ze szpary pod kołdrą. Duża i dorodna kobieca pierś o sutku, który wykarmił dwójkę dzieci, a teraz, w ten noworoczny poranek, zdawał się być niezaprzeczalnym przesłaniem pokoju i ufności. Przyjaźni, braterstwa i miłości między ludźmi na ziemi, wśród owych wszystkich kropli w tym morzu...

Boże drogi, pomyślał Van Veeteren. Chyba upadłem na głowę. Życie to symfonia.

Leżał dalej, nie mając odwagi nawet oddychać. Jakby najmniejszy ruch

mógł zniszczyć tę kruchą chwilę.

Chciałbym umrzeć w takim momencie, przemknęło mu przez głowę.

A potem znowu miał ten sen.

Dziwny. Jakby tylko siedział przycupnięty za węglem i czekał, by poranek rozsunął swą zwodniczą zasłonę iluzorycznego szczęścia, czekał, by go zaatakować, gdy tylko o kilkadziesiąt centymetrów opuści gardę. Czy to nie typowe? Aż za bardzo!

Był to osobliwy sen.

Ponury i mroczny stary zamek. Z wysokimi sklepieniami i schodami, pełen ogromnych i słabo oświetlonych komnat. Pustych i zimnych, ale z niespokojnie trzepoczącymi cieniami na gołych kamiennych ścianach. Wyraźnie jest noc... słyhać groźne głosy z daleka, z sąsiedniej komnaty... i ostry dźwięk metalu pocieranego o metal, jakby ktoś ostrzył nóż; a on spieszy przez to wszystko, z komnaty do komnaty, w pogoni za czymś, sam nie wie za czym.

Dociera do jakiejś celi; bardzo małej; przy jednej ścianie jest mikroskopijny ołtarz z reliefem Matki Boskiej wykutym w ciemnych kamieniach muru; pod drugą ścianą mężczyzna śpiący na pryczy. Gruby koc, podciągnięty wysoko, zakrywa nie tylko ramiona, ale też głowę, lecz on wie, że to Erich.

Jego syn Erich.

Jego wciąż niespokojny, nieszczęsny Erich. Waha się, a kiedy tak stoi w wąskich drzwiach i nie wie, co ma ze sobą począć ani czego się od niego oczekuje, słyszy, jak tamten ostry dźwięk noży się nasila, i nagle, nagle widzi, jak jeden ze sztyletów szybuje wysoko przez komnatę. Zawisa w powietrzu tuż nad śpiącym na pryczy. Duży i mocny sztylet, oświetlony przez padające z ukosa promienie, błyszczący i powoli wiruje w górę, aż w końcu czubek naostrzonej klingi wskazuje prosto na mężczyznę. Na Ericha. Na jego syna.

Wciąż się waha. Ostrożnie podchodzi bliżej i unosi koc znad głowy śpiącego. To nie Erich śpi na pryczy. To Münster.

Inspektor Münster śpi na boku, najspokojniej w świecie, z dłońmi pod głową, nie przeczuwając niczego złego, a Van Veeteren nadal nie rozumie, co się dzieje. Opuszcza z powrotem koc, tak samo delikatnie, słyszy głosy i ciężkie kroki, które się przybliżają, i zanim udaje mu się opuścić celę

i znaleźć się w bezpiecznym miejscu, budzi się.

– To przypominało *Makbeta*. Tylko dziwi mnie, że byłem tak bardzo przekonany, że to Erich tam leży, a potem okazało się, że to Münster.

Ulrike Fremdli ziewnęła i oparła głowę na rękach. Spojrzała na niego przez kuchenny stół zmęczonym wzrokiem.

– Straszny z ciebie dziwak – stwierdziła.

– Gadanie – zaprotestował Van Veeteren.

– Wcale nie – upierała się Ulrike Fremdli i odgarnęła kosmyk z twarzy. – Kiedy pierwszy raz pojawiłeś się w moim życiu, chodziło ci o znalezienie zabójcy mego męża. Potem czekałeś aż cały rok, żeby się do mnie znowu odezwać, i oto siedzisz tu przede mną w noworoczny poranek i chcesz, żebym zinterpretowała twoje sny. Nawiasem mówiąc, w nocy było miło, muszę to przyznać. Dziękuję.

– Ja też dziękuję – odparł Van Veeteren i zauważył, że znowu się uśmiechnął. To już chyba zaczyna zmieniać się w nawyk. – No bo kobiety są lepsze od nas w tłumaczeniu snów – próbował się usprawiedliwić. – Przynajmniej niektóre.

– No, myślę – odparła Ulrike. – Ogólnie rzecz biorąc, chyba rzeczywiście tak jest, choć ty akurat masz pod tym względem kobiecą żyłkę, bo kierujesz się intuicją. Wyobrażałam sobie, że taki stary policjant kryminalny jak ty powinien być znacznie bardziej rzeczowy i konkretny, ale może to stereotyp?

– Hm – mruknął Van Veeteren. – W gruncie rzeczy wiemy bardzo mało.

– Ach tak?

Odkroił plasterek żółtego sera i zaczął w zamyśleniu przeżuwać. Ulrike Fremdli wyciągnęła pod stołem swoją gołą stopę i przesunęła nią po jego łydce.

– Hm – odezwał się znowu Van Veeteren. – Zaledwie ułamek z wielkiej całości. Tyle wiemy, i już. A jeśli jeszcze nie wsłuchujemy się uważnie, wtedy zostaje co najwyżej promil.

– Mów dalej – poprosiła Ulrike Fremdli.

– No cóż – ciągnął – to jedna z moich ulubionych teorii. Ponieważ wydajesz się zbyt zmęczona, by mi zaprzeczyć, może mógłbym ją trochę rozwinąć...

Wyciągnęła pod stołem także drugą stopę.

– Swoją drogą to bardzo skromna teoria – wyjaśniał. – Powinna odpowiadać takiej mądrej kobiecie jak ty. Kobiecie o delikatnych stopach... nie, nie, nie przestawaj. Załóżmy więc, że istnieje na świecie całe mnóstwo powiązań, zależności i wzorców i że najmądrzejsi z nas są w stanie – i mają odwagę – pojąć z tego, powiedzmy, może jedną setną! A najbardziej ociężali – zaledwie jedną tysięczną... czy dziesięciotysięczną. Ile ja sam pojmuję, pozostawmy lepiej na boku. Większość z tych informacji dociera do nas innymi kanałami niż to, co tak zwane myślenie zachodnie gotowe jest do nas dopuścić. Terror dedukcji. Chociaż jedno z drugim w żadnym razie nie stoi tu w sprzeczności. Ani nie zagraża sobie nawzajem. Wręcz przeciwnie... bo chyba jednak łatwiej jest pojmować rzeczy, niż pojmować, jak je pojmujemy. Nasza wiedza o świecie musi być zawsze większa niż nasza wiedza o wiedzy... czy mniej więcej coś w tym rodzaju. Tak więc, jak powiedziałem...

Ulrike Fremdli zamyśliła się przez chwilę.

– Brzmi fascynująco – stwierdziła. – Ale ja jeszcze nie obudziłam się do końca.

– Istnieje całe mnóstwo wzorców – kontynuował Van Veeteren. – Dostajemy tyle informacji, obok których w tej naszej codziennej bieganinie po prostu przemykamy. Tysiąc kilogramów bodźców na sekundę. Nie zdążamy ich przerabiać. To są oczywistości, ale jedyne, co naprawdę rozumiem, to właśnie te oczywistości... tylko trzeba się do tego przyznać.

– Sny? – rzuciła Ulrike Fremdli.

– Na przykład. Niech to szlag! Sztylet szybujący nad inspektorem Münsterem! Nie powiesz chyba, że to przypadek? On jest w niebezpieczeństwie, to jasne, zrozumiałoby to nawet małe dziecko.

– Ale najpierw myślałeś, że to był Erich – zwróciła uwagę Ulrike.

Van Veeteren westchnął.

– Erich jest w strefie zagrożenia, od kiedy tylko pamiętam – powiedział. – To nie byłaby żadna szczególna nowina.

– Ile on ma lat?

Van Veeteren musiał się zastanowić.

– Dwadzieścia sześć – obliczył. – Powinienem już chyba przestać martwić się o niego.

Ulrike pokręciła głową.

– Niby dlaczego? – spytała. – Dziecko na zawsze pozostanie dzieckiem. Nawet jak będzie miało sto lat.

Van Veeteren przyjrzał się jej przez chwilę w milczeniu. Czuł jej ciepłe stopy na swoich nogach. Boże drogi, pomyślał, ta kobieta...

To dopiero ich czwarta albo piąta noc spędzona razem i teraz, podobnie jak po poprzednich, musiał zadać sobie pytanie, dlaczego coś takiego nie zdarzało się częściej. Sądząc po wszystkim, raczej nie wystawiał jej na szczególne cierpienia, więc jaki mógł być powód tej cholernej ostrożności? Umiarkowanie eremity? Upór osła? Jeśli o niego chodzi... tak, jeśli o niego chodzi, on przecież nie cierpiał w żaden sposób, ani trochę.

Spojrzał przez okno na równie niezdecydowany pierwszy dzień roku. W nocy padał deszcz, a niebo i ziemia zdawały się zjednoczone szaroniebieskim światłem, które z całą pewnością długo nie zdoła stawiać oporu ciemności. Można by przypuszczać, że słońce zgasło już na dobre w któryś dzień minionego listopada. W każdym razie on nie mógł sobie przypomnieć, by widział je choć raz od tamtej pory.

– Piękna pogoda – stwierdził. – Może położymy się znowu?

– Dobry pomysł – powiedziała Ulrike Fremdli.

Gdy obudzili się po raz kolejny, była druga.

– Kiedy wracają twoje dzieci? – spytał przerażony.

– Dziś wieczorem – odpowiedziała. – Ale one nie gryzą.

– Chodzi mi wyłącznie o nie – wyjaśnił Van Veeteren i usiadł na łóżku. – Nie chciałbym zafundować im szoku, zwłaszcza w pierwszym dniu nowego roku.

Ulrike Fremdli pociągnęła go z powrotem na poduszkę.

– Powinieneś zostać – stwierdziła. – Przecież one są dorosłe i dawno stąd wyfrunęły... poza tym już sporo widziały.

Van Veeteren zamyślił się.

– Dlaczego mielibyśmy żyć dniem codziennym, skoro możemy mieć same niedziele – spytał przebiegle.

Ulrike Fremdli zmarszczyła czoło i usiadła na nim jak jeździec.

– Nie myśl, że mi się spieszy – powiedziała. – Ale jedna niedziela na dwa



miesiące to chyba jednak nie wystarczy.

Van Veeteren wyciągnął dłonie i objął nimi jej ciężkie piersi.

– Być może – odparł. – *All right*, wobec tego zostanę. W końcu niedługo stuknie mi sześćdziesiątka. Pora się trochę ustatkować.

– Masz za sobą dobry początek roku – stwierdziła Ulrike Fremdli.

– To fakt, mógłby zacząć się gorzej – potwierdził.

Ale kiedy wyciągnął się sam na łóżku i czekał, aż Ulrike wyjdzie spod prysznic, jego myśli wróciły do snu z ostatniej nocy.

Erich? Münster?

*Is this a dagger that I see before me?*

Niepojęte.

Przynajmniej dla kogoś, kto zwykle potrafi zrozumieć wycinek rzeczywistości.

– Szczęśliwego nowego roku – powiedział komendant Hiller, poprawiając krawat. – Miło widzieć Reinharta znowu między nami. Mamy nadzieję, że ten długi czas wolny dobrze ci zrobił.

– Dziękuję wszystkim – powiedział Reinhart. – Owszem, było całkiem sympatycznie. Tylko nie rozumiem, dlaczego ja też mam być wrzucony w tę sprawę, przecież widzę, że jesteście w komplecie. Czyżbyście utknęli w miejscu?

– Hm – mruknął Hiller. – Chyba najlepiej będzie, jak inspektor Münster przedstawi nam, jak wygląda sytuacja.

Münster wyjął swój notes i powiódł wzrokiem po wszystkich wokół stołu. Reinhart miał niezaprzeczalnie rację. Sprawa miała mocną obsadę. On, Rooth i Heinemann, Jung i Moreno. I teraz jeszcze Reinhart. Nie licząc oczywiście Hillera.

– Proponuję, żebyśmy prześledzili wszystko po kolei od pierwszego znaleziska w Lesie Weylera – powiedział Münster. – Przyda nam się takie ogólne spojrzenie, a przy okazji Reinhart pozna wszystkie fakty.

Hiller skinął głową z aprobatą i zaczął bawić się swoim świątecznym długopisem.

– No więc dwudziestego pierwszego grudnia młoda dziewczyna, Vera Kretschke, znalazła głowę schowaną w foliowej reklamówce. Bardzo szybko dało się ustalić, że chodzi o panią Van Eck, która zniknęła pod koniec października. Jej mąż, Arnold Van Eck, zidentyfikował ją natychmiast. Cała ta sytuacja wyraźnie go przerosła, bo od tamtej pory przebywa w Majorna...

– Biedaczysko – powiedział Rooth.

– Podobno nie otworzył ust przez cały tydzień – uzupełniła Moreno.

– W ciągu minionych jedenastu dni natrafiliśmy na kolejne trzy torby – kontynuował Münster – jednak wciąż jeszcze zwłoki nie są, że tak powiem, kompletne. Nadal brakuje lewej nogi i kawałka tułowia, a dokładnie

miednicy. Czyli pewnie dwóch reklamówek. Dwunastu ludzi ciągle przeszukuje teren, ale to niełatwe zadanie, nawet jeśli założymy, że cała reszta znajduje się faktycznie w Lesie Weylera. Nawiasem mówiąc, do tej pory żadna torba nie była zakopana głęboko w ziemi, morderca zadowalał się przyrzuceniem ich liśćmi, gałęziami i tak dalej.

– Pewnie nie miał szpadla – rzucił Rooth. – Niezorganizowany gość.

– Możliwe – zgodził się Münster. – Według Meussego kobieta nie żyła od ponad dwóch miesięcy, tak więc wiele wskazuje na to, że została zamordowana w ten sam wieczór, kiedy zniknęła... czyli dwudziestego dziewiątego października albo przynajmniej niedługo potem. Ciało zostało poćwiartowane w gruncie rzeczy ze sporą wprawą – cytuję Meussego – niewykluczone, że osoba, która to zrobiła, znała się na fachu, ale – jak twierdzi – narzędzia miała kiepskiej jakości. Zwykły, dosyć tępy nóż do mięsa albo coś w tym rodzaju. Plus prawdopodobnie tasak. Przyczyną śmierci mogły być kilkakrotne mocne ciosy zadane ciężkim przedmiotem w głowę. Kość czaszki jest solidnie zmiażdżona, odłamki wbiły się w mózg, ale sprawca przypuszczalnie przeciął jeszcze tętnicę szyjną, zanim przystąpił do ćwiartowania... Jeśli chodzi o reklamówki użyte do schowania poćwiartowanych zwłok, są to zwykłe foliowe torby, jakie można kupić z rolki w siedmiu na dziesięć sklepach spożywczych i supermarketach. Jedyne, na co może warto zwrócić uwagę, to fakt, że były żółte. Są dostępne też ciemnozielone tego samego rodzaju i te na pewno byłyby lepsze, gdyby sprawca nie chciał, aby je szybko odkryto.

– Prawdopodobnie nie miał innych w domu – powiedział Rooth.

– Bardzo możliwe – zgodził się Münster. – Wszystkie znalezione do tej pory części ciała były gołe. Żadnego ubrania, żadnych drobiazgów, które mogłyby posłużyć jako wskazówki. Odciski palców oczywiście wykluczone, choćby ze względu na czas, jaki upłynął.

Przerwał i znowu popatrzył po wszystkich.

– Nawet jeśli znajdzie się reszta, to i tak niewiele nam to pomoże – zauważył Jung.

– To prawda – przytaknął mu Rooth. – Małe szanse. Ale mimo wszystko lepiej byłoby siedzieć nad puzzlami, w których nie brakuje dwóch elementów.

– Zgadza się. Tak czy inaczej, to mało zabawna układanka – dodała Moreno.

– Racja – wtrącił Reinhart. – Macie jakieś podejrzenia?

Na chwilę zaległa cisza, nie biorąc pod uwagę ciągłego pstrykania długopisem przez komendanta.

– Prześledźmy jeszcze pozostałe fakty – kontynuował Münster – a potem będziemy mogli trochę pospekulować. Rozmawialiśmy z wieloma osobami, głównie z sąsiadami w domu przy Kolderweg – krewnych i przyjaciół Van Eckowie nie mieli wielu – i reasumując, prawie nic z tego nie wynika. Pani Van Eck zniknęła w środę wieczorem, dwudziestego dziewiątego października, podczas gdy jej mąż był w tym czasie na kursie w Riitmeeterska. Ostatni raz widziano ją tuż po osiemnastej, a jeden z sąsiadów twierdzi, że słyszał ją w mieszkaniu około dziewiętnastej. Kiedy Arnold Van Eck wrócił do domu o dwudziestą, jej już nie było. Oprócz tego nie mamy nikogo, kto byłby w stanie dodać nam jeszcze jakiegokolwiek informacje.

– Czy to mógłby być ktoś z nich? – spytał Reinhart. – Mam na myśli sąsiadów. I czy to na pewno ona była w mieszkaniu o tej dziewiętnastej?

– Oczywiście nie można tego wykluczyć – stwierdził Münster. – Hipotetycznie jest to możliwe. Myślę, że powinniśmy popatrzeć na ten przypadek w powiązaniu ze sprawą Waldemara Leverkusna. Jeśli chodzi o to, kogo słyszano w mieszkaniu Van Ecków, moim zdaniem mógł to być ktokolwiek.

– Na przykład morderca? – powiedział Reinhart.

– Na przykład – powtórzył za nim Münster.

– A co z Leverkusnami? – spytał Reinhart.

Münster westchnął i przewrócił kartkę.

– Nie wiem – powiedział. – Na pozór sprawa wydaje się krystalicznie klarowna...

– Tyle że niektóre kryształy są odrobinę kruche – rzucił Reinhart. – Trochę przez ten czas zaglądałem do gazet, ale wiadomo, że oni w nich piszą, co chcą.

– Zaczynaj od początku – poprosił komendant.

– Sobota, dwudziesty piąty października – kontynuował Münster. – To wtedy wszystko się zaczęło. Pani Leverkusn wraca do domu i zastaje w łóżku zamordowanego męża. Oczywiście wszczynamy śledztwo, a po

dziesięciu dniach ona dzwoni i mówi, że to jej sprawka. Że zrobiła to w przystępie furii. Przesłuchujemy ją gruntownie przez cały tydzień i wkrótce zarówno oskarżyciel, jak i my uznajemy, że mamy dość materiału. No a potem wszystko toczy się utartym trybem, proces zaczyna się w połowie grudnia i trwa trzy czy cztery dni. Nie dzieje się nic szczególnego: prokurator oskarża o morderstwo ze szczególnym okrucieństwem, obrona twierdzi, że to nieumyślne spowodowanie śmierci. W oczekiwaniu na wyrok w niedzielę, dwudziestego pierwszego grudnia oskarżona wieszana się w swojej celi... używa do tego splecionych kawałków prześcieradła. Tak przygotowany sznur udaje się jej zamocować na wystającym kawałku rury w rogu celi... jeśli o to chodzi, wiele już powiedziano, więc chyba nie ma potrzeby do tego wracać. Oskarżona zostawiła list, w którym napisała, że z uwagi na okoliczności postanowiła odebrać sobie życie.

– Okoliczności? – powtórzył Reinhart. – Co za okoliczności, do cholery?

– No to, że zabiła własnego męża i że nic ją już teraz nie czeka poza szeregami lat spędzonych za kratkami – uzupełniła Moreno.

– Ten jej motyw można raczej łatwo zrozumieć – stwierdził Münster. – Trudno tylko wyjaśnić, dlaczego czekała z tym aż tak długo. Najpierw pozwoliła się aresztować i postawić przed sądem, a dopiero potem wzięła sprawę w swoje ręce.

– Nic nie mówi na ten temat w liście? – spytał Reinhart.

Münster pokręcił głową.

– Nie. To zaledwie kilka linijek. Z drugiej strony w takiej sytuacji trudno też oczekiwać od człowieka logiki. Ona musiała być doprowadzona do ostateczności i skrajnie wyczerpana psychicznie, a tego rodzaju decyzja na pewno wymaga czasu... przynajmniej tak mi się wydaje.

– Mnie też – rzekł Rooth.

Heinemann odchrząknął i położył na stole swoje okulary.

– Spotkałem się z Regine Svendsen – zaczął powoli. – To dawna koleżanka z pracy pani Else Leverkus. I właśnie rozmawialiśmy o tych aspektach psychologicznych, zdaje się, że ona dosyć dobrze ją znała... a przynajmniej jeszcze do niedawna. Oczywiście bardzo trudno jest wyciągać wnioski w takich sprawach, zresztą ona sama wciąż podkreślała, że...

– No i co ona ci w końcu powiedziała? – spytał Rooth. – Ta cała reszta łącznie z jej dywagacjami nie jest nam do niczego potrzebna.

– Hm – chrząknął Heinemann. – Podsumowanie jest mniej więcej takie: Marie-Louise Leverkusn była niezwykle silną kobietą. Całkowicie zdolną do zrobienia tego i owego. Wyróżniała się wyjątkową uczciwością. Tak twierdzi pani Svendsen. A przynajmniej coś w tym stylu.

– No cóż – odezwał się Münster. – W każdym razie w tym przypadku na pewno wykazała się przedsiębiorczością. Nie da się zaprzeczyć.

– Nie znaleźliście pamiętników? – spytał Heinemann.

– Pamiętników? – zdziwił się Münster.

– No tak – powiedział Heinemann. – Rozmawiałem z tą kobietą dopiero wczoraj wieczorem. Wróciła z jakiegoś wyjazdu, więc nie zdążyłem się z nią spotkać wcześniej. W każdym razie ona twierdzi, że Marie-Louise Leverkusn pisała przez całe swoje życie pamiętnik czy dziennik. Gdyby tak rzeczywiście było i udałoby się nam do niego zajrzeć, to może znalazłyby się tam jakieś wyjaśnienia...

Przez moment nikt nic nie mówił. Wreszcie odezwał się Hiller:

– Coś takiego. Proponuję, żebyście poszperali i spróbowali znaleźć te pamiętniki. To nie powinno być nic trudnego.

Münster spojrzał na Moreno.

– Oczywiście gruntownie przeszukaliśmy mieszkanie Leverkusnów – powiedziała. – Ale nie polowaliśmy na pamiętniki.

– Według pani Svendsen powinno być od ośmiu do dziesięciu zeszytów – dodał Heinemann. – Ona je widziała, ale rzecz jasna nigdy do nich nie zaglądała ani ich nie czytała. To były podobno zwykłe zeszyty w czarnej oprawie. W każdym zapiski z trzech, czterech lat... prawdopodobnie tylko krótkie notatki.

– Czyli w sumie nie więcej niż trzydzieści lat – powiedział Reinhart. – Myślałem, że ona była starsza.

Heinemann wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Uznałem, że tak czy siak, powinniście o tym wiedzieć.

Münster coś zanotował i popadł w zadumę, ale nie zdążył dojść do żadnego wniosku, ponieważ szef ponownie wydał polecenie:

– Jedźcie tam i szukajcie! – rozkazał. – Przetrząšnjcie całe to zakichane mieszkanie i je znajdźcie! Mam nadzieję, że mieszkanie wciąż jest pod naszym nadzorem i zaplombowane?

– Naturalnie – westchnął Münster. – Naturalnie. Swoją drogą nie zauważyłem, żeby w areszcie śledczym miała przy sobie jakiś zeszyt... ale może skończyła z pisaniem na stare lata. A kiedy ostatni raz ta Regine Svendsen spotkała panią Leverkusn?

– Około pięciu lat temu – powiedział Heinemann. – Obie pracowały w Lippmanns.

Reinhart od kilku minut nabijał sobie fajkę tytoniem pod mrocznym spojrzeniem Hillera. Teraz włożył ją do ust, oparł się wygodnie i splótł dłonie na karku.

– Związek? – spytał. – No a co z tym detalem? Przecież mieliśmy jeszcze jednego, który rozpląnął się w powietrzu.

Münster westchnął znowu.

– Masz rację – potwierdził. – Niejakiego Felixa Bongera, który przepadł bez wieści. Jeden z kumpli Leverkusna. Nie pokazał się od nocy, kiedy tamten został zamordowany.

Szef policji miał już wyraźnie dość. Spuścił z oczu Reinharta i jego zabiegi z fajką i z naciskiem zastukał w blat stołu.

– A teraz posłuchajcie przez chwilę! – zagrzmał. – Musicie, do jasnej cholery, się zdecydować, czy te sprawy się ze sobą wiążą, czy nie... nawiasem mówiąc, myślałem, że już dawno to zrobiliście. Czy jest w ogóle coś – cokolwiek! – co przemawia za tym, że śmierć Leverkusna i pani Van Eck mają ze sobą coś wspólnego?

– No cóż – odezwał się znowu Münster – raczej trudno powiedzieć, żeby to było normalne, że dwoje ludzi z tego samego domu zostaje zamordowanych w odstępie zaledwie kilku dni i...

– Uważam sprawę Leverkusna za zamkniętą – przerwał mu Hiller. – Przynajmniej tak długo, dopóki nie wypłynie coś radykalnie nowego. Teraz waszym zadaniem jest ustalenie zabójcy Else Van Eck... jeśli to także miałyby zrobić pani Leverkusn, nie miałbym nic przeciwko temu.

– Sprytne rozwiązanie – powiedział Reinhart. – Pan, szefie, powinien zostać detektywem.

Hiller stracił na moment wątek, ale już po chwili kontynuował z nie mniejszą powagą:

– Jeśli chodzi o Bongera, jak wiadomo, facet zniknął, ale zakładam, że zostały podjęte wszelkie niezbędne rutynowe działania, jakie zwykle

podejmujemy w takich przypadkach, czyli rutynowe śledztwo. – Spojrzał na zegarek. – Za pięć minut mam spotkanie.

– To może zrobimy przerwę na papierosa? – zaproponował Reinhart. – Chyba już pora.

– Czy ktoś ma coś do dodania w tej sprawie? – spytał dyplomatycznie Münster.

– Mnie osobiście przydałaby się filiżanka kawy – powiedział Rooth.

– Pan inspektor wygląda na trochę zmęczonego – powiedziała Moreno i zamknęła drzwi.

– Pewnie dlatego, że jestem trochę zmęczony – odparł Münster. – Miałem dostać siedem dni wolnego w czasie świąt, a zrobiły się z tego dwa i pół.

– Dosyć kiepsko, jak się ma rodzinę.

Münster wykrzywił twarz w grymasie.

– Fajnie jest mieć rodzinę. Tylko niefajnie jest pracować tak jak my tutaj. Człowiek gubi po drodze własną duszę.

Moreno usiadła naprzeciw niego i czekała na ciąg dalszy.

– A jak u ciebie? – spytał Münster, by odwrócić od siebie uwagę.

– Dziwnie – powiedziała Moreno po krótkiej chwili milczenia.

– Dziwnie?

Roześmiała się.

– No tak. Chociaż w gruncie rzeczy w porządku. Czy pozbawiony duszy inspektor jest gotów chwilę posłuchać? To zajmie tylko pół minuty.

Münster skinął głową.

– No więc Claus wrócił z Nowego Jorku, mimo wszystko – opowiadała Moreno, usiłując jednocześnie zdrapać paznokciem małą plamkę po kawie ze swojej jasnożółtej bluzy. – Od razu odniosłam wrażenie, że jest jakiś inny, zmieniony... Tylko nie rozumiałam dlaczego, ale wczoraj wyszło szydło z worka. Znalazł sobie inną.

– Co takiego? – wykrzyknął Münster. – Co to, u diabła...?

– No tak. Jeszcze miesiąc temu był gotów odebrać sobie życie z mojego powodu, a dzisiaj ma już nową, świeżuteńką znajomość. Poznał ją w restauracji w Greenwich Village, lecieli ze Stanów tym samym samolotem, czyli wyraźnie się szukali i znaleźli. Ma na imię Brigitte i jest sekretarzem



redakcji w telewizji. Faceci...

– Stop, stop – zaprotestował Münster. – Tylko nie wrzucaj wszystkich do jednego worka! Ja nie dam się zaliczyć do tego gatunku... harcerzyków.

Moreno uśmiechnęła się nieznacznie. Dała spokój ze zdrapywaniem i teraz tępo przyglądała się plamie, która uparcie tkwiła dalej na swoim miejscu.

– Okej – powiedziała. – Wiem. Ale tak czy owak, uważam, że to dobrze, chociaż – jak wspomniałam – odrobinę dziwnie. To co? Zawieszamy walkę klasową?

– Z przyjemnością – zgodził się Münster. – Ja też mam jej akurat teraz po dziurki w nosie.

Moreno spojrzała na niego z lekkim współczuciem, ale nic nie powiedziała. On zaś wypił łyk wody mineralnej z puszki, która stała na stole, i usiłował zapanować nad odruchem odbijania się, lecz nie do końca mu się udało.

– Sprawa Leverkusna – powiedział w końcu i głęboko nabrał powietrza w płuca. – Jesteś gotowa?

– Tak, jestem gotowa.

– Akt trzeci. Czy też czwarty? Obecny podział ról jest jasny, przynajmniej z grubsza. Rooth i Jung zajmują się szukaniem pamiątek w domu Leverkusnów. Reinhart i Heinemann przejęli sprawę Van Eck. Ty i ja mamy raczej wolną rękę. Guzik mnie obchodzi, co Hiller uważa za zamknięte, a co za niezamknięte. Zamierzam odbyć nową rundkę wizyt u dzieci Leverkusnów... u wszystkich trojga.

– Nawet u tej córki w psychiatryku? – spytała Moreno.

– Nawet u niej.

Na czole Moreno pojawiła się zmarszczka.

– Myślisz, że pani Van Eck została usunięta też przez Else Leverkusn?

Münster nie odpowiedział od razu. Z wyraźną niechęcią przełożył jakieś papiery na biurku. Wypił resztkę wody z puszki i pustą wyrzucił do kosza.

– Nie wiem – przyznał. – Uparcie temu zaprzeczała, poza tym po co miałyby to robić, skoro już zabiła swojego męża? A potem w końcu siebie? Jaki mogłaby mieć motyw?

– Mnie nie pytaj – rzekła Moreno. – Ale uważasz, że to wszystko jakoś się

ze sobą wiąże?

– Tak – potwierdził Münster. – Tak uważam. Nie mam pojęcia jak, ale zamierzam w końcu jakoś do tego dojść, cholera jasna.

Sam doskonale słyszał, ile zmęczenia kryło się w jego ostatnim zdaniu, i widział po Moreno, że ona też to zauważyła. Przyglądała mu się przez chwilę, nadal z tą zmarszczką na czole, wyraźnie szukając jakichś słów pocieszenia. Ale chyba żadnych nie znalazła.

Chciałbym, żeby obeszła biurko i mnie uścisnęła, pomyślał Münster i zamknął oczy. Albo żebyśmy się rozebrali i poszli razem do łóżka.

Ale nic takiego się nie zdarzyło.

– Słucham?

– Dzień dobry – powiedział Jung w słuchawkę. – Nazywam się Jung. Jestem z policji kryminalnej w Maardam. Czy mówię z panią Emmeline von Post?

– Tak... oczywiście. Dzień dobry.

– Mam do pani tylko jedno proste pytanie. Może uda się nam wyjaśnić to przez telefon.

– Ależ oczywiście, mój drogi. A o co chodzi?

– O Marie-Louise Leverkus. Właśnie, że tak powiem, zmierzamy do końca tej sprawy i chcielibyśmy mieć jasność we wszystkich szczegółach.

– Rozumiem – odpowiedziała Emmeline von Post.

Wcale nie, pomyślał w duchu Münster. Zresztą w ogóle nie o to w tym wszystkim chodzi.

– Czy pani Leverkus pisała dziennik? – spytał.

Najpierw zaległa przepełniona zdumieniem kilkusekundowa cisza, po czym pani von Post odpowiedziała:

– Tak, naturalnie. Pisała dziennik od zawsze... Ale po co wam to, na litość boską?

– To tylko rutynowe pytanie – powiedział Jung.

– Aha... to wszystko razem jest straszne.

– Rzeczywiście straszne – potwierdził Jung. – Czy to jakiś stary nawyk? Mam na myśli pisanie dziennika.

– Tak sądzę – rzekła Emmeline von Post. – Robiła to już, kiedy chodziłyśmy razem do szkoły handlowej. Wtedy właściwie to nie był pamiętnik, tylko takie zapiski kilka razy w miesiącu... tak żeby podsumować sytuację czy coś w tym rodzaju.

– Czy czasem o tym rozmawiałyście?

– Nie.

– Czy czytała pani kiedyś to, co ona pisała?

– Nigdy.

– Ale widziała pani te dzienniki?

– Tak – powiedziała Emmeline von Post. – Tak, kilka razy. Parokrotnie Else też o nich wspominała, ale to była jej prywatna sprawa i uważałam, że nic mi do tego.

– Jak one wyglądały? – spytał Jung.

– Nie rozumiem?

– Te pamiętniki. Ile pani zdaniem ich było i jak wyglądały?

Emmeline von Post zastanowiła się przez chwilę.

– Ile ich było, tego nie wiem – oznajmiła – ale myślę, że ona je wszystkie zachowała. Może dziesięć czy dwanaście zeszytów... to były takie zwykłe notesy o miękkich okładkach, które można wszędzie kupić. Dostyc grube... czarne, miękkie okładki. Albo niebieskie, przynajmniej takie widziałam. Może miała ich więcej. Myślę, że ona nie pokazywała ich nawet mężowi. No tak... ale wciąż nie rozumiem, dlaczego pan o nie pyta. Czy to coś ważnego?

– Nie, nie – odpowiedział Jung uspokajająco. – Jak wspomniałem, to tylko mały detal. Przy okazji: czy nie pamięta pani, czy taki dziennik pani Leverkuhn miała przy sobie także wtedy, kiedy mieszkała u pani przez te kilka dni? W paździeniku?

– Nie... nie sądzę. W każdym razie nic takiego nie widziałam.

– Dziękuję, pani von Post. To tyle. Przepraszam za zajęcie pani czasu.

– Nie ma za co – odparła kobieta.

– Rooth z policji kryminalnej w Maardam – przedstawił się.

– Nie mam czasu – odpowiedział Mauritz Leverkuhn.

– To dlaczego pan odbiera, skoro nie ma pan czasu?

Na dwie sekundy zaległa cisza.

– Bo to mogło być coś ważnego – odrzekł Mauritz Leverkuhn.

– No i jest coś ważnego – oznajmił Rooth. – Czy pana matka pisała dziennik?

Mauritz Leverkuhn kichnął prosto w telefon.

– Na zdrowie – rzucił Rooth i odruchowo wytarł słuchawkę.

– Dziennik! – prychnął mężczyzna. – A co, do cholery, to pana obchodzi? I po co wy jeszcze węszyć? Mamy już dość tego waszego wtykania nosa. Może zostawilibyście nas wreszcie w spokoju? Poza tym jestem chory.

– Zauważyłem – powiedział Rooth. – Czy pisała dziennik?

Przez dłuższą chwilę nie było słyhać nic poza ciężkim oddechem Mauritza Leverkusna. Rooth domyślił się, że jego rozmówca zastanawia się, czy nie odłożyć telefonu.

– Niech pan posłucha. Od dwóch dni jestem chory na grypę i leżę w łóżku. Mam trzydzieści dziewięć stopni gorączki. I nie mam, do cholery, najmniejszej ochoty rozmawiać z panem więcej. Mój ojciec i moja matka nie żyją. Nie rozumiem, dlaczego policja nie zajmie się czymś innym, zamiast nękać nas bez przerwy.

– Chyba bierze pan jakiś antybiotyk? – spytał Rooth życzliwie, ale jedyną odpowiedzią, jaką usłyszał, był wyraźny i zdecydowany trzask na łączach.

Rooth cisnął słuchawkę. Ty skurczybyku, pomyślał. Mam nadzieję, że poleżysz jeszcze parę tygodni.

– Naprawdę tak pan uważa? – spytał Heinemann. – Że policja zachowała się niewłaściwie wobec pana?

– Słucham? – spytał Ruben Engel.

– Że niepotrzebnie zwracano panu głowę – doprecyzował Heinemann. – Wobec tego powinien pan złożyć skargę.

– Tak, tak, faktycznie.

– Istnieje nawet specjalny formularz. Jeśli pan sobie życzy, mogę postarać się, żeby panu taki przysłano.

– He... nie trzeba – powiedział Engel. – Ale, na litość boską, wyjaśnijcie wreszcie to do końca, żebyśmy znowu mogli mieć spokój w tym naszym domu.

– Sprawa jest trochę zawiła – wyjaśnił Heinemann i z za okularów zsuniętych na czubek nosa rozejrzał się po zadymionej kuchni. – W przypadku morderstwa śledztwo jest często bardziej skomplikowane, niż powszechnie się uważa. Trzeba uwzględnić całą masę różnych aspektów. I to, i tamto, i Bóg wie co jeszcze. Naprawdę. A co pan dobrego pije?

– To? – dopytał Engel. – Ach, to tylko łyżeczek grogu, tak na rozgrzewkę. W moim mieszkaniu piekielnie ciągnie.

– Rozumiem – powiedział Heinemann. – Wobec tego nie będę już dłużej przeszkadzał. Nie wie pan, czy pani Mathisen obok jest może w domu?

Engel sprawdził, która jest godzina.

– Zwykle wraca koło piątej – poinformował. – Więc może będzie miał pan szczęście...

– Zobaczymy – odparł Heinemann. – Jeszcze raz przepraszam za najście.

– Nie ma za co – odpowiedział Ruben Engel. – A tak przy okazji: ta para kochanków właśnie się wyprowadza.

– Słucham? – spytał Heinemann.

– No ta para pode mną. Pewnie trafiło im się coś lepszego. Wynoszą się stąd.

– Naprawdę? – upewniał się Heinemann. – Nie wiedzieliśmy o tym. Dziękuję za informację.

– Proszę – powiedział Engel.

Ceremonia pogrzebowa Marie-Louise Leverkus odbyła się w nawie bocznej kościoła Keymer. Poza księdzem i przedstawicielem firmy pogrzebowej uczestniczyły w niej jeszcze cztery osoby, same kobiety.

Najbliżej trumny – prostego modelu z drewnianych płyt sprasowanych, przykrytej podczas uroczystości zielonym suknem, wspaniałomyślnie zakrywającym wszelkie niedostatki – siedziała Ruth Leverkus jako przedstawicielka najbliższej rodziny. Za nią pozostałe trzy żałobnice: całkiem z lewej Emmeline von Post, pośrodku blada pani w podobnym wieku, która – jak domyślili się Münster i Moreno – była pewnie tą Regine Svendsen, która opowiedziała Heinemannowi o pamiętnikach, i po prawej elegancko ubrana kobieta w wieku około czterdziestu pięciu lat, o której ani Moreno, ani Münster nie wiedzieli, kim jest.

Oni sami zajęli strategicznie korzystne miejsca w środkowej nawie; siedzieli na twardych, pociągniętych jasną bejcą ławkach i ukradkiem kartkowali swoje śpiewniki, jednocześnie dyskretnie obserwując prostą ceremonię odbywającą się piętnaście metrów dalej.

– Kim jest ta młodsza kobieta? – szepnął Münster.

Moreno pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia. A dlaczego syn nie przyjechał?

– Jest chory – wyjaśnił Münster. – Tak przynajmniej twierdzi. Rooth rozmawiał z nim przez telefon dziś rano.

– Hm – odezwała się Moreno. – Czyli dzisiaj z nim sobie nie pogadamy. Czy mam zagadnąć tę damę już po wszystkim? Musi być jakoś związana z rodziną.

– Równie dobrze może być tak zwaną hieną pogrzebową – ostrzegł ją Münster. – Jest ich parę rodzajów. Ale bardzo proszę, spróbuj. A ja sprawdzę, czy da się zamienić słówko z córką.

Uświadomił sobie, że dobrze mu się tak siedzi w tej ciasnej kościelnej ławce, przyciśniętym blisko do Ewy Moreno. Szeptał jej do samego ucha, czuł, jak jej włosy muskają mu twarz.

Mów dalej, księżulku, mów dalej, pomyślał. Postaraj się, żeby ten rytuał trwał jak najdłużej, nic się nie stanie, jeśli zajmie całe popołudnie.

Co ja, u diabła, wyprawiam? – pomyślał po chwili. Mimo że siedział w kościele ze śpiewnikiem w dłoni.

– Nie szkodzi, nie szkodzi – powiedziała kobieta, która nazywała się Lene Bauer. – Już kilka razy myślałam, żeby do was zadzwonić, ale jakoś się nie złożyło... choć jeśli mam być szczerą, to tak naprawdę niewiele mogę wam powiedzieć.

Idąc za propozycją Lene Bauer, przysiadły w ustronnym kącie baru U Rügera przy Wuijsenweg, naprzeciwko kościoła. Moreno od razu poczuła sympatię do tej kobiety, która – jak poinformowała – specjalnie zwolniła się z pracy w bibliotece w Linzhuisen, żeby móc uczestniczyć w pogrzebie. Jej pokrewieństwo z Marie-Louise Leverkus nie było specjalnie bliskie. Matka Lene Bauer i zmarła były kuzynkami, ale przez ostatnie dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat nie utrzymywały ze sobą żadnych kontaktów.

Jednak Lene Bauer śledziła całą historię w gazetach i telewizji. Obie rodziny miały ze sobą ściślejszy kontakt w latach sześćdziesiątych.

– Wspólne wakacje nad morzem – opowiadała. – W Lejnice, Oosterbrügge i tak dalej. Przypuszczam, że wychodziło taniej, jak się razem zrzucaliśmy. Czyli moja mama i Marie-Louise, no i my, dzieci. Ja, Ruth, Irene i Mauritz... ja najczęściej bawiłam się z Ruth, jesteśmy równolatkami.

Nasi ojcowie, czyli mój tata i Waldemar, odwiedzali nas tylko czasami w ten czy ów wieczór, no i zostawali na weekendy... mniej więcej tak to wyglądało.

– Czy już później nie utrzymywała pani żadnego kontaktu z dziećmi Leverkusnów? – spytała Moreno.

– Nie – odparła kobieta i zrobiła taką minę, jakby miała wyrzuty sumienia.  
– Na początku lat siedemdziesiątych wymieniłam z Ruth kilka listów, ale potem dosyć wcześnie wyszłam za mąż i byłam zajęta czym innym. Dzieci, dom i tak dalej. Poza tym przez wiele lat mieszkałam w Borghjem.

Moreno zastanowiła się przez chwilę. Popijając wino, które sobie zamówiły, myślała, co powinna teraz zrobić. Nie ulegało wątpliwości, że ta oto kobieta siedząca naprzeciw niej ma ochotę wyrzucić z siebie coś, co leży jej na sercu. Czego jednak nie opowie, jeżeli nie usłyszy odpowiednich pytań.

A może tylko się jej tak wydawało? Zawodna kobieca intuicja? Trudno powiedzieć.

– Jak się pani wtedy bawiła podczas tych wspólnych wakacji? – spytała ostrożnie. – A w ogóle to ile razy tam byliście?

– Trzy albo cztery – powiedziała Lene Bauer. – Tak naprawdę to już nie pamiętam. Za każdym razem po kilka tygodni. Ja miałam wtedy między dziesięć a piętnaście lat. Słuchaliśmy Beatlesów. Ruth przywoziła ze sobą swój magnetofon. Całkiem mi się tam podobało. Gdyby nie ten Mauritz.

– A co z nim? – spytała Moreno wyczekująco.

Lene Bauer popiła trochę wina, zanim odpowiedziała.

– Był strasznie uciążliwy. Oczywiście można mu było współczuć, bo on jeden, na dodatek najmłodszy, i trzy dziewczynki, ale po prostu nie dało się patrzeć, jak się przyklejał do tych swoich sióstr, szczególnie do Irene. Wręcz nie dawał jej spokoju, ani na chwilę, a ona nigdy się przed nim nie broniła. Wyglupiała się z nim, budowała mu zamki z piasku, malowała obrazki i czytała bajki wieczorem przed zaśnięciem. Zajmowała się nim godzinami... ja i Ruth trzymałyśmy się raczej z boku i przerzucałyśmy całą odpowiedzialność na Irene. Ale pamiętam, że mimo to miałam z nim problemy. Jednak nikt nigdy nic mu nie powiedział, a on nigdy nie okazał choćby odrobiny wdzięczności.

– Rozumiem – powiedziała Moreno. – Czy właśnie o tym chciała mi pani



opowiedzieć?

Lene Bauer lekko wzruszyła ramionami.

– Tak naprawdę to nie wiem – powiedziała. – Oni wszyscy tak jakoś znowu przyszli mi do głowy, kiedy usłyszałam o tej strasznej historii. Nie mogłam tego pojąć.

– Domyślam się, że to musiał być dla pani szok – stwierdziła Moreno.

– I to podwójny – zauważyła Lene Bauer. – Samo morderstwo, no i fakt, że właśnie ona się go dopuściła. Chyba musiała go nienawidzić.

Moreno kiwnęła głową.

– Prawdopodobnie. Czy orientowała się pani, jakie były między nimi relacje? Wówczas, trzydzieści lat temu?

– Nie – powiedziała Lene Bauer. – Sama się nad tym teraz zastanawiam, ale przecież wtedy byłam dzieckiem. Nie miałam pojęcia o takich sprawach, poza tym Waldemara widywałam dosyć rzadko. Pojawił się u nas nad morzem zaledwie kilka razy... nie, naprawdę nie wiem.

– Czyli przypomina pani sobie głównie dzieci?

Lene Bauer westchnęła i wyciągnęła z torebki papierosa.

– Tak. No i to nieszczęście z Irene. Jakoś zawsze miałam poczucie, że wszystko się ze sobą wiąże i jedno z drugiego wynika – jej potrzeba opiekuńczości w stosunku do Mauritz'a i ta jej choroba. Coś było nie tak, ale oczywiście łatwo jest teraz spekulować. Jeśli dobrze rozumiałam, Irene weszła w ciemność tak po prostu, bez jakiegokolwiek fazy przejściowej. Miała niespełna dwadzieścia lat, czyli minęło już ładnych parę lat od tamtych naszych wakacji, więc nie mam pojęcia, o co chodziło. Można co najwyżej zgadywać, ale to niewiele zmienia... łatwo jest się teraz wymądrzać.

Zamilkła. Moreno przyglądała się swojej rozmówczyni, gdy ta sięgnęła po zapalniczkę i zapaliła sobie papierosa.

– Wie pani, że Ruth jest lesbijką? – spytała kobietę, głównie dlatego, że nie wiedziała, w jakim kierunku ma teraz poprowadzić rozmowę. Lene Bauer zaciągnęła się mocno i kilkakrotnie powoli pokiwała głową.

– Tak – powiedziała. – Jest tyle powodów, które mogą do tego prowadzić, prawda?

Moreno nie bardzo wiedziała, jak zinterpretować tę odpowiedź. Czyżby ta elegancka kobieta miała podobne skłonności? Czy po prostu ma dość facetów? Wypiła łyk wina i po krótkim zastanowieniu doszła do wniosku, że

dosyć daleko odeszła od planowanego tematu rozmowy.

Ale o co tak naprawdę chodziło?

Bezsprzecznie dobre pytanie, stwierdziła. Jednak czegokolwiek, co chociaż w przybliżeniu mogłoby przypominać odpowiedź, nie dostrzegła, nawet cienia odpowiedzi. Przynajmniej na razie. W tym momencie.

Było tak jak zawsze. Kiedy tkwi się w samym środku śledztwa, nie widzi się lasu przez te wszystkie drzewa. Jedyne, co wtedy pomaga, to spróbować znaleźć jakąś górę lub choćby wzniesienie, na które trzeba się wdrapać, żeby zyskać widok na całość. Odrobinę dystansu.

Czuła, że Lene Bauer czeka na dalszy ciąg, niełatwo było jednak trafić na właściwy trop.

– A pani mama? – spytała na chybił trafił. – Jeszcze żyje?

– Nie – odpowiedziała Lene Bauer. – Zmarła już w osiemdziesiątym roku. Na raka. Ale nie wydaje mi się, żeby miała kontakt z Leverkusnami w ostatnich latach. Mój ojciec umarł latem. On znał ich jeszcze mniej.

Moreno skinęła głową i dopiła resztkę wina. Potem postanowiła, że pora skończyć. Podziękowała Lene Bauer za życzliwość i wyraziła nadzieję, że będzie mogła się do niej ponownie zwrócić, jeśli wyłoni się coś, w czym być może przyda się jej pomoc.

Lene Bauer podała jej swoją wizytówkę i oznajmiła, że mogą do niej dzwonić, kiedy tylko zechcą.

Miło, że są ludzie, którzy okazują w tej sprawie przynajmniej minimalną wolę współpracy, pomyślała Moreno po wyjściu z baru. Ale wielu ich nie ma, to raczej rzadkość.

Jaką wartość jednak mógł mieć wkład Lene Bauer w szerszym kontekście, tego nie potrafiła określić. Przynajmniej w tej chwili. W samym środku lasu, i to gęstego.

Może powinnam kiedyś przyjrzeć się bliżej tym swoim metaforom, stwierdziła inspektor Moreno lekko zirytowana.

Innym razem, nie teraz. Wsiadła do samochodu i pomyślała, że w tej chwili za niczym bardziej nie tęskni niż za tym, by przedyskutować sprawę z inspektorem Münsterem. Najchętniej identycznie jak przed południem w kościele, czyli tak konfidencjonalnie, szeptem, ale może za wiele wymaga.

Prawdopodobnie zdecydowanie za wiele. Uruchomiła samochód.

Najlepiej przełożyć tę rozmowę na jutrzejszy dzień, postanowiła. Tak na wszelki wypadek.

Następnie inspektor Moreno udała się do swego przejściowego lokum i cały wieczór zastanawiała się nad walką płci.

Rooth i Jung wspólnie z posterunkowymi Klempje i Dillingerem we wtorek, po pogrzebie, przez cztery długie godziny przeczesywali mieszkanie Leverkusnów przy Kolderweg.

Pewnie poszłoby im szybciej, gdyby byli bez pomocników, stwierdził już po wszystkim Jung. Dillingerowi bowiem z czystej nadgorliwości i przerostu ambicji zdarzyło się zedrzeć ze ściany szafkę łazienkową, która tkwiła w tym miejscu pewnie od dziesięcioleci (ponieważ żaden z właścicieli mieszkania już nie żył, Rooth liczył na to, że nie będą mieli problemów z rekompensatą za szkody), z kolei pokaźna powłoka cielesna Klempjego niemal cały czas stawała im na drodze, dopóki Jung się nad nim nie zlitował i nie dał mu wyraźnego rozkazu, aby udał się na górę i sprawdził strych.

– Tak jest, kapitanie – powiedział Klempje, po czym zsalutował i zniknął na schodach. Kiedy chwilę później Jung poszedł na górę, żeby sprawdzić, jak idzie praca, okazało się, że posterunkowy, używając nożyc do metalu, wdarł się do należącej do pani Mathisen szczelnie wypełnionej komórki na poddaszu i przeważającą część zawartości wyniósł do wąskiego korytarza za drzwiami. Było tego niemało. Jung ściągnął więc do pomocy Dillingera, dał im obu jeszcze dokładniejsze instrukcje i ich zostawił. Po półtorej godzinie posterunkowi zeszli na dół i złożyli raport (przy czym Klempje wyglądał na podejrzenie wyspanego): nie znalazły się żadne pamiątniki, ani w komórce Mathisen, ani w komórce Leverkusnów.

To pewne jak amen w pacierzu i dziwki na Zwille. Nie wyszperali choćby jednej jedynej kartki z notesu. I tyle.

Jung westchnął i stwierdził, że to samo oni mogli powiedzieć o mieszkaniu. Choć w innych słowach.

– Zasnana robota – rzucił Rooth, zamykając drzwi na klucz. – Zgłodniałem.

– Coś jest nie tak z twoim metabolizmem – oznajmił Jung.

– A co to takiego? – spytał Klempje i ziewnął tak szeroko, że aż zatrzeszczało mu w szczękach. – Ja też bym coś zjadł.

Jung westchnął znowu.

– Chociaż może to ma jakieś znaczenie – rzekł – jeśli przyjrzeć się temu bliżej.

– Co masz na myśli? – spytał Rooth.

– Nie rozumiesz?

– Nie – przyznał Rooth. – No, nie dręcz mnie. Już nie mogę wytrzymać.

Jung prychnął.

– Niektórych gliniarzy da się przekupić bułką – zaczął. – No więc tak: jeśli ona, ta Leverkuhn, faktycznie pisała pamiętniki czy inne dzienniki i gdzieś je ukryła albo się ich pozbyła, to znaczy, że coś w nich musiało być. Coś, czego nie chciała nikomu udostępnić do czytania. Mam rację?

Rooth zastanawiał się nad tym w drodze do samochodu.

– E tam – powiedział w końcu. – To przecież normalne. Kto twoim zdaniem chciałby, do cholery, zostawić po sobie całą stertę dzienników dla potomnych? Niezależnie od tego, co w nich jest. Ja w każdym razie bym nie chciał. Czyli to znaczy tyle co nic.

Jung uznał, że jest w tym może trochę racji, ale uważał, że to jeszcze nie powód, aby ją przyznać.

– Nie wiedziałem, że ty umiesz pisać – powiedział tylko.

– Jasne, że umie – wtrącił się Klempje, dłubiąc w nosie. – Co za głupie gadanie.

Po powrocie na komendę Jung i Rooth odbyli w areszcie śledczym rozmowę z inspektorem Fullerem, z której z całą oczywistością wynikało, że Marie-Louise Leverkuhn nie oddawała się jakimkolwiek pisaniu dzienników podczas swego sześciotygodniowego pobytu w celi numer dwanaście. Ani w zeszytach w ceratowych okładkach, ani w żadnych innych. Fuller ręczył za to swoją cnotą, jak się wyraził.

Na wszelki wypadek woleli potwierdzić to jeszcze u strażników, jak również u zaspanego księdza, ale informacja uzyskana od wszystkich była jednoznaczna. Mimo że żadnych innych cnót nie rzucono na szalę.

Nie istniały żadne dzienniki. Po prostu.

– No cóż – powiedział Rooth. – Czyli to już wiemy. Wygląda na to, że

w tej wesołej loterii są same puste losy.

Kiedy Münster właśnie wybierał się do domu, zadzwonił do niego Reinhart.

– Masz kwadrans?

– Tak, ale nie więcej – powiedział Münster. – Wpadniesz?

– Lepiej ty przyjdź do mnie – zaproponował Reinhart. – Będę mógł sobie spokojnie zapalić. Jest parę spraw, które mnie zastanawiają.

– Jestem za dwie minuty – obiecał Münster.

Reinhart stał przy oknie i wpatrywał się w padający za szybą śnieg z deszczem, gdy Münster wszedł do środka.

– Pamiętam, że nasz komisarz twierdził zawsze, że styczeń to najgorszy miesiąc roku – zaczął. – Muszę przyznać, że się z nim zgadzam. Dzisiaj dopiero siódmy, a mam poczucie, jakby trwał już całą wieczność.

– A czy to przypadkiem nie dlatego, że dopiero niedawno wróciłeś do pracy? – zwrócił uwagę Münster.

– Nie sądzę – odparł Reinhart i zapalił fajkę. – No więc mam kilka teoretycznych pytań.

– Super – powiedział Münster. – Mam już dość tej całej praktyczności.

Reinhart usiadł za biurkiem, przekręcił krzesło i oparł nogi na trzeciej półce regału, gdzie dokładnie w tym celu znajdowało się puste miejsce.

– Wierzysz w to, że ona jest niewinna? – spytał.

Münster popatrzył przez pięć sekund na to, co działo się za oknem, po czym odpowiedział:

– Nie wykluczam.

– To po co by się przyznawała, skoro tego nie zrobiła?

– Jest kilka możliwości.

– Na przykład?

Münster się zastanowił.

– Dokładnie rzecz biorąc, jedna.

– Jedna? – powtórzył Reinhart. – Ja to nazywam: wielość.

– Co za różnica – obruszył się Münster. – Zwał, jak zwał, ale przecież nie można wykluczyć, że ona kogoś chroniła... albo sądziła, że to robi. Ale to oczywiście tylko spekulacje.

– A kogo mogłabyście chcieć chronić?

Zadzwonił telefon. Reinhart przycisnął guzik i odrzucił połączenie.

– To przecież oczywiste – powiedział Münster lekko zirytowany. – Wpadłem na to na samym początku, jednak wciąż nie mamy niczego na potwierdzenie mojej teorii. Nawet najmniejszego drobiazgu.

Reinhart kiwał głową, przygryzając ustnik.

– Ale jest jeszcze pani Van Eck – kontynuował Münster. – I ten przekłęty Bonger. Nie uważasz, że to trochę komplikuje obraz?

– Z pewnością – przyznał Reinhart. – Z pewnością. Próbowałem dzisiaj porozmawiać z tym biedakiem jej mężem, który wylądował w Majorna. Nie zostało w nim już wiele życia... No ale co zamierzasz dalej robić? Konkretnie.

Münster rozparł się wygodnie i zaczął bujać się na krześle.

– Pójdźmy śladem tego prostego toku myślenia – odezwał się po chwili zadumy. – Żeby przynajmniej sprawdzić, jak daleko nas zaprowadzi. Muszę jeszcze raz wybrać się z kilkoma wizytami. Na pogrzeb przyszło tylko jedno z rodzeństwa, więc nie mogliśmy wiele zdziałać... zresztą takie rzucanie się na bliskich zaraz po pogrzebie nie należy do przyjemności.

– Fakt, znam większe – zgodził się Reinhart. – Kiedy jedziesz?

– Jutro – rzekł Münster. – Oni wszyscy mieszkają dosyć daleko na północy, więc niewykluczone, że zrobi się z tego dwudniowa eskapada.

Reinhart zamyślił się przez chwilę. Następnie zdjął nogi z półki i odłożył fajkę.

– To faktycznie cholernie dziwna historia, nie uważasz? – powiedział. – I mało sympatyczna.

– Racja – przyznał Münster. – Ale może to wszystko jedynie przypadek? W końcu minęły już dwa miesiące, a nawet więcej, i dopiero teraz zacznę przeczuwać zarys motywu.

– Hm – odezwał się Reinhart. – Czy on obejmuje też Else Van Eck?

– Nie wiem do końca – odparł Münster. – Na razie to diabelnie powierzchowny zarys.

Nagle twarz Reinharta rozpromieniła się w uśmiechu.

– A niech cię! – rzucił. – Zaczynasz mówić jak nasz komisarz. Czyżbyś zaczął się starzeć?

– Tak, i to bardzo – nie zaprzeczył Münster. – Jeżeli niedługo nie dostanę wolnego na tydzień, to moje dzieci zaczną mnie uważać za swojego dziadka.

– Tydzień wolnego, o tak – westchnął Reinhart, a w jego oczach pojawiło się rozmarzenie. – Dostyc już, dostyc, do cholery! Idziemy do domu. Czyli widzimy się za dwa dni. Informuj nas na bieżąco.

– Oczywiście – odparł Münster i otworzył drzwi pokoju inspektora Reinharta.



Tego ranka zostawił godzinę tylko dla siebie. Pościelił łóżko, zmył naczynia, odwiózł Marieke do przedszkola i wyjechał z Maardam około dziesiątej. Smagający z ukosa deszcz napływał falami znad morza, dlatego cieszył się, że nad jego głową jest przynajmniej dach samochodu.

Za towarzysza podróży miał jedynie dotkliwe zmęczenie. Dopiero kiedy na stacji benzynowej przy autostradzie wypił dwie filiżanki kawy, poczuł się jako tako rozbudzony i odzyskał jasność umysłu. Van Veeteren zwykł mawiać, że nie ma nic lepszego niż długa jazda samochodem – w majestacie samotności – jeśli chce się rozplątać splątane kłęby myśli, toteż gdy Münster ruszył, żywił cichą nadzieję, że również w jego przypadku to się sprawdzi.

Bo miał przecież to i owo do rozwikłania. Nie jeden kłęb, ale kilka.

Po pierwsze – Synn. Liczył na to, że wczoraj wieczorem, kiedy dzieci pójdą spać, oni porozmawiają ze sobą szczerze, ale tak się nie stało. Stało się wręcz odwrotnie. Synn położyła się na swojej połowie łóżka i zgasiła lampkę, zanim on przyszedł do sypialni, a kiedy nieco później próbował nieśmiało przypomnieć jej o sobie, ona już spała.

Albo tylko udawała, trudno powiedzieć. Leżał potem z otwartymi oczami aż do drugiej w nocy i czuł się podle, a kiedy w końcu zasnął, przyśniła mu się Ewa Moreno. Jakby na złość.

Czy to już koniec? – zastanawiał się, wjeżdżając coraz wyżej między wzniesienia koło Wissborka. Czy to tak właśnie wygląda, kiedy ludzie zaczynają się od siebie oddalać?

Nie miał pojęcia. No bo skąd, do cholery, miał wiedzieć?

Człowiek ma tylko jedno życie, stwierdził. Tylko to jedno jedyne. Swoje własne. I wszelkie porównania są naiwne i absurdalne. Synn jest niepowtarzalna, on jest niepowtarzalny, podobnie ich rodzina i ich relacje. Nie istnieją żadne wytyczne. Nic, czym można by się kierować. Wyłącznie uczucie i intuicja. Do jasnej cholery.

Nie chcę wiedzieć, stwierdził nagle. Nie chcę wiedzieć, jak to się potoczy. Lepiej być ślepym i nie tracić nadziei.

Jednak Synn na pewno miała rację przynajmniej w jednym, był to w stanie dostrzec nawet tak zatyraną inspektor kryminalny jak on. Tak po prostu dalej się nie da. Jeśli nie zdołają zmienić uwarunkowań, zrobić czegoś radykalnego z codziennością i wszystkim, co ich wiąże, to... no tak, będą musieli uznać, że siedzą w pociągu, który powoli, ale nieubłagane zbliża się do stacji końcowej, gdzie można tylko wysiąść i pójść każde w swoją stronę. Czy tego chcą, czy nie.

Ciekawe, czy ona też ma wyrzuty sumienia jak ja? – przemknęło mu przez głowę w którymś momencie.

Czy ten aspekt też jest określony przez rolę płci? Jeśli przyjrzeć się bliżej, może to jest obrona właśnie przed wyrzutami sumienia – ta opanowana, kobieca pewność siebie, której nic nie może zachwiać i której on za nic nie potrafi zrozumieć.

Którą jednak kocha.

Niech to diabli wezmą, zaklął w duchu. Im więcej się nad tym zastanawiam, tym mniej pojmuję, stwierdził w końcu.

Dopiero po przejechaniu co najmniej stu kilometrów był w stanie skupić się na pracy i dochodzeniu.

Na sprawie Leverkusna.

Na sprawie Leverkusna – Bongera – Van Eck.

Policzył i doszedł do wniosku, że zajmuje się nią już od ponad dziesięciu tygodni. Co prawda, mówiąc szczerze, przez znaczną część tego czasu stali w miejscu; cały listopad i pół grudnia, kiedy pani Leverkusn siedziała w areszcie, a w sprawie Else Van Eck nie natrafili na najmniejszy nawet ślad.

A potem, na tydzień przed Bożym Narodzeniem, nastąpiła lawina wydarzeń. Najpierw samobójstwo Marie-Louise Leverkusn, a potem odkrycie w Lesie Weylera.

Zupełnie jakby wszystko czekało tylko na to, żeby popsuć mu świąteczny urlop, stwierdził ponuro. Odebrać mu szansę na zatrzymanie pociągu zmierzającego ku katastrofie. Oczywiście później cały czas wypływały nowe szczegóły – same kaczki dziennikarskie, jak określił to Rooth.

Na przykład pamiętniki. Na pewno powstały, co do tego nie ma wątpliwości, ale czy jeszcze gdzieś istnieją i czy kiedykolwiek uda im się

dowiedzieć, co w nich było (jeśli ich zawartość w ogóle miała dla nich jakąkolwiek wartość) – raczej trudno na to liczyć.

Albo relacja dalekiej krewnej spisana przez Moreno – żeby wziąć inny przykład. O stosunkach w rodzinie podczas pobytów nad morzem w latach sześćdziesiątych. Jakie to właściwie może mieć znaczenie?

Czy wczorajsza rozmowa z Reinhartem, który mimo że nie siedział głęboko w śledztwie, zdawał się podążać tym samym tokiem myślenia co Münster, choć to może nic nadzwyczajnego. Reinhart już nieraz okazał się bardziej przenikliwy niż cała reszta.

No i rozmowa ze zdecydowanie mało sympatyczną Ruth Leverkusną zaraz po pogrzebie. Też nie wniosła wiele. Szkoda, że wtedy jeszcze nie wiedział tego, o czym opowiedziała Lene Bauer. Ciekawe, jaki mógłby być jej komentarz na ten temat.

Hm, czyli jednak jest kilka punktów zaczepienia.

Albo pułapek, przyjmując pesymistyczne podejście Rootha.

À propos punktów zaczepienia, nie mógł przestać myśleć o swojej rozmowie z Van Veeterenem wczoraj wieczorem. Komisarz zadzwonił około dziewiątej, żeby dowiedzieć się, jak postępuje śledztwo. To, o co pytał, i co mu leżało na sercu, Münsterowi w niczym nie pomogło. Jego dawny przełożony mruczał coś pod nosem i mówił zagadkami, dokładnie jak dawniej, kiedy coś zaczynało wykluwać się w jego głowie. Münster spotkał się z nim i przedstawił mu swoje zamiary, Van Veeteren zaś poprosił go, aby był ostrożny. Wręcz go ostrzegł, jednak żadnych dokładniejszych wskazówek ani dobrych rad nie zdołał z niego wycisnąć.

Swoją drogą ciekawe! Czyżby zamierzał wrócić? Sprzykrzyło mu się życie antykwariusza?

Nie sposób przewidzieć, stwierdził Münster. Nie po raz pierwszy, kiedy chodziło o Van Veeterena.

Tymczasem na Kolderweg para Menakdisede Booning właśnie się wyprowadzała. Seksmaszyny! Albo *la Rouge et le Noir*, jak nieco bardziej romantycznie ochrzciła ich Moreno. Dlaczego? I dlaczego akurat teraz? Można było w ogóle odnieść wrażenie, że niedługo cały dom się wyludni. Nie ma już Leverkusnów. U dozorczy też nikogo, a przynajmniej dopóki Arnold Van Eck nie wróci z Majorna. No i teraz ci młodzi. Zostali jeszcze tylko pani Mathisen i stary Engel.

Cholera jasna, pomyślał Münster. Co, u licha, się tam dzieje?

O godzinie pierwszej miał jeszcze co najmniej godzinę drogi przed sobą, postanowił więc zjeść obiad. Zjechał z autostrady na północ za Saaren i zatrzymał się przed jednym z tych postmodernistycznych przydrożnych bunkrów restauracyjnych dla postmodernistycznych podróżnych. Wszedł do środka i usiadł przy stoliku blisko okna – z widokiem na deszcz, parking i cztery skarłowaciałe modrzewie. Postanowił trochę usystematyzować swoje rozważania. Otworzył na nowej stronie notes, który wziął ze sobą z samochodu, i zaczął zapisywać wszystko, o czym myślał przez ostatnią godzinę jazdy. W punktach. Kiedy potem przeżuwał żylasty sznycel, cały czas miał przed oczami listę, żeby się przekonać, czy da się z niej wysnuć jakieś nowe, śmiałe wnioski. Albo przynajmniej stare, ostrożne. Na dole strony było jeszcze pięć centymetrów miejsca na zanotowanie konkluzji.

Gdy skończył jeść, wolne centymetry pozostały dalej niezapełnione, mimo to on – z jakiegoś niezrozumiałego powodu – czuł się pewny jednego. Wyłącznie jednego.

Że jest na właściwej drodze.

W miarę pewny. Ślepy żółw nabierał prędkości piguły śnieżnej.

We Frigge wiało prawie tak mocno jak podczas sztormu. Kiedy Münster wysiadł z samochodu na okrągłym, otwartym placu przed dworcem kolejowym, musiał się aż zaprzeć, żeby móc w ogóle ruszyć z miejsca. Na dworcu dostał plan miasta od wyjątkowo sympatycznej młodej kobiety z okienka z biletami i dowiedział się, jak może dotrzeć tam, gdzie zmierzał. Podziękował jej za tę uprzejmą pomoc, na co ona z ciepłym uśmiechem wyjaśniła, że jej mąż też pracuje w policji i że ona doskonale wie, co to znaczy.

No proszę, pomyślał Münster. Świat jest pełen życzliwych żon policjantów.

Następnie wyszedł z powrotem na dwór, tym razem odchylony do tyłu. Wsiadł do samochodu i przyjrzał się wskazówkom, które otrzymał. Wyglądało na to, że Mauritz Leverkusn mieszka w jednej z podmiejskich miejscowości, gdzie stoją pewnie same domki jednorodzinne, szeregowce i co najwyżej kilka niskich bloków. Sprawdził, która godzina. Dochodziło dopiero wpół do czwartej, skoro jednak Mauritz Leverkusn – jak sam twierdził – leży w łóżku złożony grypą, nie ma powodu, by sądzić, że nie zostanie go w domu.

Zadzwonienie wcześniej i umówienie się na spotkanie nie wchodziło w rachubę. Nie było planowane. Wykluczone, pomyślał Münster. Jeśli chce się złapać byka za rogi, nie jest raczej wskazane, by uprzednio pytać go o pozwolenie.

Miejscowość nazywała się Gochtshuuis. Leżała na zachodnich peryferiach miasta. Włączył silnik i ruszył z placu.

Znalezienie właściwego adresu zajęło mu dobry kwadrans. Dosyć ponure osiedle niskich szeregowców z lat siedemdziesiątych wzdłuż kanału i wąski pas zagajników ciągnący się aż po bagnisty płaski teren i ciemny las. Prawdopodobnie posadzono je dla osłony przed wiatrem. Wszystkie drzewa rosły pochylone pod jednakowym kątem. Dom Mauritza Leverkusna stał na samym krańcu, gdzie droga kończyła się skrzynkami na listy, składowiskiem śmieci i placykiem do zawracania dla autobusów.

Szarość betonu. Dwie niskie kondygnacje, dziesięć metrów szerokości i rozległa, wilgotna plama trawnika od frontu. Przypuszczalnie to samo również od tyłu. Aż do linii lasu. Zapadał już zmrok i Münster zauważył zapalone światło w dwóch oknach.

No dobrze, powiedział w duchu i wysiadł z samochodu.

Gdyby inspektor Münster pomyślał o tym, żeby zabrać ze sobą telefon z auta, podczas gdy jadł obiad, prawdopodobnie miałby okazję zapełnić te ostatnie puste linijki na stronie swojego notesu.

Nie konkluzjami oczywiście, ale kolejnym punktem na liście, dotyczącym nowych okoliczności w sprawie.

Tuż po wpół do drugiej bowiem usiłował się do niego dodzwonić inspektor Rooth – bez powodzenia, niestety – aby poinformować go o najświeższym znalezisku w Lesie Weylera. To, że potem już nie próbowano się z nim skontaktować, częściowo należy przypisać faktowi, iż zapomniano o tym w powszechnym zamieszaniu będącym następstwem owego odkrycia, a częściowo temu, że – mimo wszystko – wciąż nie było jasne, jakie ono może mieć znaczenie.

I czy w ogóle ma jakiegokolwiek. Co się właściwie stało? Kiedy tradycyjna, licząca kilkunastu funkcjonariuszy grupa poszukiwawcza mniej więcej godzinę po świcie przystąpiła do wykonywania swoich czynności, czyli do przeczesywania już niemal całkowicie zdeptanego terenu lasu, natrafiła na brakujące tak zwane części intymne Else Van Eck oraz na miednicę, kawałek

kręgosłupa i dwa dosyć obfite pośladki w stosunkowo dobrym stanie. Podobnie jak poprzednim razem wszystko było niedbale wciśnięte do jasnożółtej foliowej torby i równie niedbale schowane w zarośniętym dole. Organy wewnętrzne, jak jelita, żołądek, wątroba i nerki, były usunięte, ale najbardziej interesujące okazało się to, że gdy wszystkie te skarby wyłożono z siatki na stół sekcyjny w Zakładzie Medycyny Sądowej, odkryto, że z jednej z licznych i głębokich fałd ciała, które – co logiczne – musiały być przymiotem kobiety o gabarytach pani Van Eck, wystawał kawałek papieru.

Niewielki, ale jednak. Doktor Meusse własnoręcznie podniósł z najwyższą ostrożnością ochłap rozkładającego się mięsa i wydobyl z niego ów skrawek w nienaruszonym stanie.

Nie ma jeszcze co wiwatować, zauważył chłodno doktor, co wszakże nie powstrzymało entuzjazmu innych. Był to zabrudzony mały strzęp papieru mniej więcej o kształcie banana. Zaplamiony krwią i nie tylko, lecz mimo to nie ulegało wątpliwości, że jest to mały fragment codziennej gazety.

Meusse był oczywiście świadom wagi znaleziska i natychmiast zlecił dostarczenie go kurierem do Instytutu Chemii Sądowej w tej samej dzielnicy. Rooth i Reinhart dowiedzieli się o tej nowinie prawie od razu i przesiadzieli znaczną część popołudnia w siedzibie instytutu – choć nie przyspieszyli w ten sposób wyników badań, to przynajmniej byli informowani na bieżąco. Rzecz jasna, mogli równie dobrze czekać na nie przy telefonie, ale ani jednemu, ani drugiemu nie odpowiadało takie rozwiązanie. Przynajmniej nie dzisiaj.

Wyniki ekspertyzy bowiem pojawiały się tym razem sukcesywnie, po trochu, prezentowane ze stosowną naukową zawilnością przez samego szefa, komisarza Muldera, człowieka o najmniejszym poczuciu humoru, jakiego Rooth kiedykolwiek spotkał.

Po godzinie na przykład ustalono wreszcie, że rzeczywiście mają do czynienia ze stroną jakiejś gazety. Przecież, do cholery, to było wiadomo od samego początku, ty ślepy bufonie, pomyślał Rooth, lecz nic nie powiedział.

Czterdzieści pięć minut później stwierdzono, że papier jest stosunkowo wysokiej jakości; co prawda nie klasy tygodników czy innych czasopism, ale na pewno nie był to gatunek występujący w zwykłych dziennikach w rodzaju „Neuwe Blatt” czy „Gazett”.

Mulder wypowiedział nazwy obu tych gazet tonem, który uświadomił Roothowi, że jego rozmówca jedynie w sytuacji ostatecznej mógłby dopuścić

do siebie myśl, by podetrzeć sobie tyłek jedną z nich.

– Chwała Bogu – powiedział Reinhart. – Bo gdyby to był „Blatt”, moglibyśmy od razu spalić to gówno!

Mniej więcej w tym samym czasie dostali fotokopię badanego strzępka. Reinhart i Rooth – a także Moreno, która właśnie do nich dołączyła – pochyliwszy się nad nią, stwierdzili, że kształt banana przebiegał niestety – by tak rzec – wertykalnie i że w związku z tym nie sposób wydedukować niczego sensownego z samego tekstu. A przynajmniej niebezpośrednio – mimo że technikom udało się odcyfrować poszczególne litery z zaskakującą wyrazistością. Odwrotną stronę niemal w dziewięćdziesięciu procentach wypełniało zamazane czarno-białe zdjęcie, z którego równie mało dało się odczytać. Wprawdzie Rooth twierdził, że to musi być przekrój poprzeczny marskiej wątroby, nie znalazł jednak dla swojej tezy poparcia wśród kolegów.

Niedługo po trzeciej przystąpiono do ostrożnej oceny rodzaju użytej czcionki – mimo że ta kwestia bynajmniej nie wchodziła w zakres kompetencji Instytutu Chemii Sądowej, co Mulder nie omieszkął z całym naciskiem podkreślić. Krój czcionki nie należał do trzech czy czterech najpopularniejszych, czyli nie był to ani Times, ani Geneva, ani nic z tych rzeczy, co naturalnie zwiększało szanse definitywnej oceny.

Kiedy wybiła piąta, inspektor Mulder zamknął sklepik na dzisiaj, wyraził jednak wcześniej pewien – naukowo powściągliwy – optymizm dotyczący wyników ekspertyz w dniu jutrzejszym.

– Mam nadzieję – powiedział Reinhart. – Chętnie jednak usłyszałbym, jakie jest prawdopodobieństwo.

– Prawdopodobieństwo? – zdziwił się Mulder, unosząc powoli jedną ze swych starannie uregulowanych brwi.

– Prawdopodobieństwo, że jutro, zanim pojedzie pan do domu, usłyszymy, o jaką dokładnie gazetę chodzi.

Mulder opuścił brew.

– Osiemdziesiąt sześć do stu – oświadczył.

– Osiemdziesiąt sześć? – powtórzył Reinhart.

– Na dzisiaj koniec – rzekł Mulder.

– Papier do pakowania – komentował potem Reinhart w samochodzie,

podrzucając inspektor Moreno do domu. – Zupełnie jak u rzeźnika.

– Przecież u rzeźnika nie zawijają mięsa w gazetę! – zaprotestowała Moreno. – Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

– Dawniej tak było – wyjaśnił Reinhart. – Jesteś za młoda, maleńka.

Jak to dobrze, że są jeszcze tacy, którzy tak uważają, pomyślała Moreno i podziękowała za podwiezienie.



Musiał dzwonić trzy razy, zanim Mauritz Leverkusn mu otworzył.

– Dzień dobry – powiedział Münster. – To znowu ja.

Dopiero po kilku sekundach gospodarz zorientował się, kto przed nim stoi, i być może właśnie ta krótka chwila dekoncentracji sprawiła, że już od samego początku Münster zyskał nad nim przewagę.

A może to wina jego choroby. W każdym razie gdy dotarło do niego, że to znowu ten sam człowiek z policji, nie zareagował z właściwą sobie agresywnością. Spojrzał na Münstera błyszczącymi, rozgorączkowanymi oczami, wzruszył obwisłymi ramionami i dał mu do zrozumienia, że może wejść.

Münster powiesił kurtkę na haku w przedpokoju i poszedł za gospodarzem do pokoju, który sprawiał wrażenie wyjątkowo chłodnego. Wręcz nasuwało się porównanie z prowizorką. Kanapa i dwa fotele wokół niskiego stolika z sosnowego drewna. Poza tym regał z czterema w sumie książkami, półmetrowej wysokości stosem taśm wideo i zbieraniną najrozmaitszych ozdóbek. Telewizor i sprzęt grający w czarnej ebonitowej obudowie. Na stoliku leżało jakieś pismo dla mężczyzn i kilka katalogów reklamowych; długi na dwa metry parapet zdobił pięciocentymetrowej wysokości kaktus oraz porcelanowa skarbonka w kształcie nagiej kobiety.

– Mieszka pan sam? – spytał Münster.

Mauritz Leverkusn usiadł na jednym z foteli. Mimo że wyraźnie jeszcze nie wyzdrowiał, był ubrany. Miał na sobie białą koszulę i niebieskie spodnie z zaprasowanym kantem. Na nogach rozdeptane domowe pantofle. Ociągał się z odpowiedzią, jakby nie wiedział, jaką przyjąć linię postępowania.

– Mieszkam tu dopiero od pół roku – powiedział w końcu. – Rozstaliśmy się.

– Byliście małżeństwem?

Mauritz Leverkusn pokręcił z wysiłkiem głową i popił coś ze szklanki,

która stała przed nim na stoliku. Coś białego i gazowanego. Münster przypuszczał, że to jakiś napój z witaminami albo środek obniżający gorączkę.

– Nie, byliśmy razem. Ale się nie udało.

– Bo to nie takie proste – stwierdził Münster. – Czyli teraz jest pan sam?

– Tak – odparł Mauritz Leverkusn. – Jestem do tego przyzwyczajony. O co panu właściwie chodzi?

Münster wyciągnął z teczki notes. Oczywiście w takiej sytuacji jak ta wcale nie musiał niczego notować, ale taki już miał nawyk, który jakby dodawał mu pewności. A przede wszystkim: dzięki niemu zyskiwał czas na zastanowienie się, kiedy udawał, że czyta swoje notatki albo coś zapisuje.

– Mamy kilka nowych ustaleń – powiedział.

– Ach tak?

– Biorąc wszystko pod uwagę, nie można wykluczyć, że pańska matka była niewinna.

– Niewinna?

W sposobie, w jaki wypowiedział to jedno słowo, nie było niczego podejrzanego. W każdym razie niczego, co Münsterowi dawałoby do myślenia. Naturalny stopień zdziwienia i powątpiewania, taki, jakiego można by się spodziewać.

– Przypuszczamy, że przyznała się do morderstwa, żeby kogoś chronić.

– Kogoś chronić? – powtórzył za nim Mauritz Leverkusn. – Ale kogo?

– Tego nie wiemy – powiedział Münster. – Ma pan jakiś pomysł?

Mauritz Leverkusn wytarł sobie czoło rękawem koszuli.

– Nie, nie mam – odparł. – Tylko dlaczego miałyby to robić? Nie rozumiem.

– Jeśli rzeczywiście było tak, jak mówię – kontynuował Münster – to by znaczyło, że pańska matka wiedziała, kto zabił pana ojca. I musiała to być osoba w jakiś sposób jej bliska.

– To znaczy? – spytał Mauritz Leverkusn.

– Czy zna pan takie osoby?

Mauritz Leverkusn kaszlał przez chwilę tak mocno, że aż wstrząsało całym jego ciałem.

– Nie – powiedział potem. – Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

Przecież pan wie, że ona nie miała wielu znajomych... nie, nie potrafię sobie tego wyobrazić. Dlaczego miałyby to zrobić?

– My też nie mamy co do tego pewności – przyznał Münster.

– A co to za nowe ustalenia, o których pan wspomniał na początku? Które niby mają na to wskazywać?

Münster najpierw przez kilka sekund wpatrywał się w swój notes, a później odpowiedział:

– Niestety nie mogę wchodzić w szczegóły. Ale mam jeszcze kilka innych spraw, o których chciałbym z panem porozmawiać.

Jest ponad miarę opanowany, pomyślał. Czy to grypa, czy jego naturalny stan? A może po prostu dobrze gra?

– O czym?

– Na przykład o pana siostrze – powiedział Münster. – Irene.

Mauritz Leverkuhn odstawił szklankę z niezamierzonym hałasem.

– To znaczy? – spytał i teraz wreszcie w jego głosie pojawiła się nuta irytacji.

– Z zakładu, w którym przebywa, przysłano nam pismo.

To było ordynarne kłamstwo, ale Münster już wcześniej zdecydował się na ten wariant. Czasami nie dawało się inaczej i trzeba było wybrać drogę na skróty. Przypomniało mu się perskie porzekadło, które kiedyś gdzieś usłyszał: „Dobre kłamstwo zmierza już z Bagdadu do Damaszku, podczas gdy prawda szuka jeszcze swoich sandałów”.

To wcale nie takie głupie, pomyślał Münster. Przynajmniej na krótką metę.

– Nie ma pan prawa jej w to wciągać – oświadczył Mauritz Leverkuhn.

– Czy ona wie, co się stało? – spytał Münster.

Mauritz Leverkuhn wzruszył ramionami, panując już trochę nad swoją agresywnością.

– Nie wiem – odpowiedział. – Ale musi pan ją zostawić w spokoju.

– Dostaliśmy pismo – powtórzył Münster.

– Nie rozumiem, po co ci z zakładu mieliby do was pisać. I co oni mówią? Münster zignorował pytanie.

– Czy ma pan z siostrą częsty kontakt? – spytał natomiast.

– Nie da się mieć kontaktu z Irene – odparł Mauritz Leverkusn. – Ona jest chora. Bardzo chora.

– To wiemy – rzekł Münster. – Ale mimo to odwiedza pan ją chyba od czasu do czasu?

Mauritz Leverkusn zawahał się chwilę i znowu popił ze szklanki.

– Nie chcę jej oglądać. Takiej, jaka jest teraz.

– Czy to prawda, że kiedyś była pana ulubioną siostrą?

– Nic panu do tego – rzucił Mauritz Leverkusn już z wyraźną wściekłością. Münster postanowił trochę spuścić z tonu.

– Przepraszam – powiedział. – Doskonale rozumiem, że to nie jest dla pana łatwe. Ale zadawanie takich pytań też nie jest miłe. Jednak na tym polega moja praca.

Cisza.

– Kiedy był pan u niej ostatni raz?

Mauritz Leverkusn wydawał się zastanawiać, czy jako linię postępowania ma teraz przyjąć milczenie. Ponownie otarł sobie czoło rękawem i spojrzął na Münstera zmęczonym wzrokiem.

– Mam gorączkę – powiedział w końcu.

– Wiem.

– Nie byłem tam od roku.

Münster zapisał coś w notesie i zamyślił się.

– Od roku?

– Tak.

– A pańscy rodzice odwiedzali ją od czasu do czasu?

– Zdaje się, że matka.

– A druga siostra?

– Nie wiem.

Münster przerwał na chwilę i popatrzył na szarawe ściany.

– Kiedy rozstał się pan ze swoją partnerką? – spytał potem.

– Słucham? – dopytał się Mauritz Leverkusn.

– Z którą pan razem mieszkał. Kiedy ona się stąd wyprowadziła?

– Nie rozumiem, jakie to może mieć znaczenie.

– Niech pan będzie tak uprzejmy i mimo wszystko mi odpowie – nalegał

Münster.

Mauritz Leverkusn przymknął na chwilę powieki i ciężko oddychał.

– Joanna... – odezwał się i otworzył oczy. – Odeszła w październiku. Mieszkała tutaj nie dłużej niż dwa tygodnie... Jak mówiłem, jakoś nam się nie układało.

W październiku, pomyślał Münster. Wszystko dzieje się w październiku.

– Bywa – powiedział.

– Tak, bywa – potwierdził Mauritz Leverkusn. – Jestem zmęczony. Powinienem wziąć lekarstwo i się położyć.

Kichnął dwa razy, jakby na potwierdzenie swych słów. Wyciągnął z kieszeni pomietą chustkę i wytarł sobie nos. Münster czekał.

– Rozumiem, że nie jest pan w formie – rzekł. – Już niedługo dam panu spokój. Lene Bauer, czy pamięta pan kogoś takiego?

– Kogo?

– Lene. Wtedy nazywała się Gruijtsen. Spędzaliście razem wakacje nad morzem w latach sześćdziesiątych.

– Ach, ta Lene! Przecież wtedy byłem jeszcze dzieckiem. Ona trzymała się głównie z Ruth.

– Ale tę historię z komórką na narzędzia pan pamięta?

– Z jaką znowu cholerną komórką na narzędzia? – spytał Mauritz Leverkusn.

– W której się pan schował, zamiast iść do szkoły.

Mauritz Leverkusn dwa razy wciągnął głęboko powietrze.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – rzekł. – Bledego pojęcia.

W hotelu przy porcie wynajął sobie pokój, który wydawał się w równie podłym stanie jak jego samopoczucie. Wziął prysznic, a potem zjadł kolację na dole w restauracji razem z dwiema podstarzałymi kobietami i pojedynczymi członkami drużyny piłki ręcznej z Oslo. Następnie wrócił na górę i zatelefonował w dwa miejsca.

Najpierw do Synn i Marieke (Barta nie było w domu, bo w środy wieczorem miał kino w szkole); do Marieke przyszła przyjaciółka, która zostawała na noc, więc córka zdążyła go tylko spytać, kiedy wróci do domu. Z żoną rozmawiał półtorej minuty.

Potem zadzwonił do Moreno. Ich rozmowa trwała pół godziny, co sporo mówiło. Moreno poinformowała go o nowej foliowej torbie znalezionej w Lesie Weylera i o trwających ekspertyzach małego skrawka gazety, ale większą część czasu gadali o czym innym.

Później nie potrafił sobie przypomnieć właściwie o czym. Łącznie przez godzinę patrzył na trzy różne filmy w telewizji, potem znowu wziął prysznic i położył się do łóżka. Nie było jeszcze jedenastej, a kiedy dochodziła druga, on wciąż jeszcze nie zasnął.

Czwartek, ósmego stycznia, był w Maardam w miarę pogodny. Co prawda nie pokazało się słońce, ale za to nie padało, nie licząc kilkakrotnej nieśmiałej mżawki przed świtem. A termometr pokazywał pięć stopni powyżej zera.

Innymi słowy: całkiem znośnie. Oprócz tego dawały się też odczuć ostrożny optymizm i wiara w postępy, jeśli chodzi o nieustające wysiłki zmierzające do uzyskania jasności w sprawie Leverkusna.

W sprawie Leverkusna – Van Eck – Bongera.

Raporty z Instytutu Chemii Sądowej napływały raz za razem. Dzisiaj zarówno Reinhart, jak i Rooth zadowolili się śledzeniem rozwoju wydarzeń przez telefon. Nie chcieli zanadto naprzykrzać się inspektorowi Mulderowi, a poza tym mieli też inne rzeczy do roboty.

Już o dziesiątej nadeszła pierwsza informacja. Nowe analizy czcionki i papieru wykazały, że skrawek papieru znaleziony wśród ziemskich pozostałości pani Van Eck pochodził z jednej z dwóch gazet: „Finanzpoost” lub „Breuwerblatt”.

Ewie Moreno zajęło zaledwie pięć sekund znalezienie ewentualnego związku z Leverkusnami.

Pixner. Waldemar Leverkusn pracował – jak długo to było? dziesięć lat? – w browarze Pixner, a „Breuwerblatt” musiał być z pewnością pisemkiem dla ludzi związanych z branżą piwowarską. Raczej mało prawdopodobne, aby prenumerata wygasła wraz z przejściem pracownika na emeryturę.

– Leverkusn – stwierdziła Moreno, kiedy ona, Reinhart, Rooth i Jung zebrali się na burzę mózgów w pokoju Reinharta. – Ta gazeta pochodzi od Leverkusnów, jestem gotowa się założyć, stawiam na to swoją cnotę.

– Powoli, powoli. – Reinhart otulił ją obłokiem dymu ze swojej fajki. – Nie chwalmy dnia przed zachodem, jak mawiają w Hollywood.

– Cnotę? – Jung zmarszczył czoło. – Ty też?

– To taka metafora – wyjaśniła Moreno.

Po kilku owocnych rozmowach telefonicznych wiedzieli już wszystko co trzeba o obu gazetach. „Finanzpoost” był typowym pismem biznesowym publikującym analizy finansowe, porady giełdowe, podatkowe i spekulacyjne. Wychodził raz w tygodniu. Nakład wynosił sto dwadzieścia pięć tysięcy egzemplarzy. Można go było prenumerować albo kupić w kiosku. W Maardam stałych czytelników było dziesięć tysięcy.

– Parszywa burżuazyjna szmata – powiedział Reinhart.

– Dla cwaniaków, którzy rządzą losami świata – dodał Rooth.

Z „Breuwerblatt” było inaczej. Ten periodyk ukazywał się raz na kwartał; był to rodzaj pisma branżowego dla pracowników sektora piwowarskiego w całym kraju. W ostatnim roku nakład wynosił szesnaście i pół tysiąca egzemplarzy. Niedostępny w wolnej sprzedaży. W Maardam miał tysiąc dwustu sześćdziesięciu stałych odbiorców. Jeden z prenumeratorów nazywał się Waldemar Leverkuhn.

– Tysiąc dwieście sześćdziesiąt osób! – powiedział Rooth. – Jak to możliwe, u diabła, żeby było u nas aż tylu ludzi pracujących w browarach?

– A ile piw wypijasz tygodniowo? – spytał Jung.

– No, jeśli spojrzeć na to od tej strony... – zgodził się Rooth.

Jednogłośnie postanowili odsunąć finanse na bok i zająć się znacznie szlachetniejszą produkcją piwa, lecz zanim zdążyli do tego przejść, rozległo się pukanie do drzwi i po chwili ich oczom ukazała się korpulentna postać lingwisty o nazwisku Winckelhübe, specjalisty od semiotyki i analizy tekstów. Reinhart przypomniał sobie, że poprzedniego wieczoru zadzwonił na uniwersytet w Maardam. Teraz niezbyt chętnie musiał poświęcić chwilę temu mężczyźnie. Opisał mu z grubsza sytuację, wręczył kopię najnowszej ekspertyzy czasopism, zaoferował osobny pokój i polecił, by Winckelhübe natychmiast go poinformował, jeśli tylko dojdzie do jakichś wniosków.

Podczas gdy Reinhart był pochłonięty instruowaniem eksperta, Moreno skontaktowała się z redakcją „Breuwerblatt”, która na szczęście znajdowała się niedaleko, w Löhr. Pół godziny później, po jak zwykle efektywnej wyprawie młodego Krausego, na stole w komendzie leżały trzy ostatnie roczniki pisma. Po dwa egzemplarze każdego wydania.

– O rany, człowiek nawet nie zdążył się obejrzeć, a już ma, co chce – powiedział Rooth. – A ja myślałem, że coś sobie przegryzę.

I znowu to Rooth znalazł poszukiwane miejsce.



– Jest! Mamy je! – wykrzyknął. – A niech to!

– Nawet ślepej kurze... – zaczął Reinhart, podchodząc do Rootha, żeby sprawdzić.

Nie było wątpliwości. Mały strzęp gazety, który wystawał z siedzenia Else Van Eck znalezione w Lesie Weylera, pochodził z ubiegłorocznego wrześnieowego numeru „Breuwerblatt”. Strona jedenasta i dwunasta. Na samej górze po lewej – dwuszpaltowa notatka o konferencji w Oostweningen poświęconej atmosferze w miejscu pracy. Zdjęcie na odwrocie przedstawiało kawałek stołu i garnitur należący do jakiegoś lokalnego notabla, który otwierał coś nowego w Aarlach.

– No i wszystko jasne – stwierdził Reinhart.

– Jak słońce – dodała Moreno.

– Wyraźnie widać, że ma marskość wątroby – powiedział Rooth, przyglądając się notablowi z bliska.

Na chwilę zaległa cisza.

– Ilu jest tych prenumeratorów? Tysiąc dwustu sześćdziesięciu? – spytał Jung. – Czyli to nie musi być wcale...

– Daj spokój z tym swoim czarnowidztwem – przerwał mu Rooth. – To przecież jasne, że skrawek pochodzi z domu Leverkusnów. I ona ma na sumieniu także Van Eck, mogę się założyć o wszystko... nawet o własny honor.

– Przenośnie? – spytała Moreno.

– Dosłownie – odparł Rooth.

Reinhart chrząknął.

– Niewykluczone, że to wskazuje na Leverkusnów – powiedział. – Ale może posłalibyśmy jednak po kawę i omówili wszystko od początku w bardziej uporządkowany sposób?

– Też jestem tego zdania – przyklasnął mu Rooth.

Podczas przerwy na kawę przyszedł jeszcze jeden raport z chemii sądowej, Reinhart zaś miał niekwestionowaną przyjemność oznajmić inspektorowi Mulderowi, że wzięli już sprawę we własne ręce.

Ponieważ trochę się im spieszy. Jeśli więc – jak przypuszczano – laboratorium ma inne zadania do wykonania, to teraz nic nie stoi na

przeszkodzie, by poświęcić się wyłącznie im.

– Rozumiem – rzekł inspektor Mulder i odłożył słuchawkę.

Reinhart zrobił to samo, po czym zapalił fajkę i uśmiechnął się złośliwie.

– To na czym stanęliśmy? – spytał i rozejrzał się wkoło.

– A niech to diabli! – wykrzyknęła inspektor Moreno.

– Tak mówi prawdziwa kobieta – rzucił Rooth.

Jednak Moreno nie zwracała na niego uwagi.

– Właśnie przyszło mi coś do głowy – powiedziała.

– Co takiego? – spytał Jung.

– Chyba wiem, jak się to wszystko odbyło – oznajmiła.

W czwartek, ósmego stycznia, było we Frigge stosunkowo pogodnie. Zanim Münster wyruszył w drogę, stwierdził, że w nocy wichura się uspokoiła, a rano powitał miasto bladym i niewyglądającym groźnie niebem oraz temperaturą zbliżoną prawdopodobnie do kilku stopni powyżej zera.

Wyjechał tuż po dziewiątej, czując identyczne zmęczenie w kościach jak przez wszystkie ostatnie miesiące. Mógł je już uważać za swojego dobrego znajomego. Albo przynajmniej za wiernego towarzysza, pomyślał w przyływie brutalnej szczerości.

Według mapy dom opieki Gellner leżał kawałek za miastem Kielno, nie więcej niż trzydzieści–czterdzieści kilometrów od Kaalbringen, gdzie kilka lat temu spędził parę tygodni, prowadząc śledztwo w sprawie słynnego zabójstwa dokonanego siekierą. Kiedy teraz, kierując się na wschód, przecinał płaski krajobraz, przypomniał sobie tamten wrzesień. Idylliczną nadmorską wioskę oraz wszystkie te przedziwne okoliczności, które w końcu doprowadziły do ujęcia sprawcy.

I inspektor Moerk. Beate Moerk. Kolejna koleżanka z pracy, do której przez moment zanadto się zbliżył. Może to jakiś defekt jego osobowości? Że nie potrafi zachować niezbędnego zawodowego dystansu?

Przez myśl przemknęło mu pytanie, co ona też może teraz robić? Czy wciąż mieszka w Kaalbringen? Czy nadal jest sama?

A Bausen! Co, u licha, porabia dzisiaj komisarz Bausen? Postanowił spytać Van Veeterena, kiedy spotka się z nim następnym razem. Jeśli ktokolwiek to wiedział, to jedynie on.

Jazda zajęła mu nie więcej niż godzinę. Tablica informująca o Gellnerhemmet z jakiegoś powodu znajdowała się przy samej głównej drodze, toteż trafienie tam nie stanowiło problemu. Zostawił samochód na parkingu mogącym pomieścić kilkaset aut, ale teraz zajęty zaledwie przez kilka pojazdów. Kierując się informacjami na szeregu dyskretnych tablic, doszedł do recepcji w niskim, podłużnym budynku na porośniętym trawą wzniesieniu. Cały kompleks wydawał się rozrzucony po dosyć dużym terenie. Składał się z dwu- i trzypiętrowych budynków w kolorach żółtym i jasnozielonym. Między nimi trawniki, mnóstwo krzewów i drzew. Niewielkie grupki sosen i modrzewie wymieszane z drzewami liściastymi otaczały pasem cały kompleks. Nieregularne alejki wyłożone kamieniami i tu i ówdzie ławki oraz stoliki. Całość sprawiała przyjazne wrażenie, ale nigdzie na zewnątrz nie było widać ani jednego człowieka.

Pewnie inaczej jest latem, pomyślał.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami miał się najpierw spotkać z kobietą, z którą dwukrotnie rozmawiał przez telefon; była to ta sama wzbudzająca zaufanie opiekunka, która na samym początku, jeszcze w październiku, przedstawiła mu obraz choroby Irene.

Kobieta nazywała się Hedda deBuuijs i miała około pięćdziesiątki. Mocno zbudowana i niska, z farbowanymi stalowymi włosami, o ciepłym uśmiechu, który niemal w ogóle nie schodził jej z ust. Münster stwierdził, że respekt, jaki odczuł wobec niej w czasie rozmów przez telefon, nie był bynajmniej przedwczesny ani nieuzasadniony.

Nie podała mu żadnych nowych informacji przed jego spotkaniem z Irene Leverkus. Wspomniała tylko, żeby zbyt wiele sobie po nim nie obiecywał, a jeśli będzie chciał, ona znajdzie jeszcze dla niego chwilę czasu po widzeniu z Irene.

Następnie zadzwoniła po pielęgniarkę. Został poprowadzony kamienną alejką do jednego z żółtych budynków na samym końcu parku.

Właściwie to nie wiedział, jak ma sobie wyobrazić spotkanie z Irene Leverkus; jeśli w ogóle można je sobie wyobrazić. Z wyglądu nie przypominała nawet w najmniejszym stopniu swojego potężnego rodzeństwa. Już prędzej matkę; była szczupła i żyłasta, na ile zdołał dostrzec pod szerokim, jasnoniebieskim szpitalnym kitlem. Trochę przygarbiona, miała długie, chude ramiona i ptasią twarz z wąskim nosem i jasnymi, osadzonymi blisko siebie oczami.

Siedziała przy stole w dosyć dużej sali i malowała coś na papierze farbami wodnymi. Przy drugim stole siedziały dwie inne kobiety, zajęte czymś w rodzaju batiku. Gdy siostra go zostawiła, usiadł naprzeciw Irene Leverkusn. Spojrzała na niego przelotnie, po czym wróciła do malowania. Münster przedstawił się.

– Nie znam pana – powiedziała Irene Leverkusn.

– To prawda – potwierdził Münster. – Ale może mimo to zechce pani ze mną trochę porozmawiać?

– Nie znam pana – powtórzyła.

– A czy nie miałyby pani nic przeciwko temu, żebym tu chwilę posiedział i popatrzył, jak pani maluje?

– Nie znam pana. Znam wszystkich tutaj.

Münster spojrział na obraz. Błękit i czerwień w dużych, rozlewających się plamach; używała za dużo wody i papier już się wybrzuszył. Wyglądało to mniej więcej tak samo jak u jego córki, kiedy zabierała się do malowania. Zauważył, że zużyte kartki w bloku mają identyczny wygląd.

– Podoba się pani tutaj? – spytał.

– Mieszkam w pokoju numer dwanaście – powiedziała Irene Leverkusn. – Numer dwanaście.

Miała niski i całkowicie bezbarwny głos. Jakby mówiła w języku, którego sama nie rozumie. Takie Münster odniósł wrażenie.

– Numer dwanaście?

– Numer dwanaście. Druga dziewczyna ma na imię Rebecka. Ja też jestem dziewczyną.

– Często ktoś tu panią odwiedza? – pytał dalej Münster.

– Pod numerem trzynaście mieszkają Liesen i Veronica – powiedziała Irene Leverkusn. – Liesen i Veronica. Pod numerem trzynaście. Ja mieszkam pod numerem dwanaście. Rebecka też mieszka pod numerem dwanaście. Dwanaście.

Münster przełknął ślinę.

– Często odwiedza panią ktoś z rodziny? Mama albo tata albo rodzeństwo?

– Ja maluję – odpowiedziała Irene Leverkusn. – Tutaj mieszkają same dziewczyny.

– Na przykład Ruth? – kontynuował Münster. – Przyjeżdża tutaj?

– Nie znam pana.

– Czy wie pani, kto to jest Mauritz?

Irene Leverkuhn nie odpowiedziała.

– Mauritz Leverkuhn. Pani brat.

– Znam wszystkich tutaj – powtórzyła Irene Leverkuhn.

– Od jak dawna pani tu jest? – spytał.

– Mieszkam w pokoju numer dwanaście – powiedziała Irene Leverkuhn.

– Czy podoba się pani, że siedzimy tu razem i rozmawiamy?

– Nie znam pana.

– Czy może mi pani powiedzieć, jak nazywają się pani mama i tata?

– Wstajemy o godzinie ósmej – rzekła Irene Leverkuhn. – Ale jak chcemy, możemy leżeć do dziewiątej. Rebecka zawsze leży do dziewiątej.

– Jak się pani nazywa? – Münster zadał kolejne pytanie.

– Mam na imię Irene. Nazywam się Irene.

– Czy ma pani rodzeństwo?

– Maluję – oznajmiła Irene Leverkuhn. – Maluję każdego dnia.

– Bardzo ładnie pani maluje – powiedział Münster.

– Maluję na niebiesko i na czerwono – dodała Irene Leverkuhn.

Münster siedział jeszcze chwilę i przyglądał się, jak kobieta kończy obraz. Kiedy był gotowy, nawet nie spojrzała na swoje dzieło, tylko odwróciła następną kartkę w bloku i zaczęła od nowa. Ani razu nie uniosła wzroku i nie spojrzała na niego, a kiedy wstał z krzesła i zostawił ją samą, sprawiała wrażenie nieświadomej tego.

A tym bardziej tego, że w ogóle tam był.

– Problem polega na tym – wyjaśniała opiekunka deBuuijs, kiedy Münster wrócił do jej gabinetu – że ona rzeczywiście dobrze się tutaj czuje. Może nawet jest szczęśliwa. Ma czterdzieści sześć lat i mówiąc szczerze, nie potrafię jej sobie wyobrazić poza tym zakładem jako członka normalnej społeczności. A pan?

– Sam nie wiem... – odezwał się Münster.

Hedda deBuuijs przyglądała mu się kilka chwil ze swym łagodnym uśmiechem.

– Wiem, co pan myśli – powiedziała w końcu. – Przecież krowy, kury i świnie też są szczęśliwe. Albo przynajmniej zadowolone... dopóki ich nie zabijemy. Ale od czegoś, co nazywamy ludzkim życiem, oczekujemy trochę więcej, czyż nie?

– Zgadza się – potaknął Münster. – Właśnie tak.

– Irene nie zawsze była taka – kontynuowała deBuuijs. – Ale kiedy zachorowała, zamknęła się w swoim małym, dobrze znanym świecie. Wcześniej nawet w nim nie czuła się bezpieczna. Chociaż w ostatnich latach, tak, od kiedy jest u nas, właściwie zawsze zachowuje się tak, jak pewnie zachowywała się podczas rozmowy z panem.

– Czyli cały czas jest wycofana? – upewniał się Münster.

– Coś w tym rodzaju. W każdym razie ona nie ma potrzeby wykraczać poza najbliższe jej otoczenie. Ani w czasie, ani w przestrzeni. Mimo to, jak powiedziałam, jest zadowolona.

Münster zamyślił się na chwilę.

– Czy jest leczona farmakologicznie?

Opiekunka zaprzeczyła ruchem głowy.

– Już nie. To znaczy nie zawsze.

– A jest poddawana jakiejś... terapii?

Uśmiechnęła się znowu.

– No tak, wiedziałam, że do tego dojdziemy – powiedziała. – Bo przecież czymś powinniśmy się wykazać, prawda? Powinniśmy przynajmniej spróbować odbudować osobistą godność... tak, Irene jest oczywiście poddawana terapii. Gdyby nie to, to pewnego pięknego dnia prawdopodobnie przestałaby, że tak powiem, w ogóle funkcjonować.

Münster czekał na dalszy ciąg.

– Częściowo pracujemy z nią tradycyjnie – wyjaśniała deBuuijs – częściowo eksperymentujemy. Naturalnie nasze eksperymenty nie wiążą się z żadnym ryzykiem, ale w przypadku Irene dają nieoczekiwane dobre rezultaty... tak przynajmniej twierdzą nasi terapeuci.

– Doprawdy? – odezwał się Münster.

– Codziennie prowadzimy coś w rodzaju terapii za pomocą rozmowy. W małych grupkach. Robimy to ze wszystkimi pacjentami. Oprócz tego mamy jeszcze różnych terapeutów, którzy przyjeżdżają tu do nas i pracują

indywidualnie. Stosujemy rozmaite szkoły i metody, nie chcemy ograniczać się wyłącznie do jednej. Irene jest niemal od roku pod opieką młodej terapeutki, Clary Vermieten, i jak widać, ich współpraca bardzo dobrze się układa.

– W jakim sensie? – chciał wiedzieć Münster.

– Akurat teraz niewiele mogę panu powiedzieć, bo Clara właśnie urodziła dziecko i nastąpiła przerwa w terapii – usprawiedliwiła się Hedda deBuuijs.  
– Ale wiosną zamierza wrócić i podjąć ją od nowa.

Münster zaczął powoli się zastanawiać, czy ta kobieta przypadkiem nie chce czegoś ugrać, a może rozmawia z nim z czystej uprzejmości.

– Jeśli chciałby pan dowiedzieć się więcej i uczestniczyć w terapii – nie ma problemu – powiedziała Hedda deBuuijs po krótkiej pauzie. – Skoro już pan przejechał taki kawał drogi.

– Uczestniczyć? – powtórzył ze zdziwieniem Münster.

– Wszystkie rozmowy naszych terapeutów są nagrywane. Ja sama ich nie słyszałam, ale kiedy dowiedziałam się, że wybiera się pan do nas, zadzwoniłam do Clary. Nie ma nic przeciwko temu, żeby pan ich wysłuchał. Pod warunkiem oczywiście, że w żaden sposób pan tego nie wykorzysta i nie nadużyje.

– Nadużyje – powtórzył za nią. – Jak miałbym to zrobić?

DeBuuijs wzruszyła ramionami.

– Czasami muszę wyrecytować określone formułki – wyjaśniła. – To należy do mojego zawodu. Pan nie ma przypadkiem tak samo?

– Owszem – potwierdził Münster. – Zdarza się.

Kobieta wstała z miejsca.

– Sądzę, że się rozumiemy – rzekła na koniec. – Proszę za mną, zaprowadzę pana do pokoju Cecilii. Może pan tam siedzieć, jak długo pan zechce. Jeśli podczas przesłuchiwania taśm miałby pan ochotę napić się kawy, mogę panu przynieść.

– Dziękuję – powiedział Münster. – Byłoby miło.

– No więc jak twoim zdaniem mogło się to odbyć? – spytał Jung.

– Przynajmniej jest to jakiś pomysł – rzekła Moreno. Przygryzła wargi i przez chwilę nic nie mówiła. – Pamiętacie tamten dzień... to był chyba czwartek, kiedy Arnold Van Eck zgłosił zaginięcie żony? Wybraliśmy się tam... nie, pojechałam tylko ja i Münster. Tak czy siak, dotarliśmy na Kolderweg, żeby porozmawiać z Van Eckiem. Kiedy wchodziliśmy do budynku, natknęliśmy się w wejściu na panią Leverkus, która właśnie pozbywała się rzeczy po swoim mężu. Wynosiła torby i walizki z jego starymi ubraniami. Zamierzała je wywieźć na Windmeerstraat i zostawić Armii Zbawienia. Trwało to chyba już niemałą chwilę, kiedy się tam zjawiliśmy. Oczywiście... oczywiście nie były to same ubrania.

Rooth zatrzymał dłoń z filiżanką kawy w połowie drogi do ust.

– Co ty, u diabła, wygadujesz? – wykrzyknął. – Chcesz powiedzieć, że ona na waszych oczach wynosiła Else Van Eck? Poćwiartowaną i poupychaną do siatek? To byłoby coś... kto tu przed chwilą mówił o ślepej kurze?

– To niemożliwe – rzekł Reinhart. – Chociaż właściwie dlaczego nie – dodał po kilku sekundach... – Ty naprawdę w to wierzysz?

– Sama nie wiem – odpowiedziała Moreno. – A wy?

– Wierzyć to można w kościele – stwierdził Rooth. – Przecież to ty tam byłaś i ją widziałaś. Skąd my, do cholery jasnej, mamy wiedzieć, co ona miała w torbach?

– Istny obłęd – wtrącił Jung. – Brzmi po prostu kosmicznie.

W pokoju zaległa cisza. Moreno wstała i zaczęła chodzić w tę i z powrotem koło okna. Reinhart przyglądał się jej, czyszcząc sobie jednocześnie fajkę, i czekał. Rooth kończył przeżuwać drożdżówkę i rozglądał się za następną. Kiedy nie znalazł, westchnął i z rezygnacją wzruszył ramionami.



– No dobra, skoro, jak widzę, odebrało wam mowę, ja muszę przejąć dowodzenie. Chyba powinniśmy tam pojechać? Po raz siedemdziesiąty czwarty. Żeby chociaż sprawdzić, czy nie ma gdzieś resztek tej gazety. I jakichś pieprzonych zakrwawionych walizek. Chociaż raczej byśmy już wcześniej wywęszyli. Jeśli miałyby być tak, jak mówi Moreno, to większość... jak by tu powiedzieć... większość...

Nie znalazł odpowiednich słów. Reinhart odłożył fajkę i chrząknął znacząco.

– Jung i Moreno, chyba znacie drogę?

– Co wy tu jeszcze robicie? – dorzucił Rooth.

– Nie rozumiem tylko jednej rzeczy – powiedziała inspektor Moreno, kiedy już stwierdziła, że w mieszkaniu Leverkusnów przy Kolderweg nie ma ani centymetra kwadratowego wrześnieowego numeru „Breuwerblatt”, ani żadnych pobrudzonych krwią walizek. Jeśliby to faktycznie miała zrobić ona, to...

– Czego nie rozumiesz? – spytał Jung.

– Dlaczego? – powiedziała Moreno.

– Dlaczego?

– Tak. Dlaczego, do jasnej anielki, zabiła też Elzę Van Eck?

Jung zastanowił się przez trzy sekundy.

– A gdzie w takim razie ona według ciebie to zrobiła? – dociekał. – Chodzi mi o poćwiartowanie. Zostawmy na razie dlaczego.

Moreno pokręciła głową.

– A skąd mam to wiedzieć? Może w wannie? Tak, pewnie wykończyła ją patelnią, a potem pokroiła w wannie. To brzmi chyba nieźle? Ja bym tak zrobiła. Wystarczy później spłukać wodą, trochę mydła, ewentualnie proszku do czyszczenia. Ale dlaczego? Wyjaśnij mi! Dlaczego? Przecież nie możemy machnąć na to ręką! Musi być jakiś powód.

– Nie wiem – powiedział Jung. – Ja jestem tylko jedną z tych ślepych kur.

Za kwadrans druga – w ten sam wolny od opadów styczniowy czwartek – ktoś delikatnie zapukał do drzwi inspektora Reinharta.

– Wejść – odezwał się Reinhart.

Drzwi uchyliły się ostrożnie i do środka wsunął głowę lingwista Winckelhübe.

– O co chodzi? – spytał Reinhart, podnosząc wzrok znad papierów.

– No więc pozwoliłem sobie zrobić taką drobną analizę – wyjaśnił Winckelhübe, drapiąc się po brzuchu. – Wprawdzie nie mam stuprocentowej pewności, ale byłbym gotów się założyć, że chodzi o foki. W tamtym tekście oczywiście.

– O foki? – dopytał Reinhart.

– Tak, o foki – powtórzył Winckelhübe.

– Hmm – mruknął Reinhart. – Jasne. Właśnie tak myśleliśmy. Dzięki, wielkie dzięki. Proszę przesłać fakturę do biura policji.

Mężczyzna stał nadal i wyglądał na trochę bezradnego.

– Chce pan też lizaka? – dodał Reinhart. – Niestety właśnie się skończyły.

Trudno było nie zauważyć, że terapeutka Clara Vermieten miała pod swoją opieką wielu pacjentów z Gellnerhemmet. W ciasnym pokoju, do którego deBuuijs wprowadziła Münstera, cztery półki regału były opatrzone inicjałami. Litery I.L. widniały na samej górze i tam też leżało kilka kupek taśm magnetofonowych, porządnie ułożonych po dziesięć. Münster naliczył ich w sumie sześćdziesiąt cztery. Na półkach poniżej było zdecydowanie mniej.

Na małym biurku stało zdjęcie ciemnowłosego mężczyzny około trzydziestki, telefon i odtwarzacz.

Aha, pomyślał Münster. Czyli wystarczy włożyć kasetę.

Zdjął jeden ze stosików. Na odwrocie każdej kasyty widniała data. 4.03, 8.03, 11.03... i tak dalej. Wyjął pierwszą z brzegu i wsunął do odtwarzacza. Zdaje się, że kasetę była przewinięta z powrotem do samego początku, bo najpierw dał się słyszeć głos prawdopodobnie należący do Clary Vermieten, który poinformował, kiedy dokonano nagrania.

*Rozmowa z Irene Leverkus, piętnastego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku.*

Potem krótka pauza.

– Dzień dobry, Irene, mam na imię Clara. Jak się dziś miewasz?

– Dobrze – odpowiedziała Irene Leverkus tym samym jednostajnym

tonem, który słyszał przed chwilą.

– *Miło widzieć cię znowu* – rzekła terapeutka. – *Sądzę, że powinniśmy trochę ze sobą porozmawiać, tak jak zwykle.*

– *Tak jak zwykle* – powtórzyła Irene Leverkusn.

– *Czy tu dzisiaj padało?*

– *Nie wiem* – odpowiedziała Irene Leverkusn. – *Nie byłam na dworze.*

– *Po drodze tutaj padało. Lubię deszcz.*

– *Ja nie lubię deszczu* – oznajmiła Irene Leverkusn. – *Człowiek robi się od niego mokry.*

– *Może chciałabyś się tak jak zwykle położyć?* – spytała Clara Vermieten.  
– *Czy wolisz siedzieć?*

– *Chcę się położyć. Zawsze się kładę, kiedy rozmawiamy.*

– *Wobec tego się połóż* – powiedziała terapeutka. – *Chcesz koc? Może jest ci trochę zimno?*

– *Nie jest zimno* – odparła Irene Leverkusn.

Münster przewinął taśmę kawałek do przodu i znowu zatrzymał.

– *Kto to jest?* – usłyszał pytanie terapeutki.

– *Nie pamiętam dokładnie* – rzekła Irene Leverkusn.

– *Ale znasz jego imię?*

– *Znam jego imię* – potwierdziła.

– *Jak on się nazywa?* – spytała Clara Vermieten.

– *On nazywa się Willie.*

– *Kim jest Willie?*

– *Willie to chłopiec, który chodzi do mojej klasy.*

– *Irene, ile ty masz teraz lat?*

– *Mam dziesięć lat. Dostałam niebieską sukienkę, ale teraz jest poplamiona.*

– *Poplamiona? A skąd ta plama?*

– *Pobrudziłam ją, jak jadłam lody* – wyjaśniła Irene Leverkusn.

– *Czy to stało się dzisiaj?* – spytała Clara Vermieten.

– *Dzisiaj po południu. Przed chwilą.*

– *Czy teraz jest lato?*

- *Lato już było. Teraz jest jesień. Zaczęła się szkoła.*
- *Do której klasy chodzisz?*
- *Zaczęłam czwartą.*
- *Jak nazywa się twoja pani?*
- *Ja nie mam pani. Nasza klasa ma wychowawcę. On jest surowy.*
- *Jak się nazywa?*
- *Nazywa się Töffel.*
- *A gdzie w tej chwili się znajdujesz?*
- *W tej chwili jestem oczywiście w naszym pokoju. Wróciłam do domu ze szkoły.*
- *Co robisz?*
- *Nic.*
- *A co będziesz robić?*
- *Poplamiałam sobie sukienkę, pójdę do kuchni i spiorę plamę.*

Münster ponownie wyłączył odtwarzacz. Rzucił okiem na stos taśm na regale i oparł głowę na prawej dłoni. Co ja tutaj robię? – pomyślał.

Przewinął znowu do przodu i jeszcze chwilę przysłuchiwał się rozmowie. Irene opowiadała, w jaki papier owinęła okładki swoich książek i co dostała na obiad w szkolnej stołówce.

Cofnął taśmę do samego początku, wyjął ją z odtwarzacza i włożył do opakowania. Oparł się na krzesło i spojrzał przez okno. Nagle przeszył go dreszcz. Uzmysłował sobie, że to, o czym przed momentem słuchał, odbyło się – no właśnie, kiedy? Prawdopodobnie gdzieś na początku lat sześćdziesiątych. Wprawdzie rozmowa została nagrana przed niecałym rokiem, ale Irene Leverkühn tkwiła głęboko w swoim dzieciństwie – pewnie wciąż w tym ponurym, małym domu w Pampas, który oglądał kilka tygodni temu. Czy to nie dziwne!?

Jednocześnie nieoczekiwanie poczuł coś w rodzaju respektu przed terapeutką i tym, czego dokonała. On sam nie zdołał wydobyć z malującej kobiety ani jednego rozsądnego słowa, a tymczasem Clarze Vermieten opowiadała o tym i owym ze swojego życia.

Chyba muszę zmienić zdanie o psychoanalizie, pomyślał. Najwyższy czas.

Spojrzał na zegarek i zastanowił się, co ma robić dalej. Samo siedzenie tutaj i przesłuchiwanie jednej taśmy za drugą nie wydawało się szczególnie

efektywne, choć mogło być fascynujące. Podszedł więc do regału i zaczął sprawdzać daty.

Wszystko wskazywało na to, że pierwsze nagranie pochodzi sprzed ponad roku. Nosiło datę 25.11.1996. Zdjął z półki taśmy ułożone jedna na drugiej po prawej stronie. Były cztery. Ta z samego dołu miała datę 16.10, a ta z wierzchu – 30.10.

Wrócił do biurka, podniósł słuchawkę i po drobnych komplikacjach połączył się z Heddą deBuuijs.

– Tylko jedno pytanie – powiedział. – Kiedy Clara Vermieten odeszła na urlop macierzyński?

– Chwileczkę – rzekła deBuuijs. Münster słyszał, jak kobieta po drugiej stronie przerzuca jakieś kartki.

– Ostatniego dnia października – odezwała się znowu. – Tak, dokładnie. A mniej więcej tydzień później urodziła córeczkę.

– Dziękuję – odparł Münster i położył słuchawkę.

Sięgnął po opakowanie leżące na samym wierzchu stosu i wyjął nagranie opatrzone datą 25.10. Sobota, 25 października. Usiadł za biurkiem i zaczął słuchać.

Minęło około dziesięciu minut, zanim dotarł do tego miejsca, a czekając na nie, przypomniał sobie coś, co kiedyś powiedział mu Van Veeteren. Jak zwykle u Adenaara; pewnie w któreś piątkowe popołudnie, bo wtedy zazwyczaj więcej deliberował niż normalnie.

Chodzi o to, żeby natrafić na właściwych ludzi, stwierdził komisarz. Bo w każdym przypadku zawsze znajdą się jedna czy dwie osoby, które kryją w sobie prawdę – tyle że najgorsze jest to, kolego, że one najczęściej same o tym nie wiedzą. Dlatego to my musimy wytropić te osoby, odnaleźć je. Za pomocą światła i lampy, i mnóstwa diabelnego uporu. To na tym polega nasza robota, Münster!

Pamiętał słowo w słowo. I teraz, gdy siedział tutaj, właśnie znalazł kogoś takiego. Kto krył w sobie prawdę. Oczywiście o ile on dobrze odczytywał znaki.

– *Gdzie jesteś teraz?* – spytała Clara Vermieten.

– *Jestem w domu* – powiedziała Irene Leverkuhn.

– *Gdzie dokładnie w domu?*

– *Jestem w swoim łóżku* – wyjaśniła Irene Leverkuhn.

- *Jesteś w swoim łóżku? W swoim pokoju? Jest noc?*
- *Jest wieczór.*
- *Czy jesteś sama?*
- *Ruth leży w swoim łóżku. Jest wieczór, jest późno.*
- *Ale jeszcze nie śpisz?*
- *Nie śpię, czekam.*
- *Na co czekasz?*
- *Chcę, żeby to było szybko.*
- *Co chcesz, żeby było szybko?*
- *Niech będzie szybko. Czasami jest szybko. I wtedy jest najlepiej.*
- *Powiedziałaś, że czekasz?*
- *Dzisiaj jest moja kolej.*
- *Czekasz na coś szczególnego?*
- *Jego kutas jest taki wielki. Jest ogromny.*
- *Jego kutas?*
- *Wielki i twardy. Nie mieści mi się w buzi.*
- *Na kogo ty czekasz?*
- *To boli, ale muszę być cicho.*
- *Ile masz lat, Irene?*
- *Wczoraj Ruth nie była cicho. On woli mnie. Częściej przychodzi do mnie. Dzisiaj jest moja kolej, zaraz przyjdzie.*
- *Kto to jest?*
- *Posmarowałam się tam taką maścią, wtedy tak nie boli. Mam nadzieję, że będzie szybko.*
- *Gdzie ty jesteś, Irene? Ile masz lat?*
- *Leżę w łóżku, próbuję powiększyć swoją dziurę, żeby jego kutas się zmieścił. Jest taki wielki. On jest ciężki, a jego kutas wielki. Muszę być cicho.*
- *Dlaczego musisz być cicho?*
- *Muszę być cicho, żeby Mauritz się nie obudził. Idzie, słyszę, że idzie. Muszę spróbować jeszcze powiększyć.*
- *Kto idzie? Kto to jest? Na kogo czekasz?*
- *Mieszczą mi się tylko dwa palce, mam nadzieję, że pójdzie szybko. Jego*

*kutas jest okropny.*

*– Kto to jest?*

*– ...*

*– Irene, na kogo ty czekasz?*

*– ...*

*– Kto ma takiego dużego kutasa?*

*– ...*

*– Irene, powiedz mi, kto ma przyjść?*

*– Tata. Już jest.*

Jung zatrzymał się przy Bertrandgraacht i sto pięćdziesiąty raz wpatrywał się w barkę Bongera.

Stała tam w mrocznej i niezgłębionej ciszy, a on nagle odniósł wrażenie, że się do niego uśmiecha. Przyjaźnie i miło, bo na taki uśmiech może się zdobyć nawet stara łajba, jeśli chce podziękować za nieoczekiwane i niezasłużone zainteresowanie.

Ty stara łajbo, pomyślał Jung. Jak według ciebie to się odbyło? Tak po prostu?

Ale barka Bongera nie odpowiedziała. Jego telepatyczne zdolności wystarczyły zaledwie na wywołanie dyskretnego uśmiechu, toteż Jung odwrócił się w końcu na pięcie i odszedł. Naciągnął głębiej czapkę na czoło i włożył ręce do kieszeni płaszcza; zaczęło ostro wiać od północnego zachodu. Pora położyć kres tym uprzejmościom.

– Mam pomysł – powiedział, kiedy niedługo później natknął się w kantine na Rootha.

– Ja mam ich tysiąc – odparł Rooth. – Ale żaden nie działa.

– Wiem – rzekł Jung. – Rude karły i temu podobne rzeczy.

– Z tym już dałem sobie spokój. To był numer dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć. Ale co chciałeś powiedzieć?

– Bonger – rzucił Jung. – Chyba wiem, gdzie on się podziewa.

Münster został w pokoju jeszcze przez kwadrans po wyłączeniu odtwarzacza. Gapił się znowu przez okno na opuszczony park, podczas gdy puzzle w jego głowie dopasowywały się idealnie jeden do drugiego. Zanim wstał, próbował jeszcze porozmawiać z Synn przez telefon, ale nie było jej w domu. No jasne. Odczekał dziesięć sygnałów. Miał nadzieję, że odezwie się chociaż sekretarka, ale widocznie ją też wyłączyła.

– Kocham cię, Synn – szepnął mimo wszystko w martwą słuchawkę,



a następnie wrócił do Heddy deBuuijs.

Miała gościa, więc musiał cierpliwie poczekać kolejne dziesięć minut.

– No i jak panu poszło? – spytała, kiedy usiadł już naprzeciw niej.

Oszołomiony, przez sekundę nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Jak poszło?

Dobrze? Wyśmienicie? Do niczego?

– W porządku – odezwał się wreszcie. – Dowiedziałem się całkiem sporo. Ale w kilku sprawach potrzebuję pani pomocy.

– Jestem do usług – odparła Hedda deBuiijs.

– Clara Vermieten – rzucił. – Muszę z nią porozmawiać. Wystarczy przez telefon.

– Zaraz sprawdzę – powiedziała deBuiijs i zaczęła szukać w jakichś papierach. – O, jest. Mam teraz coś do załatwienia, więc może pan zadzwonić stąd. Wrócę za kwadras.

Kobieta zniknęła za drzwiami. Münster wybrał numer, a kiedy czekał, pomyślał z obawą, że Clara Vermieten być może gdzie wyjechała na nieokreślony czas. Na Tahiti albo do Bangkoku. Czy do północnej Norwegii. To byłoby typowe, niewątpliwie.

Kiedy wreszcie odebrała, od razu rozpoznał jej miękki głos i lekki akcent charakterystyczny dla dialektu z północy. Minęła dobra chwila, zanim udało mu się jej wyjaśnić, kim jest. W końcu od razu sobie przypomniała, że za pośrednictwem Heddy deBuuijs pozwoiliła mu skorzystać z taśm.

– Przepraszam pana – powiedziała. – Mam małe dzieci. Człowiek wybija się z rytmu.

– Doskonale wiem, jak to jest – odparł Münster.

Właściwie chciał jej zadać tylko dwa pytania, a ponieważ w tle usłyszał marudzenie i kwilenie, przeszedł od razu do rzeczy.

– Czy słyszała pani o morderstwie Waldemara Leverkusna i Else Van Eck w Maardam? – spytał.

– Słucham? – odezwała się Clara Vermieten. – Nie sądzę. Powiedział pan: w Maardam? Kogo zamordowano?

– Leverkusna – odparł.

– Boże drogi – powiedziała Clara Vermieten. – Czy to...?

– Jej ojciec – wyjaśnił Münster.

W słuchawce zaległa cisza.

– Nie wiedziałam... – rzekła. – Nic nie wiedziałam... Kiedy to się stało?

– W październiku. W tym samym tygodniu, kiedy miała pani swoją ostatnią rozmowę z Irene.

– Od drugiego listopada leżałam w klinice – wyjaśniła Clara Vermieten. – Urodziłam swoje piąte dziecko. Boże drogi, czy ona o tym wie? Nie, oczywiście, że nie. Czy spotkał się pan z nią?

– Tak – potwierdził Münster. – I przesłuchałem taśmy. Nie wszystkie. Głównie te ostatnie.

Clara Vermieten znowu przez kilka sekund się nie odzywała.

– Rozumiem – powiedziała w końcu. – Ale nie bardzo pojmuję, dlaczego to miałoby być dla pana interesujące. Chyba pan nie sądzi, że to mogłoby mieć jakiś związek z... z tą sprawą w Maardam? Powiedział pan: morderstwo?

– Tak, niestety – rzekł Münster. – To dosyć zawiła historia i nie ma teraz sensu zagłębiać się w szczegóły. Chciałbym tylko spytać panią o coś, co może mieć duże znaczenie dla naszych dalszych działań. Przypuszczam, że rozumie pani wagę sytuacji, jestem pewien, że tak... – dodał. – Jestem pełen uznania dla pani za to, co udało się pani osiągnąć w rozmowach z Irene Leverkus.

– Dziękuję – powiedziała Clara Vermieten.

– Tak więc – Münster wrócił do tematu – chciałbym wiedzieć, czy ona, to znaczy Irene, mogła dalej znajdować się i trwać w tym stanie... w tamtej sytuacji z dzieciństwa... także po skończeniu rozmowy z panią? Czy też za każdym razem przywracała ją pani, że tak powiem, do rzeczywistości?

Minęło kilka sekund.

– Rozumie pani, do czego zmierzam? – spytał Münster.

– Oczywiście – odparła Clara Vermieten. – Zastanawiam się tylko... tak, to oczywiście może nadal w niej tkwić. Także po rozmowie. Przynajmniej przez jakiś czas... jeśli ktoś uderzy w odpowiednią strunę...

– Jest pani tego pewna? – chciał wiedzieć Münster.

– O ile czegoś takiego w ogóle można być pewnym. Dusza to nie maszyna.

– Dziękuję pani – powiedział Münster. – Wiem teraz to, o co mi chodziło.

Chętnie porozmawiałbym z panią jeszcze kiedyś na ten temat... jeśli to możliwe.

Wręcz słyszał, jak się uśmiechnęła, gdy mu odpowiedziała:

– Ma pan mój numer. Poza tym w Maardam mieszka mój brat.

– Jeszcze tylko jeden drobiazg. – Münster zwrócił się do Heddy deBuuijs, kiedy już wróciła do swojego pokoju. – Wspominała pani, że rejestruje pani każdą osobę odwiedzającą waszych podopiecznych. Czy mogłaby mi pani udostępnić taką listę gości? Wiem, że sprawiam kłopot, ale obiecuję, że potem już się wyniosę.

– Ależ nie ma problemu – odparła opiekunka z właściwą jej pogodą. – Wobec tego muszę zaprosić pana na małą przechadzkę.

Wyszli do holu recepcyjnego, gdzie deBuuijs zapukała w niewielką szybkę. Natychmiast podano jej dwa czerwone kołonoratniki, które ona przekazała Münsterowi.

– To jest ostatni rok – wyjaśniła. – Jeśli będzie panu potrzebny starszy rejestr, może pan potem sam zapukać do dziewcząt i poprosić o odpowiedni rocznik. Ja mam jeszcze coś do zrobienia, więc już pana opuszczę...

– Dziękuję pani – rzekł Münster. – Te mi wystarczą. Bardzo mi pani pomogła. Jeszcze raz serdecznie dziękuję.

– Nie ma za co – odparła Hedda deBuuijs i odeszła.

Münster usiadł przy stole i zaczął kartkować otrzymane zeszyty.

No, pomyślał. Zaraz się przekonamy, czy jedno do drugiego pasuje, czy cała układanka się rozsypie.

Pięć minut później zapukał w okienko i oddał oba kołonoratniki.

Jeśli ktoś uderzy w odpowiednią strunę? – przypomniał sobie, gdy wyjeżdżał z parkingu. Tak powiedziała Clara Vermieten. Trudno o lepsze sformułowanie.

– O co ci, u diabła, chodzi? – rzucił Reinhart.

– Daj spokój i nie próbuj zrozumieć tego, czego i tak nie rozumiesz – odparł Van Veeteren. – Po prostu opisz mi sytuację!

– Lada moment będziemy mieli posprzątane – oznajmił Reinhart.

– Posprzątane?

– Posłuchaj no, drogi ekskomisarzu – zaczął Reinhart. – Münster jest gdzieś tam na północy i wszystko idzie jak po maśle. Pół godziny temu rozmawiałem z nim przez telefon. Dotarł do jakichś informacji, które wyraźnie prowadzą w określonym kierunku.

– Dalej – ponaglał go Van Veeteren.

Reinhart westchnął, po czym przez kolejne dwie, trzy minuty wyjaśniał cierpliwie, lecz Van Veeteren nagle mu przerwał.

– *All right*, wystarczy – rzekł. – Jedziemy tam, dokończysz mi w samochodzie.

– Jedziemy tam? Co jest, u diabła...? – prychnął Reinhart, jednak w tym samym momencie gdzieś z tyłu głowy zapaliła mu się lampka ostrzegawcza. Zamilkł. Jeśli istniała jakaś reguła, którą opłacało się respektować jeszcze za czasów Van Veeterena – jedna jedyna – to właśnie ta, stwierdził w duchu.

Nigdy nie kwestionować decyzji, które komisarz podejmował niespodziewanie i na pozór z niepojętych powodów.

Reinhart zrobił to kilka razy. Na początku. Podał w wątpliwość. Nie opłacało się.

– Możesz podjechać po mnie do Adenaara za pięć minut – rzekł Van Veeteren. – Właściwie nawet za cztery. Jasne?

– Tak – westchnął Reinhart. – Jasne.

Kiedy Münster siedział nad kolacją w jakiejś euro-chińskiej restauracji, znowu zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony. Jako odtrutkę wypił jak zwykle dwa kubki kawy i zastanowił się szybko, za ile lat doczeka się wrzodów żołądka. Za pięć? Za dwa?

Następnie zapłacił i próbował od nowa skupić się na pracy.

Na sprawie. Pora na ostatni akt. Najwyższa pora, bez dwóch zdań. Zapisał sobie w pamięci, że kiedy już będzie po wszystkim, ma iść do Hillera i poprosić o tydzień urlopu. Czyli może jutro. Albo w poniedziałek. Właściwie lepiej od razu o dwa tygodnie...

Z samochodu zadzwonił potem do Maardam, żeby zdać sprawozdanie. Przez dziesięć minut relacjonował ostatnie wydarzenia Heinemannowi, jedynej osobie, którą zastał. Heinemann z właściwą sobie nieporadnością zakończył rozmowę apelem o najwyższą ostrożność.

Kiedy skończył z Heinemannem, poinformował lokalną policję.

Rozmawiał z inspektorem Malinowskim – który początkowo trochę nie nadążał, ale stopniowo oswoił się z tempem i w końcu zrozumiał, w czym rzecz. Obiecał być gotowy, jak tylko komisarz Müssner znowu się zgłosi.

– Münster – poprawił go. – Nie Müssner.

– Okej – odparł Malinowski. – Zapisałem sobie.

Potem ruszył w drogę. Dochodziła już szósta i nad wymarłym miastem powoli zalegała ciemność. Wiatr znowu się nasilił, ale przez ten cały długi czwartek nie spadła ani jedna kropla deszczu.

Kilka minut później zatrzymał się. Jeszcze chwilę siedział w samochodzie i zbierał się w sobie. Potem, upewniwszy się, że ma i broń, i telefon, wysiadł z auta.

– Jest taki film Tarkowskiego – powiedział Van Veeteren. – Jego ostatni. *Ofiarowanie*. Właśnie o to samo w nim chodzi.

Reinhart skinął głową. A po chwili nią pokręcił.

– Oświeć mnie – rzekł. – Widziałem go, ale to było już kilka lat temu.

– Jeśli tylko ma się możliwość, Tarkowskiego powinno się oglądać kilka razy – stwierdził Van Veeteren. – U niego jest zawsze tyle warstw. Nie pamiętasz tego filmu?

– Niezupełnie.

– Stawia w nim zasadnicze pytanie. Można je wyrazić tak: jeśli spotkasz Boga we śnie i coś mu obiecasz, to co zrobisz, jak się potem obudzisz?

Reinhart wetknął fajkę do ust.

– Teraz sobie przypominam – powiedział. – Bohater ma poświęcić własnego syna, żeby rzeczywistość, która wszystkich zabija, okazała się jedynie iluzją, tak? Wojna, która zmieni się w senny koszmar, jeśli on to zrobi?

– Coś w tym rodzaju – odparł Van Veeteren. – Powstaje oczywiście pytanie, czy my faktycznie otrzymujemy takie znaki. I co się stanie, jeśli je zignorujemy. Złamiemy umowę.

Reinhart siedział przez chwilę w milczeniu.

– Przez całe swoje dzieciństwo nie wszedłem ani razu na wieko studni – powiedział potem.

– I prawdopodobnie dlatego wciąż żyjesz – rzekł Van Veeteren. – Ile nam jeszcze zostało?

– Godzina – powiedział Reinhart. – Ale muszę przyznać, że mimo wszystko nadal nie do końca rozumiem, co ten diabelny Tarkowski ma wspólnego z naszą wyprawą. Choć przypuszczam, że pewnie nie zamierzasz mi tego wyjaśnić?

– Twoje przypuszczenia są jak najbardziej słuszne – odparł Van Veeteren i zapalił świeżo skręconego papierosa. – To też jest część umowy.

Taksówkarz nazywał się Paul Holt. Wytropił go Krause, a Moreno spotkała się z nim w jego żółtym aucie przed hotelem Kraus. Przystojny mężczyzna po trzydziestce. Biała koszula, krawat i wypielęgnowany kucyk. Moreno usiadła z przodu na siedzeniu pasażera, a kiedy on podał jej rękę na powitanie, wyraźnie wyczuła w jego oddechu zapach marihuany.

No cóż, pomyślała. W końcu nigdzie mnie nie wiezie.

– Chodzi o kurs sprzed paru miesięcy – zaczęła. – Pasażerką była pani Leverkusn z Kolderweg... czy kojarzy pan może?

– Tak, bardzo dobrze – odpowiedział Paul Holt.

– Ale to przecież nie było wczoraj – wtrąciła Moreno.

– Zgadza się – potaknął taksówkarz.

– Od tamtej pory musiał pan mieć setki innych pasażerów.

– Tysiące – poprawił ją Paul Holt. – Ale tych wyjątkowych się pamięta. Mogę pani na przykład opowiedzieć o facecie w spodniach w kropki, którego wiozłem z osiem lat temu. I to z detalami.

– Rozumiem – powiedziała Moreno. – Czyli tamten kurs z panią Leverkusn też był wyjątkowy?

Holt kiwnął głową.

– W jakim sensie?

Mężczyzna poprawił sobie gumkę na włosach i splótł dłonie na kierownicy.

– Przecież pani to wie równie dobrze, jak ja – odpowiedział. – W końcu, do cholery, pisała o tym każda gazeta... ale i bez tego bym sobie przypomniał.

– Ach tak?

– Takie rzeczy i takich pasażerów się pamięta.

– Rozumiem – rzekła Moreno. – Czy mógłby pan opowiedzieć, dokąd pan pojechał i co ona robiła?

Holt opuścił boczną szybę o kilka centymetrów i zapalił zwykłego papierosa.

– Można by powiedzieć, że to był raczej kurs bagażowy. Całe tylne

siedzenie i bagażnik zaważyła torbami i siatkami. Chyba jej nawet napomknąłem, że do przewozu takich rzeczy są firmy transportowe, ale nie jestem pewny. W końcu jednak się zgodziłem. Przecież trzeba sobie pomagać.

– Dokąd pojechaliście? – spytała Moreno.

– Najpierw do Armii Zbawienia w Windemeer – opowiadał dalej Holt. – Tam zostawiliśmy część pakunków. Czekałem, aż ona wszystko załatwi. Potem pojechaliśmy na Centralny.

– Na Dworzec Centralny?

– No tak, na Dworzec Centralny. Tam wyładowaliśmy resztę, chyba torbę podróżną i jeszcze dwie... takie duże, miękkie torby, no wie pani. Tak, trzy sztuki. Zamknęła je w skrytkach bagażowych i później wróciliśmy na Kolderweg. Wsiadła przy centrum handlowym. Lało jak cholera.

Moreno zastanawiała się przez chwilę.

– Musi pan mieć wyjątkowo dobrą pamięć do szczegółów – stwierdziła w końcu.

Holt potaknął i zaciągnął się papierosem.

– Może i tak – odparł. – Ale, jak już mówiłem, nie pierwszy raz o tym myślę. A jak się człowiekowi raz coś przypomni, to już zostaje na dłużej. Jak w albumie ze zdjęciami. Pani też tak ma?

Owszem, przyznała Ewa Moreno w duchu, wysiadłszy już z żółtej taksówki. Chyba faktycznie tak jest. Są rzeczy, których nigdy się nie zapomina, niezależnie od tego, jak bardzo nam na tym zależy. Na przykład tamten wczesny poranek sprzed czterech lat, kiedy ona razem z Jungiem wtargnęli do mieszkania przy Rozerplejn i znaleźli dwudziestoczteroletnią imigrantkę z dwójką małych dzieci w ogromnej kałuży krwi na podłodze w kuchni. Na stole leżało pismo z nakazem wydalenia z kraju. Doskonale to pamiętała.

Ten obraz tkwił mocno w albumie jej pamięci. Inne także.

Spojrzała na zegarek, zastanawiając się, czy jest sens wracać jeszcze na komendę. Może wystarczy, że tylko zadzwoni i przekaże informacje, które uzyskała od Paula Holta. W końcu postanowiła, że z tym też może poczekać do następnego dnia. W gruncie rzeczy to, co usłyszała, potwierdzało jej wcześniejsze przypuszczenia. Marie-Louise Leverkus wykorzystwała Dworzec Centralny jako przechowalnię – przez kilka dni albo przynajmniej



przez jeden dzień, dopóki wreszcie nie pozbyła się poćwiartowanych zwłok żony portiera w Lesie Weylera. Szybko i bezboleśnie. Eleganckie rozwiązanie, jak ktoś powiedział.

W drodze do domu zatrzymała się jednak przy dworcu i sprawdziła, które linie autobusowe spod niego odjeżdżają. Zgadzało się. Był bezpośredni autobus. Numer szesnaście. Kursował co dwadzieścia minut w ciągu dnia. Albo raz na godzinę, jeśli ktoś wolał wykonać swoją robotę pod osłoną ciemności. Nic prostszego.

Ale z raportem jednak poczeka. Chyba że jeszcze dziś wieczorem znów zadzwoni Münster; wtedy oczywiście złożenie sprawozdania będzie jak najbardziej wskazane.

Poza wszystkim innym dobrze by było, żeby mieli jakiś konkretny temat rozmowy. Bo coraz częściej odnosiła wrażenie, że oboje stoją już jedną nogą po niewłaściwej stronie granicy. Tej, której przekroczenia należało za wszelką cenę się wystrzegać; a zwłaszcza gdy wszystkie drogi, jak teraz, tak jednoznacznie prowadziły w jednym kierunku. A kierunek był cholernie oczywisty.

W swoim następnym wcieleniu postaram się być lwicą, pomyślała Ewa Moreno i postanowiła wyciszyć wszystkie swoje żądze i cały świat za pomocą długiej kąpieli z dodatkiem olejku jojoba i lawendy.

– To znowu pan? – zdziwił się Mauritz Leverkusn.

– Tak, to znowu ja – rzekł Münster.

– Nie rozumiem, czemu by to miało służyć – rzekł Mauritz Leverkusn. – Nie mam panu już nic więcej do powiedzenia.

– Ale ja mam – odparł Münster. – Wpuści mnie pan?

Mauritz Leverkusn zawahał się chwilę. W końcu wzruszył ramionami i przeszedł do pokoju. Münster zamknął za sobą drzwi i ruszył za nim. Od przedpołudnia nic się nie zmieniło. Te same foldery reklamowe leżały w tym samym miejscu na stole i ta sama szklanka stała przy fotelu, na którym gospodarz zaraz usiadł.

Tylko teraz grał telewizor. Na ekranie były widoczne cztery kolorowo ubrane kobiety, które siedziały na dwóch kanapach i się śmiały. Mauritz Leverkusn sięgnął po pilota i wyłączył aparat.

– Jak wspomniałem – zaczął Münster – mam parę spraw do omówienia.

Dziś po południu rozmawiałem z pańską siostrą.

– Z Ruth?

– Nie, z Irene.

Mauritz Leverkuhn nie odpowiedział i nie zareagował w żaden inny sposób.

– Spędziłem kilka godzin w Gellerhemmet – kontynuował. – Pan mnie okłamał.

– Okłamał? – powtórzył Mauritz Leverkuhn.

– Czy nie twierdził pan dziś rano, że od ponad roku nie odwiedził pan swojej siostry?

Mauritz Leverkuhn opróżnił swoją szklanekę.

– Zapomniałem – powiedział. – Rzeczywiście raz wpadłem do niej jesienią.

– Zapomniał pan? – rzekł Münster. – Był pan tam w sobotę, dwudziestego piątego października, czyli w tym samym dniu, kiedy zamordowano pańskiego ojca.

– A jakie, u diabła, to ma znaczenie?

Nie dało się nie zauważyć, że Mauritz Leverkuhn wciąż jeszcze się nie zdecydował, jaką ma przyjąć linię obrony. Münster domyślał się, że w jego głowie musi się teraz nieźle kotłować. Ale przecież chyba spodziewał się kolejnej wizyty? Zdawał sobie sprawę, że wcześniej czy później Münster do niego wróci? Czy może grypa i gorączka całkowicie go otepiły?

– Mógłby mi pan opowiedzieć, o czym rozmawiał pan z Irene w październiku?

Mauritz Leverkuhn prychnął.

– Z Irene nie da się o niczym rozsądnie porozmawiać. Chyba pan to zauważył, skoro się pan z nią spotkał?

– Może zazwyczaj tak jest – powiedział Münster. – Ale w tamtą sobotę było chyba inaczej niż zwykle?

– Co, u diabła, ma pan na myśli?

– Czy chce pan, żebym panu opowiedział, co panu mówiła?

Mauritz Leverkuhn wzruszył ramionami.

– Niech pan sobie gada, co pan chce – rzekł. – Zdaje się, że panu odbiło. Zresztą pan też chyba ma nie do końca po kolei w głowie.

Münster odchrząknął.

– Kiedy pan się tam pojawił, Irene właśnie skończyła rozmowę ze swoją terapeutką, zgadza się? Z niejaką Clarą Vermieten. Wszedł pan do niej bezpośrednio po terapii, a potem... potem ona zaczęła opowiadać o rzeczach ze swojego dzieciństwa, o których pan nie miał pojęcia. Które wiązały się z pana ojcem.

Mauritz Leverkuhn miał kamienną twarz.

– Nie mylę się, prawda? – kontynuował Münster. – W tamtą październikową sobotę dowiedział się pan o sprawach, o których wcześniej nic pan nie słyszał. O sprawach, które przynajmniej częściowo wyjaśniają, skąd się wzięła choroba Irene. Dlaczego jest taka, a nie inna.

– Bredzi pan – powiedział Mauritz Leverkuhn.

– I czy nie było tak, że to, co pan usłyszał, poruszyło pana do tego stopnia, że, mówiąc w skrócie, stracił pan panowanie nad sobą?

– O czym, do jasnej cholery, pan plecie? – rzucił Mauritz Leverkuhn.

Münster przerwał na chwilę.

– Mówię o tym – zaczął znowu, najwolniej i najwyraźniej, jak potrafił – że w tamtą sobotę dowiedział się pan, iż wasz ojciec wykorzystywał seksualnie obie pana siostry przez całe ich dzieciństwo, i że wsiadł pan do samochodu, pojechał do Maardam i zabił go. Tylko o tym mówię.

Mauritz Leverkuhn siedział dalej nieporuszony z dłońmi splecionymi na kolanach.

– Muszę przyznać, że nawet pana rozumiem – dodał Münster. – Gdybym był na pana miejscu, być może zrobiłbym to samo.

Prawdopodobnie właśnie te słowa sprawiły, że Mauritz Leverkuhn zmienił taktykę. Albo przynajmniej trochę ustąpił. Westchnął głęboko, otarł sobie pot z czoła i jakby nieco się rozluźnił.

– Nigdy nie będzie pan w stanie tego udowodnić. To po prostu śmieszne. Matka przyznała się, że to zrobiła... jeśli to prawda, co pan mówi o moim ojcu, to ona miała równie dobre powody jak ja. Czyż nie?

– Być może – rzekł Münster. – Ale to nie ona go zamordowała. To pan go zabił.

– Ona – powiedział Mauritz Leverkuhn.

Münster pokręcił głową.

– A swoją drogą, dlaczego wybrał się pan do siostry akurat w tamtą sobotę? – spytał. – Bo opuściła pana partnerka? Czasowo to by się nawet zgadzało.

Mauritz Leverkuhn wprawdzie nic nie odpowiedział, lecz Münster widział, że trafił w samo sedno. Zawsze tak jest. Jak w pasjansie – wydaje się, że nie wyjdzie, a tu nagle karty zaczynają się układać niemal w przewidywalnym porządku.

– Czy mam panu opowiedzieć, co było dalej? – spytał.

Mauritz Leverkuhn z wysiłkiem podniósł się z fotela.

– Nie, dziękuję – powiedział. – Chcę, żeby pan się stąd wyniósł. Nie mam zamiaru wysłuchiwać dłużej pańskich chorych urojeń.

– Myślałem, że pan się ze mną zgodził, gdy powiedziałem, że Irene opowiedziała panu o wszystkim? – spytał Münster.

Mauritz Leverkuhn stał przez kilka sekund niezdecydowany.

– Pańska matka pana nakryła, prawda?

Nie odpowiedział.

– Wróciła, kiedy był pan jeszcze w akcji, czy spotkała pana po drodze?

Nie postawiłbym ani grosza na to, co dzieje się teraz w jego głowie, pomyślał Münster. W końcu zaraz się podda?

– Przypuszczam, że jest parę rzeczy, o których pan nie wie – ciągnął dalej Münster. – Mam na myśli to, co stało się potem.

Mauritz Leverkuhn wpatrywał się w niego błyszczącymi oczami. Potem z powrotem usiadł na fotelu.

– Na przykład? – spytał.

– Na przykład pani Van Eck – odpowiedział Münster. – Czy widział pan ją tamtej nocy, czy tylko ona pana widziała?

Mauritz Leverkuhn milczał.

– Czy potrafi pan wytłumaczyć zabójstwo Else Van Eck? Czy matka mówiła panu, jak do niego doszło? Pytam, ponieważ ja nie wiem.

– Nic pan nie wie – rzucił Mauritz Leverkuhn.

– Wobec tego mogę spekulować – odparł Münster. – Ale właściwie z czysto akademickiego zainteresowania. Pani Van Eck widziała pana, jak przyjechał pan na Kolderweg i zabił ojca. Opowiedziała o tym pańskiej matce kilka dni później; nie mam pewności, ale prawdopodobnie próbowała jakoś

wykorzystać to, co wiedziała. Mówiąc wprost: zarobić na tym. Pańska matka zareagowała w sposób dla niej zupełnie niewyobrażalny. Zabiła ją.

Zatrzymał się na kilka sekund, jednak Mauritz Leverkuhn nie odezwał się ani słowem. Wiedział o tym, uznał Münster.

– Zabiła żonę dozorca. Potrzebowała kilku dni, żeby poćwiartować zwłoki i się ich pozbyć. Następnie, kiedy już było po wszystkim, wzięła morderstwo ojca na siebie, żebyśmy przestali szukać i żeby pan mógł pozostać na wolności... Trzeba przyznać, że pana matka miała zimną krew. Tak, wyjątkowo zimną krew.

– Pan naprawdę zwariował – powiedział Mauritz Leverkuhn.

– Rzecz jasna nie mogła przyznać się do zamordowania Else Van Eck, ponieważ musiałaby podać jakiś motyw. Jak pan widzi, wszystko trzyma się kupy. Chyba pan widzi? Pańska matka popełnia morderstwo, ale przyznaje się do innego. Być może jest w tym jakiś rodzaj moralnej równowagi. Niewykluczone, że ona tak właśnie rozumowała.

Mauritz Leverkuhn mruknął coś pod nosem i popatrzył na swoje dłonie. Münster przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, po czym zaczął mówić dalej. Liczył na to, że tamten zaraz pęknie. Nie dam rady przechodzić przez to wszystko jeszcze raz na komendzie, po prostu nie dam rady, pomyślał.

– Nie jestem pewien, dlaczego w końcu odebrała sobie życie w celi – powiedział. – Ale z drugiej strony nietrudno ją zrozumieć. I w ogóle całe jej postępowanie w tej sprawie. Kryła pana morderstwo i sama zabiła po to, żeby nadal móc pana osłaniać. Zrobiła dla pana bardzo dużo, panie Leverkuhn.

– To ona była winna.

Münster czekał, ale już nie padło ani jedno słowo.

– Ma pan na myśli winę za to, co wasz ojciec robił z pańskimi siostrami? Że na to pozwalała?

Nagle Mauritz Leverkuhn zacisnął pięści i walnął nimi w oparcie fotela.

– Do diabła! – rzucił. – On doprowadził Irene do choroby, a ona nawet nie kiwnęła palcem! Nie rozumie pan, że on zasłużył na śmierć? Ta parszywa świnia! Gdybym mógł, zrobiłbym to jeszcze raz... byłem gotów wziąć to na siebie. Powinienem być, i to dlatego...

Zamilkł.

– Dlatego ona odebrała sobie życie? – spytał Münster. – Bo chciał się pan przyznać?

Mauritz Leverkuhn zamarł na kilka sekund. Potem opadł ciężko na fotel i nieznacznie pokiwał głową. Münster westchnął i przymknął oczy. Kiedy je otworzył i zobaczył naprzeciw siebie niemal bezwładną postać, usiłował ustalić, co właściwie o nim myśli.

Kolejny przegrany, stwierdził. Jeszcze jeden.

Również on został naznaczony przez swoje dzieciństwo, chociaż u niego nie przybrało to takiego wymiaru jak w przypadku jego ukochanej siostry.

Przeklęte, nieuchronne piętno, którego nie sposób nigdy usunąć. Nigdy nie da się go ukryć ani się z nim pogodzić.

Przeklęte, bezsensowne zło, myślał dalej Münster. Które powoli zabijało, zabijało i zabijało. Tak, było mu żal tego człowieka. Jeszcze godzinę temu w ogóle by się tego nie spodziewał, ale teraz tak właśnie czuł.

– Zamierza mnie pan aresztować? – spytał Mauritz Leverkuhn.

– Czekają na nas na komendzie – powiedział Münster.

– Niczego nie żałuję. Zrobiłbym to jeszcze raz, rozumie pan?

Münster przytaknął. Ten człowiek potrzebował teraz pocieszenia i zrozumienia. Münster dobrze znał takie sytuacje. Często przestępca po zbrodni, która przynosiła wyzwolenie, najbardziej potrzebował słów. Żeby móc opowiedzieć. Wyjaśnić twarzą w twarz innemu człowiekowi. Człowiekowi, który rozumiał, istocie, w której odbijała się jego rozpacz.

Tak, już nieraz przeżywał takie sytuacje.

– To nie w porządku, żeby taka świnia, taki łobuz bezkarnie szedł przez życie... żeby miało mu wszystko ujść na sucho.

– Musimy już jechać – oznajmił Münster. – Resztę załatwimy na komendzie.

Mauritz Leverkuhn wstał z fotela. Po raz drugi wytarł sobie pot z czoła i ciężko westchnął.

– Czy mogę wziąć jeszcze lekarstwo w kuchni?

Münster kiwnął głową.

Mężczyzna zniknął za drzwiami, a Münster słyszał, jak wrzuca tabletkę do szklanki i nalewa wodę. Boże drogi, pomyślał. Wreszcie koniec. Uporałem się z tym gównem.

Za późno uzmysłowił sobie, że obojętna rezygnacja, którą Mauritz Leverkuhn okazywał przez ostatnie minuty, nie była wcale tak oczywista. Za

późno także zauważył, że nóż do mięsa – na którego poszukiwanie stracili w październiku i na początku listopada tyle energii – nie został wyrzucony ani do żadnego kanału, ani do pojemnika na śmieci. Ten nóż znajdował się teraz w dłoni Mauritza Leverkusna, tak samo jak w nocy z dwudziestego piątego na dwudziestego szóstego października. Dostrzegł go kątem oka ponad swoim prawym ramieniem, sięgnął do kabury pistoletu, ale nic więcej nie zdołał już zrobić. Ostrze wdarło się od tyłu w jego ciało, poczuł obezwładniający ból, a potem upadł do przodu na podłogę jak kłoda, nawet nie próbując oprzeć się na rękach.

Ból był tak silny, że go sparaliżował. Przeszywał całe ciało niczym rozżarzone do białości żelazo na torturach. Udaremnił jakiegokolwiek działanie. Zniósł czas i miejsce. Kiedy w końcu zaczął przechodzić, Münster usłyszał, jak Mauritz Leverkusn zatrzaskał drzwi i uciekł.

Przekręcił głowę i z ulgą poczuł na policzku chłód parkietu. Był przyjemny i kojący. To przez zmęczenie, pomyślał. Nie doszłoby do tego, gdybym nie był taki zmęczony.

Zanim jego świadomość zalała czarna fala zapomnienia, przemknęły mu przez głowę jeszcze dwie myśli:

Pierwsza była poświęcona Synn: to dobrze, nigdy się nie dowiem, jak by się to skończyło.

Na drugą składało się tylko jedno słowo:

Nie.

Od czasu kiedy Van Veeteren spędzał lata swojej nauki w północnym nadmorskim mieście Frigge, miejscowy komisariat policji zmienił siedzibę. A mówiąc precyzyjniej: wtłoczono go do nowego budynku w tej samej dzielnicy i urządzono mniej więcej tak samo jak poprzedni. Van Veeteren nie uważał tego za korzystną zmianę. Wszędzie dominowało pancerne szkło i szary beton, a dyżurny funkcjonariusz, który ich przyjął, był młodym, rudowłosym mężczyzną o odstających uszach. Przypominał odrobinę starego Borkmanna.

No cóż, ma przynajmniej dobry słuch.

– Reinhart i Van Veeteren z Maardam – powiedział Reinhart. – A wasze nazwisko?

– Liebling – przedstawił się ognistowłosy i wyciągnął rękę.

– Komisarz Van Veeteren odbywał tu kiedyś nawet służbę – wyjaśnił Reinhart. – Ale pana chyba nie było jeszcze wtedy na świecie.

– Naprawdę? – zdziwił się Liebling.

– Zamierzchła przeszłość – doprecyzował Van Veeteren. – Koniec dziewiętnastego stulecia. Słyszał pan o czymś takim?

– To znaczy...? – spytał rudowłosy i dotknął niespokojnie swoich cienkich wąsów.

– Przecież powinien już tu, do diabła, być – stwierdził Reinhart. – Zaraz będzie ósma.

– Inspektor Münster z Maardam – dodał Van Veeteren.

– Tak, tak, wiem – potwierdził Liebling. – Malinowski zameldował mi o tym, kiedy przejmowałem po nim zmianę. Mam tutaj zapisane wszystkie informacje.

Kilkakrotnie kliknął w klawiaturę komputera i potwierdzająco kiwnął głową.



– Münster, zgadza się. Miał stawić się z podejrzanym... ale do tej pory nikogo tu nie było. Nikt się nie pojawił.

– O której zostawił tę wiadomość? – spytał Van Veeteren.

Liebling sprawdził.

– O siedemnastej pięćdziesiąt pięć – powiedział. – Jak mówiłem, dyżur miał wtedy inspektor Malinowski. Zastąpiłem go o wpół do siódmej.

– I potem już nie dzwonił? – spytał Reinhart.

– Nie – odparł Liebling. – Nie odezwał się.

– Czy zostawił jakieś instrukcje?

Liebling pokręcił głową.

– Powiedział tylko, żebyśmy byli przygotowani, jak przyjdzie z tym... człowiekiem. Oczywiście mamy numer jego telefonu. Komórki.

– My też mamy – powiedział Reinhart. – Nie odbiera.

– Niech to szlag – odezwał się Van Veeteren. – Poszukajcie adresu, to sami tam pojedziemy! To trwa za długo.

Liebling znalazł adres w komputerze.

– Krautzweij dwadzieścia osiem – poinformował. – To na przedmieściach, w Gochtshuis. Mam jechać z wami? Żebyście trafili.

– Możecie jechać – postanowił Van Veeteren.

– W środku pali się światło – stwierdził Reinhart dziesięć minut później. – A tam stoi jego samochód.

Van Veeteren zastanowił się.

– Zadzwon jeszcze raz, żebyśmy nie wparadowali w rozstrzygającym momencie – powiedział.

Reinhart sięgnął po telefon i wybrał numer. Odczekał pół minuty.

– Nic – rzekł. – Oczywiście mógł go wyłączyć. Albo zapomniał naładować baterię.

– Baterię? – zdziwił się Van Veeteren. – To w tym cholerstwie też trzeba mieć baterię?

Liebling chrząknął na tylnym siedzeniu.

– Przed domem nie ma żadnego innego samochodu – zwrócił uwagę. – A garażu też tu nie widać... Więc jeśli to audi należy do waszego

inspektora...

– Hm – bąknął Van Veeteren – słusznie. Wobec tego idziemy. Liebling, pan zostanie w aucie, na wszelki wypadek, gdyby się coś działo.

– Tak jest – odparł Liebling.

Reinhart i Van Veeteren ostrożnie podeszli do drzwi wejściowych i zaczęli nasłuchiwać.

– Nic nie słyhać – stwierdził Reinhart. – Tylko ten przekłety wiatr. W oknie też niczego nie widać. Co robimy? Dzwonimy?

– Sprawdź najpierw kłamkę – polecił Van Veeteren.

Reinhart wykonał polecenie. Drzwi były zamknięte.

– Czyli dzwonimy – postanowił komisarz. – Masz przy sobie jakąś broń?

Reinhart skinął głową i wyciągnął swojego grossmanna. Przywarł do muru, podczas gdy Van Veeteren nacisnął guzik dzwonka.

Nic się nie wydarzyło. Odczekał dziesięć sekund i zadzwonił powtórnie.

Nic.

– Obejdź dom i sprawdź – powiedział. – Ja zostanę tutaj.

Reinhart poszedł za dom i po pół minucie wrócił.

– Nie da się obejść naokoło – wyjaśnił. – Dom przylega do następnego klocka. Przez okno też nic nie widać. Chyba nie ma nikogo w środku.

– To co, do cholery, robi tu samochód Münstera? – spytał Van Veeteren. – Musimy tam wejść.

– No chyba tak – zgodził się Reinhart.

Van Veeteren wyrzucił z siebie cały stek najrozmaitszych przekleństw, rozglądając się jednocześnie za jakimś odpowiednim narzędziem. Wreszcie na nasączonym wodą trawniku przy podjeździe znalazł kamień wielkości pięści. Wytarł go, chwilę potrzymał w dłoni, a potem cisnął nim w szybę pokoju.

– Strzał w dziesiątkę – rzekł Reinhart. Podeszedł do okna, usunął kilka mniejszych kawałków szkła, włożył rękę do środka i otworzył.

Najpierw na parapet wdrapał się Van Veeteren i to on pierwszy go odkrył.

– A niech to szlag! – krzyknął. – A niech to jasny szlag!

Münster leżał na brzuchu na jasnym parkiecie, w połowie w przedpokoju, jakby był w drodze do wyjścia, kiedy upadł. Ręce miał wyciągnięte wzdłuż tułowia, a na plecach jego jasnozielonego swetra, parę centymetrów powyżej

paska, na prawo od kręgosłupa, była widoczna ciemnoczerwona plama, nieco większa od dłoni.

– Wezwij karetkę, Reinhart! Pospiesz się, do cholery! – wrzasnął Van Veeteren, po czym pochylił się nad Münsterem, żeby sprawdzić puls.

Dobry Boże, pomyślał. To chyba nie należało do umowy?

Po opuszczeniu swojego mieszkania we Frigge Mauritz Leverkusn przez półtorej godziny jechał najpierw przed siebie na południe. Na wysokości Karpatza zmienił kierunek i ruszył na wschód, aż wreszcie dotarł do Tilsenbergu, oddalonego zaledwie kilka kilometrów od granicy. Tu zatankował i odbił na północ.

List gończy za nim rozesłano po całym kraju o godzinie 20.45, a kiedy jeden z patroli policyjnych odkrył białe volvo na parkingu przy autostradzie tuż za Kossenaar, było wpół do siódmej rano następnego dnia.

Mauritz Leverkusn leżał przykryty kocem na tylnym siedzeniu i spał. Miał wysoką gorączkę, drgawki i był totalnie wyczerpany. Na podłodze przed przednim fotelem pasażera leżał nóż o mahoniowej rękojeści i dwudziestocentymetrowej zakrwawionej klindze.

**V**

Dwóm ubranym w zielono-czarne kombinezony nurkom wystarczył zaledwie kwadrans, żeby znaleźć Felixa Bongera.

Jung stał na deszczu w niewielkiej gromadzie gapiów przy Bertrandgraacht, usiłując skorzystać z osłony na wpół podartego parasola Rootha. Kiedy wyciągnięto na nabrzeże napuchnięte zwłoki i włożono je do czarnego foliowego worka zamykanego na zamek błyskawiczny, zauważył, że kobieta stojąca po jego lewej ręce, poznana już wcześniej Barga, zaczęła szlochać.

– Jakie to smutne – chlipała. – Z tego Bongera był taki porządny człowiek.

– To prawda – potaknął Jung.

– Właściwie powinni go byli tam zostawić. Niechby sobie leżał pogrzebany pod swoją własną barką. To by miało sens i styl.

Słusznie, uznał w duchu Jung. To wcale niegłupi pomysł. Choć najlepiej by było, gdyby w ogóle go nie znaleźli. W końcu on nie miał nic a nic wspólnego z całą resztą.

Po prostu potknął się na pomoście, kiedy wrócił do domu tamtego wieczoru. Pijany, na chwiejnych nogach. Każdemu mogło się zdarzyć, stwierdził Jung. Mnie też. Prawdopodobnie uderzył się przy okazji w głowę i runął do wody. Opadł w dół kilka metrów, a potem woda uniosła go pod dno jego własnej łajby.

I tak już tam został. By tak rzec, pod własną podłogą. Tak, pani Barga miała rację.

– Biedaczysko – powiedział Rooth. – Nikt nie pięknieje od leżenia w wodzie. Ale muszę ci pogratulować. Gdy się temu wszystkiemu bliżej przyjrzeć, miałeś rację... Tu nie było żadnej tajemnicy. Ciekawe, ile jeszcze takich zaginionych leży w naszych kanałach.

– Na razie dajmy im spokój – powiedział Jung. – Lepiej spróbujmy znaleźć się pod jakimś dachem.

– Kolejny dobry pomysł – rzekł Rooth i otrząsnął parasol tak, że Jung zrobił się zupełnie mokry. – Ale jest jeszcze coś, co może mógłbyś mi wyjaśnić, zanim stąd pójdziemy... Żeby nie zapomnieć..

– Co takiego? – spytał Jung.

– Chodzi o te seksmaszyny... de Booning i tego, jakże on się nazywał? Dlaczego właściwie oni się wyprowadzili?

– Menakdise – powiedział Jung. – Tobose Menakdise. No, zgadnij.

– Nie potrafię.

– No dobra. Potrzebują większego mieszkania. Spodziewają się dziecka.

– Zabawne – stwierdził Rooth.

Jung już miał odwrócić się na pięcie i odejść, gdy nagle poczuł na ramieniu czyjąś rękę. To pani Jümpers, która też stała pod kapiącą parasolką.

– Chciałam tylko zapytać – zaczęła – czy panowie nie mieliby może ochoty wstąpić na jednego? Do mnie, na barcę? Barga i ja uważamy, że on zasługuje przynajmniej na tyle, żeby wychylić za niego kieliszeczek.

– No nie wiem – odezwał się Jung. – Właściwie powinniśmy...

– Oczywiście – przerwał mu Rooth. – Przyjdziemy za momencik.

Ulrike Fremdli już pomyślała, że w antykwariacie nie ma nikogo, ale po chwili znalazła go w głębokim, wygodnym fotelu za półkami z książkami.

– Jeśli będziesz tu się chował, to raczej niewiele sprzedasz – powiedziała.

Van Veeteren uniósł wzrok znad małej książki oprawnej w skórę, którą trzymał w dłoni.

– Ale trzeba też zapoznać się z ofertą – odparł. – Miło cię widzieć.

– Wzajemnie – odrzekła z uśmiechem. Jednak zaraz spoważniała i spojrzała na niego z lekkim powątpiewaniem, kręcąc jednocześnie głową. – Dziwny z ciebie facet – stwierdziła wreszcie. – Nie da się zaprzeczyć. Uważasz... Uważasz zatem, że ta przepowiednia Makbeta się sprawdziła?

– Sprawdziła się albo nie sprawdziła – wymamrotał Van Veeteren pod nosem.

– Jak on się teraz czuje?

– Lepiej – powiedział. – Byłem u niego przed godziną. Wyjdzie z tego, ale musieli usunąć mu jedną nerkę. Przez kilka miesięcy na pewno nie będzie mógł pracować... Może to właśnie jest mu potrzebne. Tylko głupio, że

wybrał się tam zupełnie sam. No i tak to się skończyło.

Ulrike Fremdli pokiwała głową.

– Był wyczerpany – ciągnął dalej Van Veeteren. – Tak przynajmniej twierdzi Synn, jego żona. Była u niego razem z dziećmi. Nawiasem mówiąc, Moreno też... tak, tak, to naprawdę szczęście, że się tam zjawiliśmy. Długo już by tak nie poleżał.

– No a przepowiednia? – nie dawała za wygraną Ulrike Fremdli.

Van Veeteren nie odpowiedział; przewrócił kilka stron w książce, nad którą siedział.

– Są rzeczy na ziemi i niebie, Horacy, o których nie śniło się filozofom – zacytował. – *Hamlet*. Małe, piękne wydanie. Wydrukowane w Oksfordzie w tysiąc osiemset trzydziestym szóstym roku. Właśnie je dostałem.

Podniósł książkę do góry.

– Myślałam, że mowa jest o Makbecie – powiedziała Ulrike Fremdli.

Van Veeteren wstał i włożył książkę do szafy z przeszklonymi drzwiami.

– Nie ma znaczenia – rzekł. – Tak czy inaczej, Szekspir. Moim zdaniem, z grubsza biorąc, on powiedział wszystko, co da się w ogóle powiedzieć... dotknął wszystkiego. Na pewno potrafiliby zrobić też użytek z tej rodziny Leverkusnów.

– Co masz na myśli?

– No, spójrz tylko... Ojciec dopuszcza się kazirodztwa ze swymi obiema córkami... jedna z nich popada w obłąd, druga zostaje lesbijką. Syn morduje ojca i wbija nóż w policjanta. Matka bierze na siebie całą winę, zabija świadka i sama się wiesza. Gotowy materiał na tragedię, nie uważasz?

Ulrike wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– I to jest kwintesencja? – spytała. – Całej tej historii?

– W największym skrócie – odparł Van Veeteren. – Jednocześnie warto pamiętać, że jeszcze trzy miesiące temu uważano ich za zupełnie zwyczajną, normalną rodzinę... ale wystarczyło unieść zasłonę...

Ulrike Fremdli zastanowiła się przez chwilę nad jego słowami.

– Jak ty to wytrzymujesz? – spytała.

– Nie wytrzymuję – odpowiedział. – Pracuję w antykwariacie.

Skinęła głową.

– Podobno. Ale się włączasz?

– Jestem włączany – oznajmił Van Veeteren. – To jest różnica. No dobrze, ale przydałoby się...

– ...coś zjeść – dopowiedziała Ulrike Fremdli. – Mam wolne do drugiej. Idziesz?

– Jasne – odpowiedział Van Veeteren i wyciągnął ramiona wysoko w górę. Ostrożnie rozprostował plecy i nagle zrobił bardzo zafrasowaną minę.

– Co ci jest?

Van Veeteren odchrząknął.

– Nic, nic. Nie mogę tylko się nadziwić.

– Nadziwić?

– Czy tragedie rzeczywiście tak wyglądają? Jeśli życie faktycznie jest powieścią albo sztuką teatralną, to chyba nie tak trudno jest dopisać jeszcze jeden rozdział czy kolejny akt... jak sądzisz?

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedziała Ulrike Fremdli. – Jestem głodna.

Ujął jej rękę i nieco nieporadnie ją pogłaskał.

– Przepraszam – rzekł. – Czasami nie potrafię zapanować nad własnymi myślami. Idziemy.



Elaine Vorgus popatrzyła najpierw na karty tarota, a potem na swoją ukochaną.

– To przedziwne – powiedziała. – Chyba jeszcze nigdy nic takiego mi się nie zdarzyło. Wszystkie szesnaście kart ułożyło się odwrotnie, nigdy do tej pory nic takiego nie miałam... muszę sprawdzić w podręcznikach.

– A co to znaczy? – spytała Ruth Leverkusen i przełknęła łyk wina, przechylając się jednocześnie nad stołem, żeby pogłaskać partnerkę po gołym ramieniu. – Co oznacza, że leżą odwrotnie?

Nie pierwszy raz siedziały tak razem nad kartami i chociaż na stole leżał przed nimi los Ruth, ona i tak wiedziała, że całe to wróżenie jest dużo ważniejsze dla jej przyjaciółki niż dla niej samej. Elaine odpowiedziała na jej pieśczętę i podniosła wzrok znad kart.

– To znaczy, że wszystko trzeba odczytywać na odwrót – wyjaśniła. – Bogactwo jako biedę, siłę jako słabość, miłość jako nienawiść... Ale szesnaście kart to coś zupełnie wyjątkowego. Jakby...

– Jakby co...? – spytała Ruth Leverkusen.

– Jakby na przykład to wszystko dotyczyło kogoś zupełnie innego, a nie ciebie. Jakbyś cała ty była w pewnym sensie na odwrót... ale na razie tylko zgaduję. Nigdy dotąd nie miałam do czynienia z szesnastoma odwróconymi kartami.

– Zapijemy to, a potem sprawdzimy – zaproponowała Ruth Leverkusen. – Teraz mam ochotę napić się wina i się kochać.

Elaine Vorgus uśmiechnęła się i pomyślała chwilę. Potem uniosła swój kieliszek i kilka razy przesunęła językiem po wargach.

– Twoja wola jest dla mnie rozkazem – uśmiechnęła się. – Gdzie zaczniemy? Może w kąpielni. Chyba by mi się to spodobało. Tylko muszę jeszcze zadzwonić...

– Kąpiel to nie jest zły pomysł – stwierdziła Ruth Leverkusen. – Tak, chcę

cię mieć blisko w wannie. Zapisz te karty i zadzwoń, a ja już pójde. Będę na ciebie czekać.

W łazience stanęła przed lustrem i przyjrzała się swojemu bujnemu ciału. Uniosła ciężkie piersi i przez kilka sekund ssła po kolei każdą brodawkę. Ostrożnie przesunęła palcem między nogami, aby upewnić się o swym pożądaniu.

Potem w jej myślach wyłonił się znowu obraz brata, przeniosła więc dłonie w bardziej neutralne regiony.

Biedny Mauritz, pomyślała. Biedny naiwniak. Westchnęła i owinęła się ręcznikiem kąpielowym. Rozmyślała jeszcze przez chwilę, mechanicznie przestawiając buteleczki z perfumami na półce pod lustrem i wybierając olejek do kąpieli.

Co za sens przyznawać się do czegoś, czego się nie zrobiło?

To pytanie brzęczało jej w głowie od kilku dni. Niepokoiło i dręczyło. Dlaczego on nie mógł po prostu przyznać, że jest tchórzem? Słabym, przegranym człowiekiem, który nigdy nie zdobyłby się na nic takiego. Za żadne skarby.

Dwadzieścia osiem ciosów! On, Mauritz?

To przecież śmieszne. Każdy, kto zna go chociaż odrobinę, od razu by powiedział, że to absolutnie wykluczone.

Ale z drugiej strony nie ma takiej osoby, która by go znała. Nikogo poza nią.

A więc może to wcale nie takie dziwne. Zdała sobie z tego sprawę po kilku dniach. To, że wziął wszystko na siebie i że mu uwierzono. Była w tym pewna logika. Trochę krzywa i opaczna, lecz jednak działała.

Ale dlaczego postarał się o identyczny nóż, kiedy już pozbyli się prawdziwego, to jednak była zagadka. Kiedy się nad tym wszystkim zastanawiała, stwierdziła, że to jedyna rzecz, której nie rozumie do końca. Nie znajduje uzasadnienia. Bo przecież chyba nie sprawił go sobie dlatego, że zamierzał go użyć? Nie planował zadźgać tego policjanta? A że jednak to zrobił, można wytłumaczyć jedynie tym, że na ułamek sekundy ogarnęła go siła i wola działania. Nagła i niespodziewana. Jak błędny ogień. I nic poza tym.

Prawdopodobnie tak było, pomyślała. Nóż stał się *idée fixe*. Napad na

policjanta był przypadkowy, był działaniem bez zamiaru. Przypuszczenie, że mógł to zrobić, aby pokazać jej – albo w jakiś nieokreślony sposób Irene – że ma jednak w sobie tę siłę... nie, to było zbyt naciągane. Zbyt przekombinowane. Mauritz nie potrafił w taki sposób planować i realizować swoich planów. Ewentualnie odtworzyć coś po fakcie, to tak, ale nie postanawiać z wyprzedzeniem i potem przeradzać to w czyn. Tego nigdy nie umiał. Na tym polegała jego słabość.

Kiedy przyszedł do niej w tamtą październikową sobotę kompletnie wyprowadzony z równowagi, cały czas wprawdzie paplał, że to zrobi... że właśnie wszystkiego się dowiedział i wybiera się do Maardam, żeby dać ich ojcu to, na co zasłużył. Chciał w okrutny sposób zemścić się na nim za całe ich dzieciństwo i zabić go bez pardonu. Spytała go, dlaczego wobec tego, do jasnej cholery, przyszedł najpierw do niej. Potem minęło zaledwie kilka minut, a on załamał się i opadł na kanapę. I na niej został, szlochając i dygocząc.

I właśnie ten jego obezwładniająco żaloszny obraz sprawił, że podjęła decyzję. Wzięła to na siebie. A on nawet nie usiłował zaprotestować. Wpatrywał się w nią oczami lśnącymi wdzięcznością. Wdzięcznością i rozpaczliwą słabością.

Nadal widziała to jego spojrzenie, gdy już tam była. To miękkie, obnażone spojrzenie swego brata. W którym była niespełniona nienawiść do ojca.

A teraz siedział za kratkami. I za jedno, i za drugie. To dziwne, na pewno. Kiedy rozmawiała z nim kilka godzin temu, sprawiał wrażenie równie spokojnego i opanowanego, jak w ciągu ostatnich dni.

Może pogodzonego. Gotów przyjąć karę za zbrodnię, którą miał obowiązek popełnić, a jednak się nie odważył. A także za przestępstwo, którego się dopuścił w pośpiechu i oszołomieniu. Kiedy się zastanowiła, doszła do wniosku, że nigdy dotąd nie słyszała go tak spokojnym i zrównoważonym jak teraz. Ani gdy był dzieckiem i nastolatkiem, ani dorosłym.

Może więc jednak jest jakiś sens, pomyślała Ruth Leverkuhn. Jakiś sens we wszystkim. Skoro matce nie udało się osłonić jej tak, jak zamierzała – tylko dlatego, że nie mógł tego znieść Mauritz – nie było powodu, by nie pozwolić mu uczynić to samo. Wejść zamiast matki w rolę mordercy. Skoro tak tego chciał.

Biedny mały Mauritz. Biedny mały braciszek.

Potrząsnęła głową. Jest, jak jest. Rzeczywiście musi coś być w tym, co powiedziała Elaine. Wszystkie karty są na odwrót.

Jej ukochana właśnie stanęła w drzwiach. Ruth przyglądała się jej smukłemu, nagiemu ciału w lustrze. Widziała jej gorący, nieco rozbiegany wzrok. Jej czarne, niemal granatowe włosy.

Kocham ją, pomyślała. Kocham, kocham, kocham. Przynajmniej została jeszcze jedna osoba w rodzinie, która jest do tego zdolna.

Na swój sposób.

Uśmiechnęła się. Zsunęła z siebie ręcznik kąpielowy.

**KONIEC**